

CEJROWSKI ZNOWU SZOKUJE.
TAKI MA SPOSÓB NA KARIERĘ

POLITYCY OPOZYCJI WYGRALI W MIASTACH I OGŁOSILI... PODWYŻKI



SZEF UKRAIŃSKIEGO IPN MOCNO O FILMIE „WOŁYŃ": NA DŁUGO ZATRUJE NASZE RELACJE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 50 (315) 2018
10–16 grudnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TELEWIZJA I POLITYKA

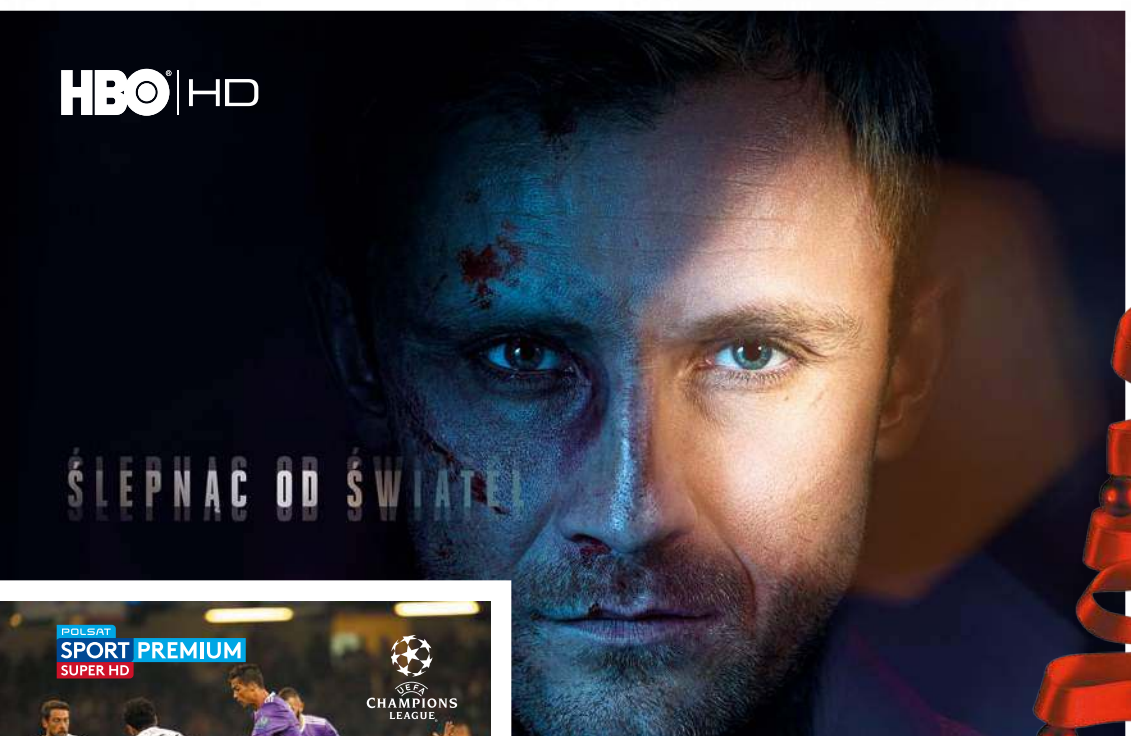
JAK OGLĄDASZ, TAK GŁOSUJESZ

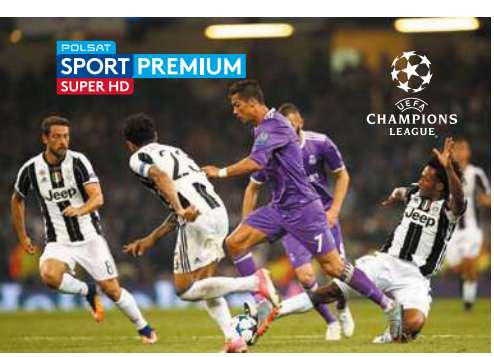
KTO MA KONTROLĘ NAD TV, TEN MA WŁADZĘ – MIMO OFENSYWY INTERNETU TO HASŁO ZASKAKUJĄCO AKTUALNE. DLATEGO IM BLIŻEJ WYBORÓW, TYM BARDZIEJ ROSNĄ EMOCJE WOKÓŁ NAJWIĘKSZYCH STACJI I ICH GWIAZD, KRZYŻUJĄ SIĘ WPŁYWY. KTO WYGRA? KTO GRA BRUTALNIEJ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

Świąteczne promocje!
Telewizja na start
6 miesięcy bez opłat!











Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Ślepnąc od świateł" © HBO Europe s.r.o. 2018. „Legion samobójców" © 2016 Warner Bros. Entertainment Inc. and RatPac Entertainment, LLC. „Lego Ninjago" I LEGO the LEGO logo and the Minifigure are trademarks of the LEGO Group © 2011. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 06c4c12585

Bardzo ważne lekcje

Dramatyczne losy Nowoczesnej i jej założycieli to ważna lekcja. Polityka znów okazała się grą dużo trudniejszą i bardziej złożoną niż wspinanie się po szczeblach kariery w dużych korporacjach. Ludzie niedoświadczeni, nieprzygotowani do walki na froncie, a jednocześnie nadmiernie pewni siebie zapłacili wysoką cenę. I nie chodzi tylko o klęskę w życiu publicznym. Losy samego Ryszarda Petru są tu dobrym przykładem. Polityka to także ciśnienia i przeciążenia, których z zewnątrz nie widać, a które potrafią złamać kogoś, kto w biznesie mógł się wydawać prawdziwym siłaczem.

Ostatni akt tragedii, czyli jednoczenie się opozycji poprzez podział, również mówi nam sporo ważnych rzeczy. Grzegorz Schetyna podjął się budowy Koalicji Obywatelskiej jedynie na pokaz, pod presją mediów, na życzenie publicystycznych tuzów opozycji. Tak naprawdę nigdy tego projektu poważnie nie traktował. Rozmawiał, zapraszał, sugerował partnerstwo, wyciągał rękę, ale cały czas myślał, jak tu wykończyć rywali, jak tu sprowadzić Nowoczesną i zapewne również SLD do roli osławionych „przystawek". Gdy pojawiła się szansa na zadanie śmiertelnego ciosu, uderzył, rozbijając partię Katarzyny Lubnauer. Popełnił jednak błąd. Brutalność, z jaką przeprowadził całą operację, przeraziła jego aktualnych i potencjalnych partnerów. Już wiedzą, co ich czeka, jeśli skuszą się na obietnice. Zobaczyli drapieżnika, który nie był w stanie ukryć swojej natury. Mniejsze ugrupowania – SLD, formacja Biedronia, ludowcy, Razem, Teraz! – zaczną na poważnie myśleć o budowie czegoś własnego.

Sytuacja jest bardzo ciekawa. Oto opozycja, która sytuację w kraju definiuje w najpoważniejszych słowach, wieszcząc koniec demokracji i narodową katastrofę, nie jest w stanie zbudować nawet tymczasowego wehikułu wyborczego, nie mówiąc już o trwałym zjednoczeniu. Nawet na wybory europejskie, najbardziej do tego stosowne, bo dające jeszcze pole manewru przed wyborami do Sejmu i Senatu.

Jaki z tego wniosek? Ano taki, że w świecie polityki nie jest łatwo cokolwiek zjednoczyć. Prawica dobrze pamięta tę lekcję z lat 90. To, co zostało najpierw rozdzielone, a później sklejone, ma tendencję do ponownego dzielenia się. Jeśli już doszło do rozdrobnienia, trwałość może zapewnić jedynie pojawienie się nowego hegemona, który „zbierze ziemie ruskie" na swoich warunkach. To także nie jest łatwe, ale innej drogi nie ma.

Zjednoczona Prawica przetrwała próbę czasu. Wygrała wybory, udźwignęła rządy, ma szansę na kolejną kadencję. Jest dla Polski szansą, która może się szybko nie powtórzyć. Bo w polityce nie wystarczy słuszny, dobry program, nie wystarczą sprawni działacze, nie wystarczą duże pieniądze. Budowa konstrukcji zdolnej do podjęcia walki o władzę – zwłaszcza takiej, która chce coś realnie zmienić – wymaga rozwiązania dylematów nierozwiązywalnych, wymaga pogodzenia wody z ogniem. Jeśli coś takiego się udało, trzeba to szanować, nawet kiedy lista uzasadnionych pretensji jest długa.

Jacek Karnowski



3/1118/F

epr...pl 66...2585

SIECI spis treści



31 *Pan Szmaciak*
Stanisław Janecki



45 Z Jarosławem Zielińskim
rozmawia
Wojciech Biedroń



70 Bunt Francji B
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KUBUŚ BEZ GATEK**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **NIEMIECKA NAGONKA NA POLSKĘ**
Jan Pietrzak

15 **PRZECIWKO CHRZEŚCIJAŃSTWU**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ZIELONE INWESTYCJE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **FORMATOWANIE NA EKRANIE**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

28 **KONIEC ZABAWY**
Konrad Kołodziejski

31 **PAN SZMACIAK**
Stanisław Janecki

34 **BOSO PRZEZ ŚWIAT SKANDALI**
Maja Narbutt

37 **Z JANEM MARIĄ JACKOWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

42 **PRZECIW PONIŻENIU**
Piotr Skwieciński

45 **Z JAROSŁAWEM ZIELIŃSKIM**
rozmawia Wojciech Biedroń

SIECI KULTURY

51 **WETERANI HOLLYWOOD**
Łukasz Adamski

55 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

56 **RĘKOPIS „PANA TADEUSZA" W WILNIE**
Adam Ciesielski

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

62 **TRZY MISJE VIKTORA ORBÁNA**
Grzegorz Górny

HISTORIA

66 **ZAPIS ROZMOWY Z SZEFEM UKRAIŃSKIEGO IPN**
Michał Karnowski

ŚWIAT

70 **BUNT FRANCJI B**
Aleksandra Rybińska

74 **STRZAŁY POD KERCZEM**
Jan Rokita

GOSPODARKA

78 **PAŃSTWO TEORETYCZNE – GRZECHY KNF**
Kajetan Kutnowski

NATURA DLA LUDZI

84 **Z HENRYKIEM STRZELCZYKIEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

KUCHNIA

86 **MOJE SMAKI: KATARZYNA SKRZYNECKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **CHWAŁA PANI MOSBACHER**
Piotr Skwieciński

89 **CZERWONE MAKI**
Maciej Pawlicki

90 **OJCZYZNA, NARÓD, PATRIOTYZM**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **POŻYTKI Z PUTINA**
Wiktor Świetlik

93 **JA, NAŁOGOWIEC**
Aleksander Nalaskowski

94 **DWA ŚWIATY**
Jan Pospieszalski

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **WIZY ZA TVN**
Ryszard Makowski

97 **PREZENT OD ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA**
Leszek Długosz

98 **ZMANIPULOWALI SIEBIE**
Andrzej Zybertowicz

44/0918/F

eprasa.pl 06c4c12585

Tankuj i kupuj na stacjach ORLEN, zbieraj punkty **i wygrywaj w wielkiej loterii Programu VITAY!**



Odbierz Los za 200 pkt VITAY

Rabat 10 gr/l* paliwa VERVA do każdego odebranego Losu

Wejdź na vitay.pl i weź udział w loterii

CLUB VITAY

Do Promocji można przystąpić wymieniając 200 pkt VITAY na Los na vitay.pl w okresie 03.12.2018-10.02.2019 r. lub do wyczerpania puli Losów. Promocja składa się z Loterii i Sprzedaży Promocyjnej i jest przeznaczona dla Zarejestrowanych Uczestników Programu VITAY. Szczegóły Promocji w Regulaminach dostępnych na vitay.pl
* Rabat jest rabatem minimalnym. Stacje franczyzowe mogą stosować własny rabat, nie niższy niż rabat minimalny wskazany w niniejszym materiale. Rabat obowiązuje przy jednorazowym zakupie maksymalnie 50 litrów paliwa VERVA. Rabat można zrealizować do 31.03.2019 r.

ORLEN

eprasa.pl 06c4c12585



Sygnalista nadaje

Pani Ludmiła, jak nakazują podręczniki manipulacji, zawsze się uśmiecha od ducha do ucha, co sugeruje, że jest spełniona i wiedzie szczęśliwe życie. I zawsze jest optymistyczna. „Dołączam się do życzeń p. Ambasadora, aby Polska była bezpieczna. Mam nadzieję, że bez zagrożenia, jakie ewidentnie stanowię, jest już o krok bliżej” – stwierdziła niby to żartem. A przecież to prawda. Od kiedy pani Kozłowska nie hasa po Polsce, wyraźnie mniej u nas protestów, a akcje opozycji straciły wcześniejszy rozmach. To musiał być naprawdę ważny kanał dla różnych transferów.

Kozłowska szarpie sukno Rzeczypospolitej nawet z daleka, ale i u nas podstawiają nogi. Podróżnik ***Wojciech Cejrowski*** najpierw spalił unijną flagę podczas nagrania dla TVP, później stwierdził, że Jarosław Kaczyński „ma za pazurami krew niewiniątek”, a na koniec, że lider PiS powinien dostać „z liścia” (czyli w twarz) za pogrożenie palcem posłance Siarkowskiej. Gdy dobra zmiana upadnie i reżim powróci, podróżnik pomacha nam wszystkim wesoło i zabawnie z jakiegoś Peru albo Meksyku, życząc jednocześnie optymizmu i cierpliwości w oczekiwaniu na Partię Naprawdę Niezłomną.

Podobnym szlakiem zmierza część środowisk katolickich. Proponują one PiS, by de facto przekształciło przyszłoroczne wybory w referendum na temat zakazu aborcji eugenicznej. A więc w coś, czego wygrać nie można, na pewno nie w stopniu dającym władzę. Owszem, dla wielu ludzi Kościoła i nie tylko to rzeczywiście problem pierwszoplanowy, ale jest w tym coś więcej. To także rodzaj ucieczki od presji, którą buduje mainstream. Dobrą zmianę można przecież zwalczać nie tylko z lewej, lecz także z prawej strony. Wygląda to może i szlachetniej, ale istota pozostaje ta sama.

Ludmiła Kozłowska pochwaliła się wspólnym zdjęciem z ambasadorem Polski w Belgii Arturem Orzechowskim. Fotkę zrobiono podczas spotkania kolędowego w Domu Polskim w Brukseli. „Przesympatyczny człowiek, kulturalnie rozmawialiśmy i złożyliśmy sobie życzenia, pytał o moją sytuację. Jak normalni ludzie, tym bardziej w święta” – nie ukrywała zachwytu prezes Fundacji Otwarty Dialog, uznana przez polskie władze za persona non grata. Stanowczo protestujemy, pani Ludmiła nie jest „normalnym człowiekiem”. To osoba doskonale wyszkolona w swoim fachu.

Ciekawe zjawisko: znaczna część wyborców PiS nie zdaje sobie sprawy, że narodowcy to konkurencyjne środowisko polityczne. Widzą w nich młodszego, niesfornego brata, który jednak generalnie idzie w tym samym kierunku, dzielnie służąc sprawie. Cóż, rozczarowanie może być bolesne, bo przecież droga do wielkości ruchu narodowego (choćby w roli silnej partii w Sejmie) wiedzie po trupie PiS – w swej istocie, jak twierdzą, lewicowego i globalistycznego. A do tego ambicje tam niemałe. Więc bez złudzeń.

Narodowiec Krzysztof Bosak z uwagą obserwuje wydarzenia nad Sekwaną: „Francuzi pokazali nam, że ruch społeczny przeciwko podwyżkom podatków przez rząd może być zarazem ruchem przeciwko establishmentowi z banków, mediów i głównego nurtu polityki, może być ruchem ludowym i narodowym. Nie musi być ani prawicowy, ani liberalny. Bierzmy z nich przykład!”. Ciekawy głos. Chyba nieprzypadkowy. Może jakoś związany ze spodziewanymi podwyżkami cen prądu.

Do wyborów europejskich narodowcy pójdą wspólnie z Korwinem. Koalicja ma prezentować „jednoznacznie eurosceptyczny przekaz”. Chodziły słuchy, że miał do nich dołączyć Kornel Morawiecki, ale ostatecznie na szczęście nie dołączył. Czy głośna formacja wzywająca otwarcie do polexitu przekona w końcu opozycję i Polaków, że PiS z Unii wychodzić nie chce i nigdy nie chciało? Wątpliwe. Będzie odwrotnie: będą twierdzili, że narodowcy otwarcie głoszą to, o czym PiS

eprasa.pl 06c4c12585

rzekomo myśli. Bo przecież razem szli w Marszu Niepodległości.

„Wiadomości" TVP świętowały trzylecie dobrej zmiany. W rocznicowym materiale premier Beata Szydło pojawiła się aż SIEDEM razy, a premier Mateusz Morawiecki ledwie CZTERY. Do tego mocno podkreślono dorobek rządu byłej pani premier. To jest jednak nowy wiatr, bo bywało, że Beatę gumkowano dość ordynarnie. Ciekawe, czy oznacza to cofnięcie słynnego zlecenia, za którego sprawą lubiana przez zwykłych ludzi polityk była zwalczana szczególnie ostro przez rzekomo populistyczne tabloidy.

„Zlecenia" dotyczą nie tylko polityków, lecz – może nawet przede wszystkim – prezesów dużych firm, głównie państwowych. Prezesi bronią się, zatrudniając za naprawdę duże pieniądze różnego rodzaju agencje PR. Rola tych ostatnich stale rośnie i wymaga już chyba poważniejszej refleksji. Bo czasami przypomina to już standardy rosyjskie, w których PR często znaczy „haracz".

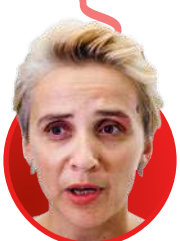
Tymczasem Nowoczesna to już gruzy. I okazja do refleksji. Trzy lata temu w Sejmie pojawiła się grupa młodych, dynamicznych korpoludków i biznesmenów, pełnych życia, pewnych siebie, głodnych sukcesu. Dziś tych ludzi już nie znajdziecie. Jest skłócona i sfrustrowana gromadka, wręcz zmiażdżona ogromnymi przeciążeniami, w kilku przypadkach przegrana nie tylko w wymiarze politycznym. Polityka nie jest tak prostym zajęciem, jak to się wydaje zewnętrznym obserwatorom. Ocaleją tylko najlepsi, a i oni do końca nie wiedzą, jakie będzie ich dziedzictwo. Jeśli nie masz wielkiego talentu, trzymaj się z daleka.

Nowoczesną rozłupał oczywiście ***Schetyna***, którego plan był dość prosty: usypiał lidera ciągłymi rozmowami, czynił pozorne ustępstwa, a za plecami brutalnie atakował, wyciągał posłów, snuł intrygi. Zaatakował w ten sposób nie tylko partię Katarzyny Lubnauer, lecz i SLD. W każdym razie Włodzimierz Czarzasty porządnie się przeraził. Również w PSL mają nad czym myśleć.

Dla porównania spójrzmy w prawą stronę, czyli na Zjednoczoną Prawicę. To niełatwa koalicja, z wyraźnym, bardzo silnym liderem, ale i z pewną autonomią „przystawek". Wróżono ciągłe kłótnie, wojny, rozłamy, całkowitą śmierć mniejszych partnerów, a tymczasem ten wehikuł działa już ponad cztery lata i wygląda na to, że dojedzie do kolejnych wyborów. Kaczyński uszanował partnerów, a Schetyna pokazał wszystkim wokół, że jest aligatorem mocno bezrefleksyjnym.









Fot. Sopotnicki/Shutterstock.com, Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk, M. Czutko

Przeraził się także Adrian Zandberg: „Krokodyl przeżuł już Nowoczesną, a teraz ma chętkę pożerować na lewicy. Mam nadzieję, że dla wszystkich jest już jasne, jaką »współpracę« proponuje PO". Kto jak kto, ale partia Razem w żadne deale z Platformą wchodzić nie powinna, bo to jednak świat dla dorosłych. Ale to pusty dylemat, bo już sama broda Adriana Zandberga jest czytelną obietnicą, że wcześniej czy później każdy koalicjant zazgrzyta zębami i zapłacze z rozpaczy.

Zdaniem Instytutu Badań Pollster „zjednoczona opozycja pokona PiS". Wspólny blok PO, Nowoczesnej, PSL, SLD, Razem i Teraz! miałby zyskać poparcie 50 proc. wyborców; na tym tle Zjednoczona Prawica wypada blado – ledwie 38 proc. głosów. Co skromność, to skromność, mogli przecież wpisać Frontowi Ludowemu 60 proc. albo i więcej. Ale to już nieważne, bo brutal Schetyna wszystko rozwalił. Teraz czas na sondaże, które będą udowadniały, że blok wszystkich poza Platformą przegania i PO, i PiS. Koszt takiego sondażu znany: ok. 10 tys. brutto. Ciekawe, czy można też wybrać sobie własną nazwę „ośrodka badawczego"?

„Wielu biskupów w ostatnich latach ukrywało i przenosiło przestępców z parafii do parafii. W związku z tym polski episkopat powinien zostać zdymisjonowany" – oświadczyła ***Joanna Scheuring-Wielgus***. Posłanka nowej partii Petru (Teraz!) chce wręczyć papieżowi Franciszkowi raport dotyczący pedofilii w polskim Kościele. Jak twierdzi, prowadzi już na ten temat rozmowy z Watykanem. Wszyscy się śmieją, ale znając papieża Franciszka, to niestety jest możliwe.

Sędzia Weronika Klawonn orzekła, że ***Lech Wałęsa*** ma przeprosić Jarosława Kaczyńskiego za niegodne insynuacje w sprawie tragedii smoleńskiej. Owszem, przy okazji pani sędzia trochę zabawiła się w publicystkę i powiedziała parę dziwnych zdań, ale jednak orzekła zgodnie z prawdą. Nie uległa presji swojego środowiska zawodowego i lokalnego, nie poszła na łatwiznę. To zasługuje na szacunek. Czyżby w sądownictwie rodziło się coś dobrego? Ta wielka debata o wymiarze sprawiedliwości miała w sobie coś z kastowych rekolekcji.

Lech Wałęsa poleciał z Andrzejem Dudą na pogrzeb prezydenta George'a Busha. „Rozmawialiśmy, ale bardzo zdawkowo" – podsumował wspólną podróż obecny prezydent, dodając: „Każdy miał swoje zajęcia, a zdecydowana większość lotu została przespana przez wszystkich". Trudno wyobrazić sobie czas lepiej spędzony w towarzystwie Wałęsy. Pogłębiona rozmowa nieuchronnie musiałaby boleć.

eprasa.pl 06c4c12585

Kubuś bez gatek

No dobra, czas na „kamping gwałt” (czy jak tam się nazywa to homozaoranie w tematach intymnych). Przyznaję się bez bicia oraz innych pieszczot – mam obsesję na punkcie Kuby Wojewódzkiego. Tak wielką, że przestałem się nad nim pochylać w sensie przenośnym jakieś kilka lat temu. Wiedziałem, że dłużej tego nie ukryję. Czego? Ależ się wstydzę... No dobra, mam go za przygłupa. I wiem, że to niełądnie.

Więc może inaczej: mam go za wielkomiejską inkarnację wioskowego głupka. I teraz niech nikt nie twierdzi, że to za ostro, bo – jak mawia Bolesław I Pokojowy – ja mogiem jeszcze przyłożyć. Dawno, naprawdę dawno temu, gdy zdanie Kubusia cokolwiek znaczyło, wprowadziłem nawet swoiste stopniowanie inteligencji: od głupka wioskowego do głupka wojewódzkiego, zbieżność nazwisk nieprzypadkowa. Mam go za takiego nie dlatego, że tak nudne programy prowadzi, bo nie można się gniewać na deszcz, iż pada, a na Kubusia za to, że głównym bohaterem swoich wywiadów od lat czyni samego siebie. Wtedy gdy ma przed sobą osobę z dorobkiem, o jakim nie mógłby nawet pomarzyć, i wtedy gdy musi się zderzać „intelektualnie” z ludźmi, którzy jeszcze przed chwilą sikali w pieluchy, ale od miesiąca–dwóch są „gwiazdami” nowej produkcji TVN, której Kubuś jest królikiem. Bo przecież nie „królem”. Biorąc pod uwagę wszystko, co powyżej, decyzja o niepochylaniu się przy Kubusiu wydaje mi się zupełnie zrozumiała i gdybym mógł cofnąć czas, przestałbym o nim wspominać dokładnie tak samo, jak uczyniłem to wieki temu.



KRZYSZTOF FEUSETTE

Niestety Kubuś tęskni jak przywiązany do psa słupek. Już kiedyś zaszczycił mnie mianem „Macierewicza popkultury”, a przed tygodniem, wspólnie z jakimś kolejnym onetowym Schwertnerem, postanowił swej tęsknocie dać wyraz. Z góry przepraszam, że cytuję, i to fragmenty poświęcone mojej nieskromnej osobie, ale dobrze, żeby państwo wiedzieli, z jaką gwiazdą w tej rubryce mogą obcować.

Onet: „Na prawicy masz swój prywatny fanklub. Twoim wielbicielem jest publicysta Krzysztof Feusette, który nazywa cię chamem i prostakiem [nie przypominam sobie – przyp. K.F.], mówi, że nie zasługujesz na uwagę, ale i tak poświęca twojej osobie co drugi tekst [nie pisałem od lat – przyp. K.F.].

Wojewódzki: „Czyli też to zauważyłeś. Muszę ci coś powiedzieć...”.

Onet: „Dawaj...”.

Wojewódzki: „...tylko chcę, żebyś na pewno to napisał. Ja uważam, że Krzysztof [...] się we mnie kocha. On to tłumi, wyraża poprzez wyparcie i negacje, ale on chce ze mną zamieszkać i się do mnie intensywnie przytulić”.

Onet: „Być może, ale póki co stałeś się bohaterem jego analiz w książce »Przemysł pogardy. Niszczenie wizerunku Lecha Kaczyńskiego« [nie napisałem tej książki ani jej nie współtworzyłem – przyp. K.F.].

Wojewódzki: „Bardzo jestem z tego dumny [...]”.

Onet: „Feusette kiedyś analizował nawet twój udział w »Mam talent«. Pytał czytelników: »Wojewódzki będzie oceniał poczucie humoru i błyskotliwość? Wolne żarty, bądźmy poważni, bo i sprawa jest poważna«”.

Wojewódzki: „Kojarzę Krzysztofa z wyglądu, bo ktoś mi już kiedyś opowiedział o jego fascynacji moją osobą i muszę powiedzieć, że... Nie chodzi mi o wygląd w sensie fizycznym, tylko jego wnętrze, którym emanuje na zewnątrz... No więc to jest mało przyjemny widok. Jego wiedza, rozum, inteligencja muszą w końcu przezwyciężyć tę nieszczęśliwą miłość do mnie. Jego futerał prawicowego szermierza wolnego słowa nie dodaje mu wdzięku. Znam takich typów jak on. Każda klasa miała swojego klasowego głupka i etatowego nieudacznika. Pana Krzysztofa [wcześniej było bez „pana” – przyp. K.F.] bym postawił gdzieś pomiędzy tą dwójką. To i tak, uważam, bardzo dobre miejsce”.

Koniec cytatu. Pozycja między głupkiem a nieudacznikiem to, zdaniem Kubusia, miejsce bardzo dobre, pamiętajmy jednak, że o gustach się nie dyskutuje (Sikorski np. lubił stewardesy). Ale przecież nieudacznikiem Kubuś nigdy nie był. Umie wsadzić polską flagę w imitację psiej kupy, potrafi namówić do tego takich tuzów intelektu jak komiczny aktor Krzysztof Stelmaszyk. Wystarczyło mu inteligencji, by walczyć o oglądalność, mając na sobie wyłącznie damskie stringi. Ale przede wszystkim wyszedł cało z afery, która w normalnej telewizji pozbawiłaby go beztroskiego chichotu na długie lata. Wtedy gdy drwił z osób o innym kolorze skóry, nazywając ich „buszmenami” (warto, by ambasador Mosbacher miała tego świadomość, kiedy próbuje nam wmówić, że TVN to stacja „amerykańska”). Albo gdy obrażał naszych wschodnich sąsiadów, rżnąc przy okazji wioskowego macho (ciekawe, że prawdziwi macho nigdy takich nie rżną...). A on? Chciał gwałcić własną sprzątaczkę tylko dlatego, że jest Ukrainką.

Jak państwo widzą, spełniłem świąteczne życzenie Kubusia i odpowiedziałem na apel. Ba, przytulam się do niego tym felietonem tak mocno, na ile tylko pozwala mi szczęśliwie ta odległość świetlna, jaka dzieli królika TVN z gołym tyłkiem ode mnie, skromnego bohatera trzech akapitów wywiadu małego kłamczucha z jeszcze mniejszym. Ale więcej niech nie prosi, bo w końcu i mnie ludzie zaczną palcem wytykać. Jak tego turystę, który może i nie szefował „Faktom” TVN, ale też był mocno „wyposzczony”. Więc pyta baców, czy mógłby „to” zrobić z jakąś... owcą. Bacowie się zgadzają, jednak kiedy facet wraca zza krzaków, turlają się ze śmiechu. „Z czego rzycie, przecież mówiliście, że można...” – obrusza się turysta. „Mozna – odpowiadają bacowie – ale cemu taką bzydką?!”. Tak mi się tylko skojarzyło, redaktorze Schwertner.

4/1218/F

eprasa.pl 06c4c12585



TEATR POLSKI
IM. ARNOLDA SZYFMANA
W WARSZAWIE

Dyrektor Naczelny Teatru Polskiego
im. Arnolda Szyfmana w Warszawie
Andrzej Seweryn

Bilety na teatrpolski.waw.pl

John Ford

Szkoda, że jest nierządnicą

reżyseria Dan Jemmett

spektakle: 28, 29 grudnia 2018 oraz 23, 24 lutego 2019

Wieczór Sylwestrowy



Aleksander Fredro

Mąż i żona

reżyseria Jarosław Kilian

spektakle: 31 grudnia 2018 oraz 20, 21 i 22 lutego 2019

Stanisław Wyspiański

Wyzwolenie

reżyseria Anna Augustynowicz

ze specjalnym udziałem Jerzego Treli

premiera 29 stycznia 2019

spektakle: 30, 31 stycznia 2019 oraz 2, 3 lutego 2019

PARTNER STRATEGICZNY

Bank Polski

Mecenas Teatru

ATENDE

Partner medialny Teatru

chillizet

Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

20.Mazowsze

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 06c4c12585



Fot. EastNews

Tragifarsa Nowoczesnej

Trzy lata temu Nowoczesna miała być wielkim projektem obliczonym na to, by „zmienić wszystko tak, by w istocie nie zmienić nic" – by mimo pozoru zmiany elity III RP utrzymały pakiet kontrolny w państwie i społeczeństwie. I przez chwilę wydawało się, że ten cel jest realny – w pewnym momencie w sondażach ugrupowanie to prześcignęło przecież Platformę. A dziś nie tylko przestaje istnieć, lecz osuwa się w niebyt w atmosferze groteski.

Groteski podwójnej. Bo po pierwsze, wojny na tonącym okręcie są groteskowe z definicji. A po drugie, w sytuacji, w której jednocześnie głosi się tezę o zagrożeniu dyktaturą i niemalże faszyzmem, pogrążenie się w autodestrukcyjnej walce o władzę i pozycję może być uznane za dowód, iż tych dramatycznych diagnoz tak naprawdę nie traktuje się serio. Że to jest wyłącznie ot takie sobie gadanie na użytek elektoratu.

To się na pewno nie spodoba wyborcom, czy jednak będzie miało realny wpływ na politykę? Można się nad tym zastanowić, bo wybory samorządowe pokazały, że najbardziej antypisowski elektorat (a wyborcy Nowoczesnej zaliczają się do tej grupy) potrafi przechodzić do porządku dziennego nad bardzo wieloma niepodobającymi mu się aspektami działalności liberalnych polityków, w imię nadrzędnego celu, jakim jest dla niego pozbawienie władzy partii rządzącej.

Czas pokaże. Na razie jednak trzeba stwierdzić, że polski liberalizm doczekał się tragifarsy na poziomie podobnym do tego, jaki był udziałem SLD w okresie, kiedy ta partia, której też wróżono świetlaną przyszłość, rozpadała się w atmosferze wewnętrznej wojny.

Piotr Skwieciński

eprasa.pl 06c4c125



eprasa.pl 06c4c

Hiszpania

Alternatywa dla Hiszpanii?

Niedawne wybory samorządowe w Andaluzji przyniosły olbrzymią niespodziankę. Komentatorzy wieszczą, że ich wynik zapowiada rychłe trzęsienie ziemi na hiszpańskiej scenie politycznej. Po raz pierwszy bowiem w lokalnym parlamencie zasiądą przedstawiciele nowego ugrupowania o nazwie Vox. Zostało ono założone w 2013 r. przez Santiago Abascala, byłego polityka chadeckiej Partii Ludowej, który doszedł do wniosku, że jego macierzysta formacja zdradziła ideały chrześcijańskie.

Jest prawdą, że w sferze ideowej ludowcy właściwie od lat przestali się odróżniać od socjalistów. Ich prawicowość ogranicza się dziś jedynie do sfery gospodarczej: haseł wolnego rynku i mniejszych podatków.

Do tej pory elektorat konserwatywny głosował na Partię Ludową. Ostatnio robił to coraz częściej z zaciśniętymi zębami i zatkanym nosem, ponieważ nie widział alternatywy. Nie chciał marnować głosu na małe prawicowe partyjki, które nie miały szans na dostanie się do Kortezów. Niedawna afera korupcyjna, która zmiotła rząd Rajoya, przelała jednak czarę goryczy. Prawicowi wyborcy zaczęli przerzucać swoje sympatie. Ich wybór padł na Vox, który opowiada się za powrotem do wartości chrześcijańskich, jest za ochroną życia nienarodzonych i przeciw przywilejom małżeńskim dla par homoseksualnych. Krytykuje też władze Unii Europejskiej za politykę imigracyjną



Fot. MiguelOses/Shutterstock.com

Javier Ortega, sekretarz generalny partii Vox

i za odbieranie suwerenności państwom narodowym. Twardo sprzeciwia się separatyzmom: katalońskiemu i baskijskiemu.

W Andaluzji, czyli prowincji tradycyjnie lewicowej, gdzie socjaliści rządzą od 36 lat, Vox zdobył 11 proc. głosów. Granica psychologiczna została przekroczona. To zapowiedź, że w innych regionach partia Abascala może liczyć na lepszy rezultat. Publicyści porównują ją do AfD w Niemczech, która powstała na fali kryzysu imigracyjnego jako prawicowa alternatywa dla CDU. Ona również swe pierwsze sukcesy zanotowała w wyborach samorządowych, a dziś według sondaży jest już drugą siłą polityczną w RFN. Liderzy Vox nie ukrywają, że chcą podążyć tą samą drogą.

Grzegorz Górny

Honduras

Organizator wbrew woli?

Bartolo Fuentes to 54-letni działacz lewicy i dziennikarz z Hondurasu. Specjalizuje się w tematach praw człowieka i migracji. Od 2014 do 2018 r. zasiadał w parlamencie z ramienia lewicowej partii Libre. A teraz jest oskarżony o to, że zorganizował słynny, liczący ponad 14 tys. osób, konwój migrantów, który przedzierając się przez Gwatemalę i Meksyk, dotarł niedawno do granicy USA. O to oskarża go w każdym razie prezydent Hondurasu Juan Orlando Hernández.

Fuentes twierdzi, że to wszystko to jedno wielkie nieporozumienie. „Napisałem tylko na Facebooku, że migranci nie powinni iść sami w kierunku USA, tylko zorganizować się w grupach, bo tak jest bezpieczniej". Jego post został podchwycony przez honduraską telewizję HCH i „przekręcony" – jak utrzymuje. „Przepytywali ludzi, którzy szykowali się do opuszczenia kraju, a oni mówili, że pomagam im w wyjeździe, że zapewnię im po drodze wyżywienie. Nigdy niczego takiego nie mówiłem ani nie pisałem" – twierdzi.

Tak czy inaczej efekt był piorunujący. Do małej grupy migrantów, liczącej nie więcej niż 200 osób, dołączyli kolejni. I z 200 osób zrobiło się szybko 7 tys.

Fuentes twierdzi, że nikomu niczego nie obiecywał i nie ma z konwojem nic wspólnego. Faktem jest jednak, że złapano go w listopadzie w Gwatemali i deportowano z powrotem do Hondurasu. Był w towarzystwie sporej grupy nielegalnych migrantów z Hondurasu. Władze w Tegucigalpie twierdzą, że Fuentes pobierał opłaty od zdesperowanych migrantów w wysokości nawet 500 dolarów od osoby. Grozi mu proces. On sam twierdzi, że szedł z konwojem „w roli dziennikarza i obserwatora". Jak podkreślił w rozmowie z „The Daily Beast", sytuacja w Hondurasie jest tak beznadziejna, że „ludzie nie potrzebują zachęty do tego, by wyjeżdżać" „Wielu od miesięcy siedzi na spakowanych walizkach. W tym kraju nie ma pracy, przestępczość jest zatrważająca, a perspektywy na przyszłość marne" – zaznacza.

Od niedawna Fuentes się ukrywa, a mieszkańców Hondurasu gotowych opuścić kraj wciąż przybywa. Niedawno drugi konwój wyruszył w drogę i utknął w Meksyku, a trzeci już się tworzy. Liczy obecnie ok. 1 tys. osób.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 06c4c12585

Niemcy

W Niemczech, czyli... w Polsce

„Alarmujące liczby" – niemiecka prokuratura wydała nakazy aresztowań 467 neonazistów, ale ci rozpłynęli się we mgle. Należałoby dodać, że tylko w tym roku, bo w ubiegłym poszukiwano ponad 250. Nie chodzi bynajmniej o takich osobników, którzy tylko rączki do góry podnoszą i coś pokrzykują, lecz o sprawców pobić, podpaleń, czyli – jak to się określa w urzędowym języku za Odrą – „gotowych do przemocy" – poinformowała lokalna gazeta „Neue Osnabrücker Zeitung" w oparciu o odpowiedź MSW na zapytanie frakcji Die Linke w Bundestagu.

Tyle suchy komunikat. W języku obrazkowym wygląda to, jak np. na zdjęciach zdemolowanego lokalu Shalom w Chemnitz czy zmasakrowanego, śniadego właściciela bistra na szpitalnym łóżku, albo pobojowiska po koncercie „prawicowo rockowym" (Rechtsrock-Konzert) na rynku w turyngskim mieście Apolda; warunki techniczne na tej masowej, oficjalnie zgłoszonej imprezie neonazistów zostały spełnione, wybudowano estradę, ustawiono toalety, była policja, aby zadbać o porządek, który musi być, ale jej uczestnicy tego nie docenili, w ruch poszły kamienie, butelki, pałki, gaz... Ucierpiało iluś tam mundurowych, iluś „agresywnych" zatrzymano, złożono ileś doniesień o „posługiwaniu się zakazanymi symbolami", czyli było jak zwykle, niemal każdego tygodnia, bo podobne zdarzenia liczone są dziś w Niemczech w tysiącach.

Co do tych „zniknięty", mają niemieckie organy problem z ich znalezieniem, ponieważ – cytuję z telewizji RTL – „Za granicą żyje się neonazistom lepiej. Ulubionymi miejscami ich ucieczki są Austria, Polska, Czechy i Włochy".

Dla dopełnienia obrazu można było przeczytać w weekendowym wydaniu „Die Welt" sążnisty, tzw. gościnny komentarz szefa działu zagranicznego „Gazety Wyborczej" Bartosza Wielińskiego o tym, jak „narodowo-konserwatywny rząd PiS" chce zabetonować usta niezależnym, zagranicznym mediom w Polsce, jak telewizji TVN, która nadała reportaż o „polskich neonazistach w mundurach SS, świętujących urodziny Hitlera". Jest tak źle, że aż interweniowała ambasadorka USA w „znaczącym liście protestacyjnym do premiera". Alles klar – wszystko jasne?

Piotr Cywiński

Rosja

Kosmiczne kłopoty

Na początku zeszłego tygodnia z kosmodromu Bajkonur wystrzelono statek załogowy Sojuz MS-11. Misja trójki kosmonautów: Rosjanina, Kanadyjczyka i Amerykanki, została przyśpieszona po tym, gdy w październiku doszło do wypadku poprzedniego statku o kryptonimie MS-10, który wskutek awarii jednego z członów rakiety spadł po kilku minutach lotu na ziemię (szczęśliwie nikomu na pokładzie nic się nie stało). Wystrzelona pośpiesznie załoga Sojuza MS-11 ma teraz w zastępstwie poprzedników dokonać pilnej inspekcji powłoki termicznej stacji oraz wymiany baterii.

Odpowiedzialna za program lotów kosmicznych agencja Roskosmos, zarządzana przez wpływowego byłego wicepremiera Dmitrija Rogozina, przeżywa dziś trudne chwile. W wydanym właśnie raporcie podsumowującym działalność agencji w 2017 r. chwali się wprawdzie osiągnięciami takimi, jak rozpoczęcie prac nad rakietą nowej generacji Sojuz-5 oraz zakończeniem pierwszej fazy budowy nowego kosmodromu Wostocznyj na Dalekim Wschodzie, ale przyznaje też, że program kosmiczny przeżywa kryzys. Przede wszystkim nie udało się osiągnąć założonego poziomu eksportu techniki kosmicznej. Zamiast prognozowanego udziału 24,5 proc. w światowym rynku, zdołano osiągnąć zaledwie 8,5 proc.

Rosjanie tracą też prymat w liczbie startów statków kosmicznych: wysłali w 2017 r. w kosmos 21 rakiet, a dla porównania Amerykanie – pomimo kryzysu w NASA – mogą się pochwalić, głównie dzięki prywatnym firmom, wystrzeleniem 29 rakiet. Rosjanom depczą już po piętach Chińczycy (19 startów). Tymczasem mniejsza liczba startów oznacza mniejszą liczbę klientów, a co za tym idzie, mniejsze wpływy do budżetu. Najwięcej pieniędzy na wartym 345 mld dolarów rynku usług kosmicznych przynosi wystrzeliwanie satelitów komercyjnych. Roskosmos, ustępując w tej dziedzinie rywalom, próbuje się ratować, oferując loty załogowe. Na razie nie ma tu konkurencji, ale rosnąca liczba awarii, przy jednocześnie mniejszej liczbie startów, nie nastraja optymistycznie.

Roskosmos gorsze wyniki tłumaczy zachodnimi sankcjami, które uniemożliwiają mu pozyskiwanie nowoczesnych technologii, zerwaniem kooperacji z podwykonawcami z Ukrainy oraz dumpingiem cenowym ze strony prywatnych firm amerykańskich ze SpaceX Elona Muska na czele.

Jednak najważniejszą przyczyną kryzysu jest topniejący z powodu sankcji i wahań cen surowców budżet Rosji i – co za tym idzie – znacznie skromniejsze finansowanie programu kosmicznego. Awanturnicza polityka Kremla najwyraźniej się nie opłaca. Przynajmniej w kosmosie.

Konrad Kołodziejski



Fot. Shutterstock

eprasa.pl 06c4c12585

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Niemiecka nagonka na Polskę



Jan Pietrzak

Niemal dzień po dniu atakują Polskę niemieckie media. Jakiś nasz portal, jakaś gazeta o tym zdawkowo informuje i... nic. Jedynie Reduta Dobrego Imienia wyłapuje fałszerstwa typu „polskie obozy śmierci". A poza tym nawet najbardziej nikczemne napaści przepadają w infochmurze, jakby nikogo to nie obchodziło. A mnie obchodzi, bo żyłem kiedyś w Generalnej Guberni. Ilość przechodzi w jakość; coraz gorszą, coraz bardziej goebbelsowską.

Nagonka ma charakter szeroko zakrojonej akcji dezinformacyjnej, będącej zapewne częścią jakiegoś większego planu psucia relacji polsko-niemieckich. Czy nie mógłby powstać Sztab Informacyjny, w którym na bieżąco podawano by wiadomości o sytuacji na froncie antypolskiej propagandy w Niemczech? Żeby czołgiści z naszej strony Odry mogli grzać leopardy (!) z białym orłem do wymarszu na zachód (uwaga dla tych, którzy na mnie naskakują – to był lekki żart).

Odnoszę wrażenie, że udział w dwóch organizacjach: UE i NATO, Niemcom nie wystarcza. Oni chcą jednocześnie należeć do ZBIR-u i Gazpromu, sterować Turcją, a także przygarniać wojowników Państwa Islamskiego. Taki strategiczny rozrzut powoduje coraz większą agresję w kierunku polskim, gdzie po zmianie władzy w 2015 r. zabrakło posłusznych funkcjonariuszy Reichu.

We Francji, excuse-moi, burdel na całego. Żółte kamizelki co tydzień robią się bardziej czerwone ze złości. Bezradne szefostwo Niemiec szuka ujścia frustracji w nagonce na Polskę. Trzeba tę nagonkę powstrzymać, bo zmieni się w nieokiełznaną nienawiść, do której Niemcy są zdolni, jak wiemy z lat 30., aż nadto.

Impulsem do tych rozważań jest wypowiedź prominentnego polityka CDU, bezczelnie domagającego się posłuszeństwa, ponieważ „dostajemy" tyle milionów z Brukseli, że mamy siedzieć cicho. Tak prostacko rozumieją traktat lizboński ich politycy. Polska ma z pokorą znosić pouczenia, połajanki, obelgi, kłamstwa... A niedawno pani kanclerz rzuciła myśl, że należy skończyć z suwerennością unijnych państw! Ten skandaliczny pomysł nie spotkał się z żadnym protestem, muszę więc przypomnieć: Hitler też nie życzył sobie polskiej suwerenności i przegrał z nami wojnę!



Najcenniejszy depozyt

Z Janem Pospieszalskim, muzykiem, kompozytorem i publicystą, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Niektórzy z rodziną wychodzą dobrze jedynie na zdjęciu. Pospieszalscy są zgrani i na scenie?

Jan Pospieszalski: Najlepszym sprawdzianem relacji w rodzinie jest podział spadku [śmiech]. Wychowaliśmy się w wielodzietnej rodzinie, w warunkach bardzo skromnych. Zamiast majątku rodzice przekazali nam chyba cenniejszy depozyt: widząc nasze zainteresowania, posłali nas do szkół muzycznych, choć było to zupełnie w poprzek tego, o czym marzyli. Tata architekt, malarz; mama, która studiowała na ASP i też pięknie malowała. Tworzyli wspaniałe polichromie, al fresco, wielkie realizacje w kościołach... a my zapuściliśmy włosy i zaczęliśmy łomotać na gitarach i bębnach.

Przystali jednak na waszą pasję?

Tak, ale też uwrażliwili nas na malarstwo, na sztukę w ogóle, kazali jednak ćwiczyć: pasaże, etiudy, gamy. To był spadek, który od nich dostaliśmy i przekazujemy naszym dzieciom. Dzięki temu powstała piętnastoosobowa orkiestra złożona z ludzi o tym samym nazwisku.

Kiedy razem zagracie?

18 grudnia w Teatrze Capitol w Warszawie. Koncert zatytułowaliśmy „Pospieszalscy – wiersze M". Ponieważ to czas adwentu, nie będziemy grali kolęd. Przedstawimy autorskie kompozycje do utworów Norwida, Leśmiana, Baczyńskiego, Iłłakowiczówny, Szelburg-Zarembiny, Herberta, Stachury i ks. Twardowskiego. Zwrócenie uwagi na polską poezję to nasza rodzinna odpowiedź na setną rocznicę odzyskania niepodległości. Bracia, bratankowie i bratowa stworzyli do nich rewelacyjne kompozycje. Jest tam i klasyka: kwartet smyczkowy, fleciki, klarnety, fortepian; jest muzyka źródeł – mazurki, ale też mocno rockandrollowe czy jazzowe brzmienie. Powstał świetny program i bardzo spójny przekaz.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 06c4c12585

BRONISŁAW WILDSTEIN

Przeciwko chrześcijaństwu

Działająca w Holandii muzułmańska partia DENK złożyła skargę na projekt reklamowania na fasadach domów wystawy malarstwa Caravaggia i jego uczniów, która ma zostać otwarta w tym miesiącu w Utrechcie, gdyż „obrazy caravaggionistów są znane z tematyki chrześcijańskiej i biblijnej". Działacze muzułmańscy oburzają się, że akcja finansowana miała być z funduszy publicznych, i pytają: czy eksponowanie tych obrazów można uznać za „poprawne etnicznie, kulturowo i w aspekcie historii sztuki"? Władze Utrechtu ugięły się i wycofały z promocji wystawy.

Sprawa ta dowodzi raz jeszcze, że obawy europejskich konserwatystów, które wczoraj wyśmiewane były jako „prawicowe obsesje", dziś stają się faktem. Muzułmańska mniejszość domaga się wypchnięcia chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej i zasadniczej rewizji europejskiej tradycji. Obie rzeczy są zresztą w dużym stopniu tożsame, co ilustruje przykład Utrechtu. Uległość holenderskich władz wobec presji agresywnej mniejszości nie jest spowodowana wyłącznie ich, skądinąd oczywistą, słabością. Można być raczej przekonanym, że gdyby DENK domagała się usunięcia z przestrzeni publicznej reklamy homoseksualnego przedsięwzięcia, władze Utrechtu nie wycofałyby się tak łatwo, jeśli w ogóle. Ale działanie na rzecz eliminacji motywów chrześcijańskich, nawet jeśli dotyczy to tak bardzo chronionej podobno sztuki, spotyka się z ich akceptacją.

Sprawa stopniowego wymywania tradycji europejskiej z cywilizacji naszego kontynentu, a więc jej faktycznej destrukcji, jest bardzo poważna. Bardziej może jednak szokować obojętność europejskiego establishmentu na brutalne prześladowania chrześcijan na świecie, w wyniku których rokrocznie ginie ich ponad 100 tys. Ogromna większość ofiar na tle religijnym to właśnie oni. Stają się obiektem agresji, pogromów, gwałtów, porwań, wypędzeń i rabunków. Ich kościoły są niszczone. Dzieje się to głównie w krajach, w których dominuje islam, na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. Ze względów ideologicznych są prześladowani przez komunistyczny reżim Korei Północnej.

Ich los nie wydaje się interesować tak podobno wrażliwych na godność i krzywdę człowieka elit europejskich. Dość jednoznacznie wskazuje to, że owa troska ma instrumentalny charakter i służy dominującej ideologii.



Fot. Andrzej Wiktor

A ta ma charakter substytutu wiary religijnej, jest jej ziemską konkurentką, na co wskazuje choćby agresywność dominującego dziś na Zachodzie ateizmu. Teoretycznie oznaczać powinien obojętność na sprawy religii, obecnie nasączony jest nienawiścią do chrześcijaństwa.

W instytucjach UE, która generalnie stała się wehikułem nowej ideologii, znaleźć możemy wyjątki. Głównie zasiedlają one EKR, grupę Europejskich Konserwatorów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim, której istotny element stanowi delegacja PiS. Szczególne zasługi należy oddać obecnemu przewodniczącemu grupy, wybitnemu polskiemu filozofowi, prof. Ryszardowi Legutce, który już trzy lata temu zorganizował w Krakowie Europejski Kongres w Obronie Prześladowanych Chrześcijan. Odbywa się on rokrocznie w tym samym mieście w listopadzie. Trzy pierwsze kongresy poświęcone były, co zrozumiałe, sytuacji tych najbardziej zagrożonych, w Azji i Afryce. Ostatni natomiast skupił się na dyskryminacji chrześcijan w Europie. Jego tytuł to „Europa: od dyskryminacji do prześladowań?".

Legutko zwrócił uwagę, że dyskryminacja ta postępuje. „Ma ona często charakter społeczny – zmienia się tkanka moralna współczesnych społeczeństw i ofiarami tej zmiany są chrześcijanie. Przejawia się to w różnych formach upokorzenia, ostracyzmu, poddawaniu przemocy werbalnej, symbolicznej, ale ma też charakter prawny. Zmienia się prawo w cywilizacji zachodniej w taki sposób, że staje się coraz bardziej represyjne wobec chrześcijan". Jako przykłady podał Francję, gdzie ostatnio wprowadzono karę więzienia i grzywny za próbę przekonania kobiet, aby nie poddawały się aborcji. Innym dowodem jest likwidacja w wielu krajach klauzuli sumienia, co zmusza pod groźbą kary sądowej wierzących lekarzy, urzędników, a nawet księży do uczestnictwa w praktykach, które uważają za z gruntu złe. Proces ten odbywa się pod hasłami tolerancji i społeczeństwa otwartego. W pierwszym rzędzie należy więc odkłamać język i nazwać rzeczy po imieniu.

To, że inicjatywa Legutki nie spotyka się z zainteresowaniem dominujących środowisk UE, niestety nie dziwi. Nie zaangażowali się w nią również polscy europosłowie z innych partii, i to tacy, którzy deklarują wszem wobec swoją katolickość, np. Róża Thun. Warto wyciągnąć z tego wnioski.

OGNIEM NA WPROST

„Noblista oszalał”



Podczas wyjazdu na pogrzeb George’a W. Busha do „Waszynktonu” (oryginalna pisownia z Facebooka Lecha Wałęsy) były prezydent zabłysnął najnowszą stylówą: czarne gumowe szelki, golf z napisem „Konstytucja” i jak zwykle Matka Boska w klapie marynarki. Niestety spod marynarki wystawały tylko litery tworzące tajemnicze słowo „OTUA”. Dziś wielu ludzi na świecie ma ubaw z kogoś, kto złamał zasady stroju cywilizowanego człowieka na pogrzebie amerykańskiej głowy państwa (są wyjątkowo czuli na tym punkcie), kompromitując kraj, z którego pochodzi. Internet szaleje: „Dziadek w golfie z Matką Boską w klapie marynarki na pogrzebie George’a Busha – nikt nie zamawiał błazna” – czytamy w amerykańskim portalu informacyjnym. „Kto tam wpuścił tego menela” – zagrzmiał Steve z Minnesoty. „Noblista oszalał. Ubrał się jak na ryby” – znajdujemy w kanadyjskich mediach. „Bezdomny zabłądził i trafił na pogrzeb Busha” i „Polska żenuje na pogrzebie Busha” – napisał francuski publicysta. Niektórzy zastanawiają się, co chciał przekazać światu Wałęsa, nosząc dumnie na piersi napis „OTUA”. Były różne odpowiedzi, ale mnie przekonuje wersja najbardziej prawdopodobna. Otóż „OTUA” jest akronimem utworzonym od słów Oddział Terapii Uzależnienia od Alkoholu Wojewódzkiego Szpitala Psychiatrycznego im. prof. Tadeusza Bilikiewicza w miejscu zamieszkania Wałęsy, czyli w Gdańsku. A w rozdziale III regulaminu oddziału pkt 1 stoi jak byk napisane, że pacjentowi w czasie pobytu na leczeniu w OTUA „nie wolno opuszczać terenu ośrodka bez wiedzy i zgody personelu”.

Kłopoty ma również inny polityk zachowujący się dziwnie. Często się wzbudza, sprawiając wrażenie, jakby się czegoś nawąchał. Mowa o Sławomirze Nitrasie z PO. Prawnicy organizacji Ordo Iuris złożyli w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia prywatny akt oskarżenia o znieważenie i naruszenie nietykalności osobistej Dawida Wachowiaka, działacza pro-life. Nitras określił go słowami: „dureń”, „gówniarz” i „gnojek”, a uczestników antyaborcyjnej demonstracji nazwał „bandą psycholi”. Polityk Platformy próbował również zakłócić interwencję policjantów, którzy chcieli go wylegitymować. Jednocześnie w imieniu działacza pro-life skierowano do marszałka Sejmu wniosek o uchylenie Nitrasowi immunitetu poselskiego. W ramach bezinteresownej pomocy bliźniemu przypomnę panu posłowi tym razem najważniejszy, bo 1 pkt rozdziału I regulaminu OTUA: „Pacjent zobowiązany jest do utrzymywania całkowitej abstynencji od środków zmieniających nastrój, bez względu na to, od jakiego środka chemicznego lub zachowania jest uzależniony”.

Z danych Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa wynika, że liczba zarejestrowanych winnic w Polsce w 2018 r. przekroczyła już 200, łączna powierzchnia upraw wynosi 330 ha, a produkcja wina – 5,2 tys. hl. Łącznie winiarze zebrali w tym roku ponad 800 tys. kg winogron. Dla porównania jeszcze w roku gospodarczym 2009/2010 liczba producentów wynosiła zaledwie 26, a powierzchnia upraw – 36 ha. Dwa lata temu wino w Polsce produkowało nieco ponad 100 winnic. Co ciekawe, wraz z liczbą producentów rośnie też jakość produkowanego wina. Polskie wino cenione jest za charakterystyczny smak i kwasowość. Z trunkami europejskimi możemy już konkurować winem lodowym produkowanym z winogron zamarzniętych na krzewach. Nasze winnice zaczynają zdobywać nagrody w międzynarodowych konkursach. Zdaniem ekspertów wkrótce Polska może się stać poważną konkurencją dla winiarskich potęg. Za I RP przodowaliśmy w produkcji miodów pitnych, w II RP i za komuny wzięliśmy się za wódkę, a w III RP wyrabiamy się w najszlachetniejszym trunku – winie. Coraz bardziej zaczyna mi się podobać to globalne ocieplenie.

Duńczycy wpadli na pomysł, co zrobić z krnąbrnymi imigrantami, którzy łamią prawo. Kryminaliści, którzy w przyszłości będą relegowani z Danii, zostaną osadzeni na jednej z niezamieszkanych wysp. Znajduje się ona na południe od Kopenhagi. Będą tam przebywać także pracownicy służby więziennej. „Nie będą w więzieniu. Na wyspę będą kursowały promy, ale prom nie będzie kursował w ciągu dnia, a nocą muszą być w centrum deportacji” – uspokaja duński minister finansów Kristian Jensen. Na razie jeszcze przenosiny nie są możliwe ze względu na trwającą na wyspie walkę z pomorem świń. Ale Duńczycy nie są prekursorami tej idei. Dziś mamy w stosunku do przybyszów z Południa duński remake polskiego przedwojennego hasła „Żydzi na Madagaskar”.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 06c4c12585

Zielone inwestycje



Marta Kaczyńska-Zielińska

Przepisy ustawy o ułatwieniach w przygotowaniu i realizacji inwestycji mieszkaniowych oraz inwestycji towarzyszących, które obowiązują od sierpnia bieżącego roku, mają za zadanie skrócenie fazy przygotowawczej procesu wielorodzinnych inwestycji budowlanych do jednego roku. Ścieżki realizacji założeń projektowych mają pozostawać niezależne od ustaleń miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, ale inaczej niż się to dzieje w przypadkach procedowania w oparciu o decyzję o warunkach zabudowy, muszą spełniać określone standardy dotyczące w szczególności odległości od szkoły, przystanku, terenów rekreacyjnych. Tzw. standardy urbanistyczne mogą być ostatecznie kształtowane stosownie do lokalnych potrzeb przez uchwały poszczególnych rad miejskich, ale nie mogą się różnić od wytycznych ustawowych więcej niż w połowie.

Omawiane przepisy mają się przyczynić do ograniczenia powstawania podmiejskich osiedli pozbawionych niezbędnej infrastruktury społecznej i technicznej czy też widocznej w wielu miejscach w Polsce dowolności w posadawianiu budynków na terenie zabudowanym.

W myśl ustawy inwestor zamierzający wznieść budynek musi przedstawić koncepcję urbanistyczno-architektoniczną uzasadniającą rozwiązania funkcjonalno-przestrzenne inwestycji mieszkaniowej, z uwzględnieniem charakteru zabudowy miejscowości i okolicy, w której inwestycja ma być zlokalizowana. Wspomniana koncepcja urbanistyczno-architektoniczna musi zawierać w szczególności informacje o strukturze funkcjonalnej zabudowy i zagospodarowania terenu, o układzie urbanistycznym zespołów zabudowy i kompozycji architektonicznej obiektów o funkcji podstawowej, a także powiązania przestrzennego planowanej inwestycji z terenami otaczającymi. Do koncepcji urbanistyczno-architektonicznej, o której mowa w ust. 1, załącza się wizualizację proponowanej zabudowy i zagospodarowania terenu sporządzoną w sposób umożliwiający zapoznanie się z nią osobom nieposiadającym wiedzy specjalistycznej.

W trakcie kampanii samorządowej kandydat PiS na prezydenta Warszawy Patryk Jaki przedstawił koncepcję budowy zlokalizowanej wzdłuż Wisły Dzielnicy Przyszłości. Dzięki niej stolica miała zyskać nowy impuls gospodarczy w postaci obszaru najnowocześniejszych technologii na świecie. Z założenia teren tego smart city miał być zagospodarowany w sposób nowoczesny, ekologiczny, z dużą ilością zieleni tak, by stał się nowymi, zielonymi płucami Warszawy. Rozwój terenów zielonych miał być jednym z priorytetów prezydentury Jakiego.

W obliczu coraz bardziej odczuwalnego problemu zanieczyszczenia powietrza zarówno w mniejszych, jak i większych aglomeracjach dbanie o kondycję miejskich terenów zielonych i ich rozwój wydają się koniecznością. Spełniają one bowiem nie tylko funkcje estetyczne, rekreacyjne, lecz także zdrowotne. Stanowiąc siedlisko wielu gatunków roślin i zwierząt, odpowiadają za utrzymanie bioróżnorodności – harmonii w otaczającym nas środowisku. Odpowiednio zagospodarowana zieleń jako element kompozycji urbanistycznej kształtuje charakter oraz wygląd ulic i placów, sprzyja ładowi przestrzennemu, porządkując miasta. Chaotyczny rozwój miast na skutek nieregulowanej działalności inwestycyjnej doprowadził do degradacji miejskich terenów zielonych.

Zwiększenie troski o metropolitalną roślinność było widoczne u samorządowców przed tegorocznymi wyborami komunalnymi. W wielu miastach masowo sadzono drzewa, zrewitalizowano parki i skwerki. Dobrze gdyby nie były to działania incydentalne i uwarunkowane wyborczym kalendarzem, a inwestycje mieszkaniowe i towarzyszące były realizowane z większym niż dotychczas naciskiem na uwzględnienie zdrowotnych i estetycznych funkcji szeroko pojętej zieleni.

REKLAMA





62/1118/F

eprasa.pl 06c4c12585

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Kwestia wieku

Skoro płeć ma być kwestią umowy (jak chce postępowa część tego świata), to dlaczego nie miałby nią być wiek? Do takiego wniosku doszedł pewien Holender, który mając 69 lat, czuł się 20 lat młodszy. Mężczyzna wystąpił więc do sądu o zmianę daty urodzenia, by ta bardziej pasowała do jego samopoczucia. „Emile Ratelband twierdzi, że skoro można legalnie zmienić płeć i nazwisko, powinno to być możliwe również w przypadku wieku. On sam czuje się 20–25 lat młodszy, niż to wynika z jego metryki, a jako 69-latek jest dyskryminowany" – informuje rp.pl. Sąd na zmianę daty urodzenia zgody nie wyraził, ale młody duchem Holender zapowiada apelację. Toż to jawna dyskryminacja. Ze względu na wiek.



22
mln dol.
– tyle zarobił w ciągu roku ośmioletni Ryan, który recenzuje zabawki w internecie. Chłopiec został uznany przez magazyn „Forbes" za najlepiej zarabiającą gwiazdę serwisu YouTube. O sprawie informuje tvn24bis.pl

26
mld
– tyle wyświetleń uzyskał kanał Ryan ToysReview, który w 2015 r. założyli rodzice Ryana. Kanał chłopca śledzi ponad 17,3 mln subskrybentów.

4
mln
– tylu Polaków odczuwa lęk przed odłączeniem od internetu, czyli cierpi na syndrom FOMO. To wynik badania naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego oraz panelu badawczego Ariadna.

Zabił Mikołaja



W jednej z amerykańskich szkół – Cedar Hill School – nauczyciel powiedział dzieciom z pierwszej klasy, że Święty Mikołaj nie jest prawdziwy. Miał powiedzieć także uczniom, że prawdziwi nie są także zębowa wróżka i króliczek wielkanocny. Jego słowa wywołały oburzenie rodziców. Nauczyciel nie wróci już do szkoły. Dobrze wiedzieć, że jest jeszcze odrobina normalności gdzieś na świecie. Wydawało się, że trend jest zupełnie odwrotny: mordować święta, Świętego Mikołaja, a nawet Pana Boga.

Na zakupy

W Los Angeles tania sieć Pay Less zdecydowała się przeprowadzić eksperyment konsumencki. W związku z tym otwarto tzw. ekskluzywny butik. Sprzedawano w nim buty dziesięciokrotnie drożej niż w innych sklepach tej sieci. Klientów oczywiście nie brakowało. O sprawie informuje m.in. wprost.pl. Okazało się, że tylko w ciągu pierwszej godziny od otwarcia butiku sprzedano buty za ponad 3 tys. dol. Należy podkreślić, że dokładnie taki sam produkt dostępny jest na półkach taniej sieci z obuwiem Pay Less. Wystarczyły jednak wszycie nowych metek, mała kampania reklamowa i zorganizowanie uroczystego otwarcia w dawnym lokalu Armaniego. Buty w cenach od 20 do 40 dol. kupowano za 200–640 dol. Firma Pay Less nagrała klientów wydających fortunę na tanie buty i zrobiono z tego kampanię reklamową taniej marki. I proszę, jak można zgłupieć w pogodni za luksusem, choćby nawet pozornym.

eprasa.pl 06c4c12585

Równi i równiejsi

Komisja Europejska nie planuje kontroli niemieckich Jugendamtów, choć wezwał ją do tego w rezolucji Parlament Europejski. Według komisarz odpowiadającej za sprawiedliwość temat prawa rodzinnego wyłączony jest spod unijnej jurysdykcji. Ech, gdyby Jugendamty działały w Polsce, już by nam tu Frans Timmermans rozdzierał szaty i rzucał się na ratunek dzieciom. A tak ma ważniejsze sprawy na głowie.



Twerkuj się!

W tym roku po raz pierwszy przyznano na gali Złotej Piłki nagrodę dla najlepszej piłkarki. Dostała ją Ada Hegerberg, zawodniczka Olympique Lyon z Norwegii. O nagrodzie dla kobiety zrobiło się głośno nie dlatego, że to pierwsze takie wyróżnienie, ale dlatego, że prowadzący imprezę dał popis chamstwa. Gdy Hegerberg podziękowała za wyróżnienie, podkreślając znaczenie tego, że kobiety też dostają Złotą Piłkę, prowadzący Martin Solveig zapytał, czy wyróżniona zatwerkuje, czyli potrząśnie rytmicznie pośladkami. Zdobywczyni Złotej Piłki ucięła głupi dowcip zdecydowanym: „Nie". Solveig później przeprosił, ale niesmak pozostał. Może pan Martin sam nauczy się twerkować, a w ramach przeprosin swoje umiejętności pokaże publicznie.



„*Polski episkopat powinien zostać zdymisjonowany* – orzekła Joanna Scheuring-Wielgus, posłanka partii Teraz. Szkoda, że jeszcze nie wpadła na pomysł zdetronizowania Jezusa Chrystusa. Ale poczekajmy, wszystko przed nami.

Fot. Andrzej Wiktor, East News/AP Photo/Peter Dejong, Shutterstock (×2), Twitter.com

REKLAMA

Rozmowa z dr. Michałem Daszczyszakiem – prezesem MEC

Panie prezesie, ostatnio w kolejnej edycji Encyklopedii Osobistości RP Britishpedia ukazała się notka biograficzna dotycząca pańskiej osoby i Stowarzyszenia MEC.

Michał Daszczyszak: Tak, redakcja zaproponowała mi jako prezesowi zarządu Stowarzyszenia – Małopolskie Centrum Edukacji „MEC", abym przybliżył jego działalność.

Rozumiem, że dla działającego niemal 20 lat Stowarzyszenia zakres działań jest znaczny?

Oczywiście, panie redaktorze! Od początku działalności zajmujemy się edukacją historyczną, stawiając jednocześnie na aktywny udział młodzieży. „Tramwaj Patriotyczny" w Krakowie to nasza inicjatywa, stanowiąca część realizowanego od 2002 r. projektu Młodzież pamięta®. W tramwaju, który dwa razy do roku z okazji uchwalenia Konstytucji 3 maja i święta odzyskania przez Polskę niepodległości jeździ wokół Plant krakowskich, można – korzystając z bezpłatnie rozpowszechnianych „Śpiewników Pieśni Patriotycznych" – wspólnie z młodzieżą z małopolskich szkół zaśpiewać polskie pieśni patriotyczne.

W ramach projektu od 10 lat realizujemy także akcje „Biało-czerwona dla przedszkolaka", której celem jest edukacja najmłodszych obywateli naszego kraju. Zapoczątkowaliśmy również akcje stawiania masztów przeznaczonych do wywieszania flag przed placówkami oświatowymi. Poza tym realizujemy m.in. Przegląd Twórczości Patriotycznej Młodzieży Województwa Małopolskiego, cykl spotkań z filmem historycznym „Bohaterowie naszej przeszłości" oraz Małopolski Historyczny Szlak Pamięci obejmujący tworzenie sieci szlaków historyczno-turystycznych. Ponadto prowadzimy działalność wydawniczą, w ramach której ukazało się m.in. 100 edycji bezpłatnie rozpowszechnianych „Śpiewników Pieśni Patriotycznych" oraz pozycje książkowe.



Małopolskie Centrum Edukacji „MEC"
www.mec.edu.pl, e-mail: mceo@poczta.fm
+48 696 900 527 – prezes zarządu

Jakie mają państwo plany na przyszłość?

Zakładam, że w 2019 r. uda nam się przeprowadzić wszystkie realizowane dotąd projekty. Mam nadzieję, że uda nam się zakończyć pracę nad opracowywanym na podstawie doświadczeń projektu Młodzież pamięta® Powszechnym Systemem Edukacji Historycznej. Uważamy bowiem, że celem polityki historycznej państwa powinna być systemowa praca polegająca na swoistym wychowaniu do polskości. Dlatego zwracam się na łamach tygodnika do wszystkich chętnych o współpracę przy kształtowaniu patriotycznych postaw!

40/1018/F

eprasa.pl 06c4c12585

RZECZY POSPOLITE

Pustka w oczach Lecha



Tomasz Łysiak

Obejrzałem ostatnio francuski dokument nakręcony w roku 1980 w mieszkaniu Wałęsy. Lech gładził się po wąsach, wywracał oczami i wygłaszał „mundrości", a nawet udzielał rad francuskim robotnikom. W oczach widniała ta sama pustka, jaką można zobaczyć dzisiaj. Choćby w trakcie pogrzebu Busha. Wałęsa w czarnym golfie z napisem „Konstytucja", na lotnisku, na ulicy w Waszyngtonie, a potem błąkający się jak bezradne dziecko we mgle w waszyngtońskiej katedrze to ciągle ten sam Lechu, co w latach 70. czy 80. XX w. lub w trakcie swojej prezydentury. Ciągle udający, grający rolę wielkiego polityka i myśliciela. A przecież niemający żadnych intelektualnych fundamentów, które są niezbędne dla każdego liczącego się polityka. Nie chodzi tu wcale o wyniesioną z uniwersytetów wiedzę, ale po prostu o jakość i sposób myślenia, umiejętności wnioskowania czy – co także ważne – wyrażania w miarę logicznie brzmiących opinii. Gdy się wsłuchać, to niestety, mówiąc wprost, z ust Wałęsy wylewa się bełkot. Zadziwiające jest jednakże to, jak wielu ludzi kiedyś i jak wielu nadal wsłuchuje się w te słowa z nabożnym skupieniem i usiłuje je analizować. Tymczasem jedyna analiza, jaką można tu wykonać, to dociekanie psychologicznych motywów, które stoją za jego postawami. Weźmy chociażby nienawiść, jaką żywił do Anny Walentynowicz. Wykwitła na zwykłej zazdrości o pozycję, na lęku o siebie i swój wizerunek. Gdy Walentynowicz jeździła po kraju w roku 1980, by organizować komitety „Solidarności", Wałęsa nie posiadał się ze złości i już wkrótce próbował robić to samo. A co było, gdy wyszła na jaw jego agenturalna przeszłość?

Patrzyłem na francuskich dziennikarzy w tym dokumencie sprzed niemal 40 lat i myślałem właśnie o tym – o niezwykłej umiejętności takiego zmanipulowania ludzi, by widzieli oni w Lechu polityczną wielkość. Ja sam dałem się w ten sam sposób zmanipulować jako młody chłopak, który dopiero co uzyskał prawo wyborcze, głosowałem na Wałęsę. By dwa lata później zobaczyć jego prawdziwą twarz. Najlepiej skwitowała go Oriana Fallaci, według której „Wałęsa był próżnym, pretensjonalnym, pewnym siebie ignorantem". Drobna poprawka – nie „był", lecz „jest".

Wespół w zespół



Piotr Cywiński

Nie będę ukrywał, dzisiejszy felieton napisali za mnie wytrawni, obiektywni, niezależni autorzy z dwóch obiektywnych, niezależnych i profesjonalnie redagowanych portali: Wyborcza.pl, z domu „Gazeta Wyborcza"/Agora, oraz Fakt24.pl, z domu Ringier Axel Springer. Są tak konkretni, że wystarczą same przytoczone przeze mnie tytuły z jednego dnia. Bohater zbiorowy: państwo PiS, kler, policja, i inni. Ad rem:

„Skandal na szczycie klimatycznym. Niewiarygodne słowa prezydenta Dudy". „Górnicza orkiestra robi paparara, czyli trolling PiS na szczycie klimatycznym", „Bodnar – NBP próbuje kneblować media", „Wielka dezinformacja MEN", „Jeśli rodzice nie żyją razem, dzieci nie dostaną 500 plus", „W Sopocie działacz PiS protestuje w sprawie wyboru działacza PiS", „»Przeciwstawiajcie się Kaczyńskiemu w Polsce« na koncercie Watersa w Meksyku", „Gluza: Wielka Polska nie jest polską racją stanu", „Mobbing w ośrodku dla cudzoziemców? ", „Ruch Prawdziwa Europa. Rydzyk tworzy swoją partię", „Z połamanymi żebrami i wypływającym okiem. Ofiary kultu Piłsudskiego".

Czy było coś np. o PO? Było, słownie jeden tekst, a w nim, co myśli prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski o PiS, w tym o pomniku Lecha Kaczyńskiego. Tyle internetowe wydanie „Gazety Wyborczej", wspierane dodatkowo przez portal Gazeta.pl, który dorzuca sporo od siebie, np. „Złe wieści dla posiadaczy aut z dużymi silnikami. Rząd pracuje nad nowym podatkiem" itp.

Teraz Fakt24.pl: „Kpią z Polski i atakują prezydenta Dudę", „PiS obiecywał, że tego nie zrobi. Zobaczcie, nad czym pracuje. Może zaboleć", „Upokorzyli Jakiego", „Szok. Tyle przeciętny Polak dopłaca do górnictwa", „Stało się. O. Rydzyk wbija PiS nóż w plecy! ", „Komendant przeholował, teraz mocno pożałuje!", „Nie wpuścił auta z prezesem PiS. Nie pracuje już w policji", „Nowe wstrząsające fakty o znanym księdzu. Pilny apel", „Ksiądz miał romans z żoną organisty. Zmienił jej życie", „Kochanka posła zauroczona policjantem", oczywiście z członkiem PiS w tle.

Czy było coś o jakimś członku PO? Było, słownie jeden tekst pt. „Trzaskowski już nabroił. Oj nieładnie", że „magistracka bryka łamie przepisy", ale „to się nie powtórzy! – zapewnia nas prezydent".

Słowem chamstwo, swołocz, ruja i porubstwo! Ale jest iskierka nadziei: „Sensacyjny sondaż. Tego się w PiS nie spodziewali", że jeśli wspólnie PO, Nowoczesna, PSL, SLD, Razem i Teraz itd., to byłby koniec państwa PiS. Co prawda, to prawda...!

eprasa.pl 06c4c12585

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS, ADAM JANKOWSKI/REPORTER, PIOTR GRZYBOWSKI/EAST NEWS, MARIUSZ GRZELAK/REPORTER, MIECZYSŁAW WŁODARSKI/REPORTER, JAN BOGACZ/TVP/EAST NEWS, ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK (x4), FRATRIA (x2)

eprasa.pl 06c4c12585



Fot. Screen TVP

Formatowanie na ekranie



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Zadziwiające, jak bardzo w dobie rosnących w siłę mediów internetowych uwaga opinii publicznej ogniskuje się na tym, co nadają dwie ścierające się z sobą główne stacje telewizyjne. Jak wiele sprzecznych uczuć wywołują. Z jednej strony mamy pozytywny obraz władzy odnoszącej sukcesy (krytycy twierdzą: obraz cukierkowy) i opozycji nieustannie rzucającej obozowi rządzącemu kłody pod nogi, z drugiej – emocjonalnie rozedrgany hejt na wszystko, czego władza się dotknie, i przesuwane coraz dalej granice straszenia katastrofami, jakie rzekomo spadają na Polskę po wyborach z jesieni 2015 r. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew logice, wbrew liczbom opisującym stan państwa i wbrew nastrojom społecznym wynikającym ze wszelkich badań.

Efekt? Jeśli jesteś wyborcą PiS i oglądasz wyłącznie „Wiadomości", nie masz zielonego pojęcia, jak świat widzi twój sąsiad, który ogląda tylko „Fakty". I odwrotnie.

Dla porządku przyznajemy, że niżej podpisani są współpracownikami TVP, którzy mają w niej raz w tygodniu swoje 15-minutowe publicystyczne okienko. Nie przeszkadza nam to uczciwie i krytycznie spojrzeć na obie strony sporu i postawić kilka ważnych pytań.

eprasa.pl 06c4c12585



W „Faktach" i „Wiadomościach" poruszane są w większości zupełnie inne tematy, a jeśli się czasami pokrywają, to ich interpretacja jest skrajnie różna

Fot. Screen TVN

LISOWY IDEAŁ

Niech punktem wyjścia będzie trop wskazany przed tygodniem przez Tomasza Lisa. Były szef „Faktów" gościł w swojej dawnej stacji i zaraz po tyradzie o „normalnej, autorytarnej władzy", której celem jest „spacyfikowanie niezależnych mediów", podzielił się takim przemyśleniem: „Tam, gdzie ludzie mogą oglądać TVN, tam wynik PiS jest dramatycznie gorszy". Czy tak jest w rzeczywistości? Na ile sam przekaz telewizji z Wiertniczej wystarcza do zmian preferencji politycznych odbiorców, a na ile decyduje o tym podatność widzów na propagandę?

Nie sposób odpowiedzieć na te pytania bez głębszych badań socjologicznych, medioznawczych, historycznych. Ale jedno jest pewne: ze słów Lisa wynika, że TVN ma być jednym z najważniejszych narzędzi do odbierania władzy PiS, do negatywnego nastawiania Polaków wobec tej partii. Prowadząca rozmowę Katarzyna Kolenda-Zaleska natychmiast zmieniła temat, czując, że Lis powiedział o jedno zdanie za dużo. Nie chodzi przecież o to, by przyznawać się przed własnymi widzami wprost, że głównym celem funkcjonowania stacji – poza zarabianiem pieniędzy, bo jednak na tym najbardziej zależy amerykańskim właścicielom – jest walka z rządem. W lamentach Lisa pobrzmiewa pragnienie takiego wymodelowania rynku medialnego, by jego oponenci w ogóle nie mieli w nim swojego miejsca. By TVN był wszędzie, a TVP nigdzie. By PiS zmieść z powierzchni, a Polskę urządzić według lewicowo-liberalnych zasad, którym nikt nie będzie już mógł się sprzeciwić.

Redaktor utyskuje też, jak źle dzisiejsza władza traktuje media, które nie są jej przychylne (m.in. odcinając im publiczne pieniądze), i podnosi larum, że prowadzi to do zamordowania niezależnego dziennikarstwa.

Po pierwsze, w czasie rządów PO Lis jakoś nie narzekał, gdy władza zupełnie odcięła sceptyczne wobec niej media od jakiegokolwiek finansowania, co w połączeniu z taktyką domów mediowych blokujących reklamy dla redakcji niebędących pieszczochami III RP oznaczało balansowanie na krawędzi istnienia. Jeśli nałożymy na to ówczesne zwasalizowanie TVP i Polskiego Radia przez polityków Platformy, otrzymamy obraz domykającego się systemu, w którym nie było żadnego miejsca na konserwatywny światopogląd w środkach masowego przekazu. Promujące go media miały zostać na zawsze wciśnięte do kąta, stłamszone do pozycji biuletynów osiedlowych i radiowęzłów niemających szans na podjęcie realnej walki z gigantami. Sam Lis brał wówczas każdego miesiąca dziesiątki tysięcy złotych za swój program będący flagową produkcją TVP. Telewizji, której najwyższa kadra menedżerska na fotele przy Woronicza trafiła prosto z rządowych

eprasa.pl 06c4c12585

gabinetów (z prezesem Braunem na czele).

Po drugie, jest całkowitą nieprawdą, że redakcje krytyczne wobec PiS nie mogą dziś liczyć na pieniądze publiczne (czy to poprzez spółki skarbu państwa, różnorakie fundacje czy bezpośrednio od instytucji publicznych, w formie np. ogłoszeń). Fałsz takiego twierdzenia łatwo dostrzec, śledząc zwłaszcza rynek prasowy, wszak ogólnopolskie dzienniki (zarówno te uważane za poważniejsze, jak i tabloidy) dzień w dzień walą w rząd, a mimo to nie są odłączane od okołobudżetowych strumieni.

RACHUNKI MONOPOLISTY

Zresztą dziś sytuacja na rynku mediów w Polsce nie jest o wiele lepsza dla strony konserwatywnej. Przypomina o tym zyskujący w ostatnich dniach sporą popularność w mediach społecznościowych wpis: „Jeśli ktoś ma problem ze stronniczością TVP, niech zobaczy fragment listy mediów, które bez przerwy nawalają w rząd i PiS". Mamy na niej kilka ogólnopolskich stacji telewizyjnych, radiowych (wszystkie poza Polskim Radiem), największe portale internetowe, dwa największe tygodniki, parę dzienników. W „systemie PO" znajdowały się na tej liście także media publiczne. Rynek zmierzał wtedy do Lisowego ideału.

Takie marzenie wymsknęło się Andrzejowi Wajdzie w czasie prezentacji honorowego komitetu poparcia Bronisława Komorowskiego przed wyborami w 2010 r.: „Powinniśmy znaleźć jakąś formę, żeby zwrócić się do szefa telewizji publicznej. Dlaczego do publicznej telewizji? Dlatego, że to jest jedyna telewizja, która mówi do wszystkich Polaków. My możemy oczywiście mieć przyjaciół w TVN, nas może wspierać i druga telewizja [...] Polak siedzi parę godzin przed telewizorem i jeżeli tego nie ma w telewizji, tego nie ma w ogóle. Dlatego bardzo proszę, żeby ci, którzy lepiej się orientują i lepiej to rozumieją ode mnie, znaleźli taką formę, która by nam zapewniła miejsce w telewizji dla naszego kandydata i dla tych wszystkich, którzy będą przemawiać w jego imieniu".

Wracając do naszych głównych bohaterów, TVN i TVP, możemy użyć militarnego porównania. Po stronie prywatnego nadawcy mamy armię, która od wielu lat szlifuje swoje operacje, a kolejne starcia tylko ją umacniają. Naprzeciw niej stoi jedna dywizja, w której co chwilę zmienia się dowództwo, żołnierze i taktyka. To trudna sytuacja na polu bitwy. Dodatkowo komplikuje ją to, że zewnętrzny arbiter badający oglądalność, swoisty trybunał, nie gra fair.

Prezes TVP Jacek Kurski od miesięcy toczy boje z monopolistą na rynku badań, firmą Nielsen. Audytor od początku zapiera się przed podaniem, jak skonstruowany jest panel badawczy, czyli w których częściach kraju dokonywane są pomiary. Czy rzeczywiście jest tak, jak podnosi Kurski, że badani są tylko mieszkańcy miast, a prowincję Nielsen odpuszcza? „Mówiąc łopatologicznie: oglądalność tzw. pisowskiej telewizji bada w znacznym stopniu na terenach platformerskich" – mówił w wywiadzie dla wPolityce.pl. Ma to zasadnicze znaczenie, bo manipulacja na tym etapie zupełnie wypaczałaby badanie. Co najmniej zastanawiające są np. wyniki oglądalności show TVN „Mam talent", które miały być wyższe od transmitowanego w tym czasie w TVP meczu piłkarskiego Portugalia–Polska. Prezes telewizji publicznej mówił wprost o „kradzieży oglądalności na tzw. rympał". I rzeczywiście wydaje się, że pompujące stację prywatną wyniki podane przez Nielsena nie trzymają się blisko zdrowego rozsądku. W przeszłości takich przypadków było dużo więcej, gdy premierowe odcinki popularnych seriali w TVP miały – według audytora – mniejszą oglądalność niż powtórki u konkurencji. Warto pamiętać, że decyzję o badaniu oglądalności telewizji publicznej wyłącznie przez Nielsena, a rezygnacji z usług TNS OBOP, podjął prezes Juliusz Braun.

Co istotne, to nie tylko ambicjonalny spór o prymat na rynku. Pierwszeństwo oznacza wymierne korzyści finansowe. Dodatkowo chodzi o wywołanie wrażenia, że nie ma co wierzyć TVP, skoro ogląda ją coraz mniej ludzi. Większość przecież nie może się mylić.

> Ze słów Lisa wynikało, że TVN ma być jednym z najważniejszych narzędzi do odbierania władzy PiS. Prowadząca rozmowę Kolenda-Zaleska natychmiast zmieniła temat, czując, że Lis powiedział o jedno zdanie za dużo

DWA BIEGUNY

To wyścig, który można ocenić, tylko obserwując go równolegle. Wystarczy obejrzeć wydania obu dzienników przez choćby kilka dni, by zyskać pewność, że opisują one światy, które nie stykają się z sobą nawet minimalnie. W „Faktach" i „Wiadomościach" poruszane są w większości zupełnie inne tematy, a jeśli się czasami pokrywają, to ich interpretacja jest skrajnie różna.

Dobrym przykładem są tutaj materiały z pierwszych grudniowych programów na temat podsumowania trzech lat rządów Zjednoczonej Prawicy. W TVP słyszymy, że „większość Polaków zauważa polepszenie sytuacji" i na poparcie tych słów przedstawiane są stosowne statystyki. W materiale TVN wypowiedź przedstawiciela rządu (Michał Dworczyk, szef KPRM) natychmiast jest kontrowana trzema krytycznymi stanowiskami polityków PO (Janusz Lewandowski, Grzegorz Schetyna, Cezary Tomczyk), którzy mówią o „cepeliowskim przekazie mającym uspokoić Polaków i po raz kolejny powiedzieć nieprawdę". „Fakty" nie silą się nawet na poszukanie jakiegokolwiek eksperta, choćby udającego niezależność, ale spoza polityki, który odniesie się do działań rządu, lecz jako bezstronnych komentatorów przedstawiają parlamentarzystów Platformy. TVN z uporem ubiera polski rząd w „dążenie do polexitu", TVP próbuje narzu-

eprasa.pl 06c4c12585

cić ton sondami ulicznymi, w których mieszkańcy mniejszych lub większych miejscowości mówią, że pod rządami PiS „czują się wolni, bo mogą wybrać, kiedy przejść na emeryturę lub posłać dziecko do szkoły". Ten spór o codzienną politykę jest oczywiście najostrzejszy, ale przyjrzyjmy się, jak przedstawiane są materiały z zagranicy.

Zamieszki we Francji. Relacja w TVP mówi nam o fiasku polityki prezydenta Emmanuela Macrona, w którego „zainwestowały europejskie elity" – w tym miejscu z lubością przypominana jest wypowiedź Donalda Tuska o nadziei, jaką Europa pokłada we francuskim przywódcy. Reporter telewizji publicznej mówi o wzburzeniu z powodu podwyżek cen paliw, oderwaniu się elit od społeczeństwa i protestach zwykłych ludzi, do których przyłączyli się chuligani. W TVN natomiast relacja jest o wiele bardziej emocjonalna, a „chuligani" są tutaj określeni, według reporterki to „skrajna prawica", co wpisuje się w politykę stacji stygmatyzującą wszystko, co nieliberalne. Co ciekawe, w kolejnych dniach reporterka TVN mówi już o chuliganach z prawicy i lewicy, ale ta korekta może umknąć widzom.

Tematu trzylecia rządu czy płonących ulic Paryża nie da się pominąć, dlatego, choć inaczej, omawiają go obie stacje. Praktyka pokazuje, że wszystko inne nie jest już w przekazie dnia niezbędne. Niektóre tematy wspólne po prostu być nie mogą, to zrozumiałe, gdy chodzi o wewnętrzne promocje (np. TVP zachwala „Voice of Poland", transmisje skoków narciarskich lub mecze reprezentacji piłkarskiej, a TVN „Mam talent" czy świąteczną akcję swojej fundacji). Ale pewien zakres tematyczny można uznać za swego rodzaju papierek lakmusowy, który powie widzom, kogo naprawdę popieramy, a kogo chronimy.

O CZYM NIE POWIEDZIEĆ

TVN konsekwentnie rozdyma sprawę „afery KNF", rozsmarowując ją na coraz cieńsze warstwy, mimo że to temat sprzed tygodnia. Być może dlatego w TVP już o tym cisza. Przykład odwrotny, gdy telewizja publiczna przez kilka dni z rzędu analizuje nieudolny dyplomatycznie i pełen błędów list amerykańskiej ambasador Georgette Mosbacher do premiera Mateusza Morawieckiego, TVN udaje, że tematu już nie ma, choć dotyczy on przecież bezpośrednio tej stacji. Jak ognia telewizja prywatna unika także tematu afery reprywatyzacyjnej, widzowie „Faktów" nie dowiedzą się np. o wyroku na Marka M., potentata stołecznego złodziejstwa. Co ciekawe, kamera TVN była na posiedzeniu komisji reprywatyzacyjnej, lecz przy tej okazji nagrała wypowiedź jej członka, posła PiS Jana Mosińskiego, na temat... antyaborcyjnego listu Kai Godek do prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Takich różnic jest zdecydowanie więcej i po głębszej analizie można się w nich doszukiwać drugiego dna, światopoglądowego, a więc poniekąd politycznego. W materiałach TVN o szczycie

REKLAMA



Książka dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Patronat medialny: SIECI Polskie Radio 24

67/1118/F

eprasa.pl 06c4c12585





Fot. Shutterstock (x2)

klimatycznym obowiązkowo swoje okienko mają lewaccy działacze Greenpeace, z gruntu przeciwni rządowi PiS. W tych samych „Faktach" odnotowano także urodziny Radia Maryja, ale tylko po to, by wydrwić modlącego się z różańcem posła PiS Stanisława Piotrowicza i dać pole do dywagacji o finansach o. Tadeusza Rydzyka przedstawicielowi mikroskopijnego stowarzyszenia laickiego. To także okazja do podgrzania atmosfery wokół prawa aborcyjnego i przypomnienie, że PiS być może będzie się wkrótce starało je zaostrzyć. Być może. Stosunek do wiary i Kościoła to chyba największy po polityce rozstrzał, jaki widać przy analizie porównawczej „Wiadomości" i „Faktów". Czy początek Adwentu jest tematem? Tak, ale tylko dla TVP.

Kolejnym testem są tematy spoza miast. Czy warto opowiedzieć o wyborach Miss Kół Gospodyń Wiejskich? I to z lekkim przymrużeniem oka, a nie z drwiną? Owszem, ale również tylko w telewizji publicznej. Dlaczego? Być może wielkomiejska widownia TVN uznałaby to za obciach i zacofanie? Dla TVN ważne są wyprawy wysokogórskie i zbiórka na leczenie chorego na chłoniaka psa. Obiektywnie to także ciekawe tematy, ale dosyć odległe od szarego życia mieszkańców mniejszych miejscowości w Polsce.

Co jest blisko? Zdrowie. O tym wie i TVN, i TVP, ale i tu można różnić, szczególnie gdy rząd ma jakieś plany w tym obszarze. W ubiegłym tygodniu w obu stacjach były materiały o e-zwolnieniach, które – wydawałoby się – są oczywistym ułatwieniem dla wszystkich. W TVP bez entuzjazmu, bo na starcie coś się w systemie zacięło, ale w przyszłości ma być lepiej. Dziennikarze TVN wykonali za to naprawdę ekwilibrystyczną figurę, w której – by powiedzieć swoim widzom, że to porażka rządu PiS – odnaleźli lekarza z okolic Puszczy Noteckiej i przedstawili jego „dramat": nie skorzysta z innowacji, bo nie ma dostępu do internetu. Plus wspomniane kłopoty informatyczne w pierwszym dniu działania systemu, które dopełniły obrazu pisowskiej katastrofy.

Wracamy zatem do pytań postawionych na początku. Dla kogo jest szykowany ten przekaz? Czy on ma opisywać, czy kreować świat, który nas otacza? Wreszcie, jaką hierarchię wartości chcą narzucić telewizje widzom? Jeśli przyjmiemy, że ta konkurencja to rzeczywista walka o umysły Polaków, o ich sformatowanie, o namówienie do takiego lub innego wyboru politycznego, to różnice między TVN i TVP wydają się łatwiejsze do zrozumienia. To dwie instytucje, które mają po prostu zupełnie inne cele.

MISJA

Widać to dobrze również w całych ramówkach, a nawet w pełnej ofercie programowej obu koncernów. W tej analizie skupiamy się na polityce, a ta, z nieodłącznym gorącym konfliktem, nieco przesłania prawdziwy obraz, zwłaszcza propozycji TVP.

Niedocenianym walorem TVP są anteny regionalne. To one uzupełniają obraz dzisiejszej Polski. Gdyby nie one, o wielu tematach, nie tylko lokalnych, widzowie nie mieliby skąd się dowiedzieć. Telewizja publiczna to również bogata oferta sportowa, na którą wydawane są grube miliony. TVN zupełnie odpuściła ten segment.

Koncern z Wiertniczej poza polityką i biznesem (na dwóch antenach TVN24) kręci się wokół seriali, celebrytów, talk shows, reality shows. Wokół pustej rozrywki, często tandetnej, by nie powiedzieć: prostackiej.

Telewizja publiczna poza ambitnymi kanałami tematycznymi (historycznym, kulturalnym czy dziecięcym) również na głównych antenach dba o kulturę wysoką (artystyczne kino, Teatr Telewizji, niekomercyjne koncerty), ma redakcję rolną, katolicką, popularyzuje historię Polski (w dokumentach, debatach, widowiskach, serialach), a zatem pielęgnuje podstawowe elementy konstytuujące polski naród. Dba o wartości, których próżno szukać na antenach TVN. A że obok emituje również kabarety i disco polo? Ma być dla wszystkich, niezależnie od gustów. I stara się być.

Może właśnie dlatego stanowi dla konkurencji takie zagrożenie. Nie tylko ekonomiczne, lecz przede wszystkim ideowe. Mimo wszystkich wad jest tarczą przeciw lewicowo-liberalnej inżynierii społecznej, o którą tak walczą redaktorzy i dyrektorzy z Wiertniczej oraz stojący za nimi politycy. A także uniemożliwiła i wciąż uniemożliwia siłową zmianę wyniku wyborów z roku 2015, o czym tak wiele środowisk marzyło.

Autopromocja

eprasa.pl 06c4c12585

GRUDZIEŃ

MOCNY TYDZIEŃ

z TELEWIZJĄ WPOLSCE PL

PONIEDZIAŁEK 17:05



BARDZO WAŻNA SPRAWA

WTOREK 22:00!



SERIAL SŁUGA NARODU

WŁĄCZ WPOLSCE PL

ŚRODA 13:05!



PROSZĘ TO WYJAŚNIĆ

CZWARTEK 17:25



TYDZIEŃ JACKA I MICHAŁA KARNOWSKICH !

PIĄTEK 22:00



BEZ SPINY !!!

eprasa.pl 06c4c12585



Fot. Fratria

Prezydenci dużych miast nie mają najmniejszych skrupułów, rozpoczynając swoje kadencje od zapowiedzi drastycznych podwyżek. Bo i po co skrupuły? Nie będzie trzeba wytężać głowy, szukając bardziej efektywnych sposobów gospodarowania środkami, zamiast tego za wszystko zapłacą mieszkańcy, a rachunek polityczny wystawi się PiS

Koniec zabawy



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Co się stało z programem wyborczym prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego? Czyżby wycofał się ze złożonych mieszkańcom obietnic? Od chwili wygranej w wyborach Trzaskowski zmienił ton i bardzo niechętnie wracał do własnych propozycji, a jeśli już, to zwykle zastrzegając, że to czy owo należy jeszcze raz przemyśleć. Gdy dwa tygodnie temu zniknęła z internetu strona z jego programem wyborczym, wielu uznało, że po prostu ostatecznie zamknął temat, a ci, którzy w Warszawie naiwnie łączyli z jego wyborem swoje nadzieje na jakieś zmiany, zostali wystawieni do wiatru.

I choć program ostatecznie odnalazł się na Facebooku, to nikt chyba nie liczy, że Trzaskowski traktuje go poważnie. Nie ma zresztą powodu, aby było inaczej. W ostatnich wyborach samorządowych chodziło przecież tylko o to, aby „przywalić" PiS. Kandydaci antypisu w dużych miastach, którzy – tak jak Hanna Zdanowska i Rafał Trzaskowski w pierwszej turze czy Jacek Majchrowski lub Paweł Adamowicz w drugiej – zebrali ponad połowę oddanych głosów, nie muszą już łamać sobie głowy potrzebami swoich wyborców. Przynajmniej do czasu kolejnych wyborów.

A TERAZ RACHUNEK

Mimo wszystko nonszalancja, która ujawniła się tuż po wyborach samorządowych, może zadziwiać. Zaczęło się od prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, który rozpoczął urzędowanie w kolejnej kadencji od bezceremonialnej zapowiedzi dotkliwej podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej. Wkrótce potem pakiet wysokich podwyżek obejmujący oprócz biletów także opłaty za wywóz śmieci, ścieki i podatki od nieruchomości ogłosiła prezydent Łodzi Hanna Zdanowska. Również Rafał Trzaskowski „nie wyklucza" wzrostu cen (niektóre już porządnie wzrosły, np. za użytkowanie wieczyste), co należy odczytywać jako eufemistycznie ujętą zapowiedź kolejnych dużych podwyżek w stolicy. W ślad za liderami idą lub wkrótce pójdą także inni samorządowcy. Wygląda więc na to, że najbardziej odczuwalnym rezultatem niedawnych wyborów samorządowych będzie fala drożyzny, zwłaszcza w miastach.

Oczywiście ten skok cen nie jest całkiem oderwany od rzeczywistości. Głównym czynnikiem są tu gwałtownie rosnące koszty energii elektrycznej, które wynikają z kolei z unijnej polityki ograniczania emisji dwutlenku węgla do atmosfery. Minister energii zapowiedział już wprawdzie programy osłonowe, dzięki którym – wedle jego zapowiedzi – indywidualni odbiorcy nie dostaną wyższych rachunków za prąd, ale i tak PiS ma poważny problem, bo dobrze wie, że wysokie ceny będą sprzedane opinii publicznej wyłącznie jako skutek jego nieudolnych rządów oraz pazerności prezesów państwowych (a więc „pisowskich") spółek energetycznych. W tym duchu napisał swój list do premiera Morawieckiego prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc (kiedyś SLD, dziś własny komitet).

Skoro więc wszystko można łatwo zwalić na PiS, to nic dziwnego, że nikt spośród antypisowskich prezydentów miast nie ma najmniejszych skrupułów, wprowadzając wysokie podwyżki. Bo i po co? Nie będzie trzeba wytężać głowy, szukając bardziej efektywnych sposobów gospodarowania środkami miasta, zamiast tego za wszystko zapłacą mieszkańcy, a rachunek polityczny wystawi się PiS.

eprasa.pl 06c4c12585

PŁACZ I PŁAĆ

Czy ludzie są aż tak głupi, aby dać się na to nabrać? – zapyta ktoś. Ależ czemu nie. Przypomina mi się w tym kontekście wyczytany niedawno na Facebooku dramatyczny apel pewnej starszej pani z Warszawy, która otrzymała właśnie – jak wielu innych mieszkańców – zawiadomienie o wysokiej podwyżce opłat za użytkowanie wieczyste mieszkania. Pani użalała się, że po tej podwyżce nie będzie miała środków do życia. Jednocześnie jednak przyznała, że zagłosowała na Rafała Trzaskowskiego, bo przecież „nie mogła oddać głosu na PiS". Inaczej mówiąc, zagłosowała wbrew własnemu interesowi, aby „dowalić" partii rządzącej. Ktoś jej przytomnie odpowiedział, że mogła w ogóle nie głosować albo wybrać kandydata spoza PiS i PO, ale jeśli mimo to zdecydowała się oddać głos na Trzaskowskiego, to niech teraz płacze i płaci. Bo nie PiS, lecz samej sobie zrobiła na złość.

Antypis – przynajmniej dziś – może sobie w miastach pozwolić na wszystko, a w każdym razie na znacznie więcej niż inni. Bo i tak wielu ludzi na niego zagłosuje. Będą płakać, ale zagłosują. Tym bardziej że przecież to nie ta spauperyzowana, zagubiona w antypisowskim amoku część miejskiego elektoratu jest dla niego najważniejsza.

HULAJ DUSZA!

Głównym zapleczem wyborczym antypisowskiej opozycji jest znacznie bardziej wpływowa grupa zamożnych mieszkańców miast. Jest ona dość różnorodna, począwszy od kadry kierowniczej w korporacjach, poprzez wolne zawody: prawników, lekarzy, architektów, skończywszy na rozmaitych środowiskach artystycznych i hipsterach przesiadujących całymi dniami w modnych kawiarniach. Do tego dochodzi bardziej liczne grono aspirujących do tych grup parweniuszy wykazujących się szczególną gorliwością w narzekaniu na „represje reżimu".

Z punktu widzenia tego elektoratu najważniejsze jest powstrzymanie jakichkolwiek zmian. Warszawą od 12 lat rządziła Hanna Gronkiewicz-Waltz z PO i głos oddany na Rafała Trzaskowskiego miał być głosem za na kontynuacją dotychczasowej linii. Podobnie było w większości dużych miast, gdzie okopani na swoich stanowiskach wieloletni prezydenci zwykle wywodzący się ze środowisk związanych z PO mieli być gwarantami, że „będzie tak, jak było". Zmiana, która była lejtmotywem polityki PiS od 2015 r., miała zostać w tych wyborach symbolicznie odrzucona. I w większości miast, zwłaszcza tych dużych, tak się właśnie stało.

Trudno się zatem spodziewać, że ludziom, którzy najlepiej czuli się pod rządami PO, będzie dziś przeszkadzać wycofywanie się ich faworytów ze złożonych podczas kampanii obietnic wyborczych. Ta najważniejsza obietnica, jaką było niedopuszczenie do wygranej PiS, została przecież spełniona. Reszta się nie liczy, reszta była tylko lepem na pospólstwo, aby odciągnąć je od wroga.

Zresztą pospólstwem nikt się specjalnie nie przejmuje. Ono miało swoją szansę, aby siedzieć cicho, ale w 2015 r.

AUTOPROMOCJA

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie





Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik SIECI i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Płonące Pustkowie"
o wartości 39,90 zł otrzymasz gratis!

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

pasa.pl 06c4c12585

tej szansy nie wykorzystało. Zapowiedziane podwyżki nie będą zbyt dotkliwe dla głównego zaplecza antypisowskiej opozycji. Droższe bilety na tramwaj? A kto normalny jeździ tramwajem? Wyższe opłaty za wodę i śmieci? Jeśli to ma być cena za odsunięcie PiS i powrót do „normalności", to warto ją zapłacić – kilkaset złotych w tę czy w tamtą stronę nie robi przecież różnicy. Powrót reprywatyzacyjnej mafii? Jakiej znowu mafii, jak kogoś nie stać na mieszkanie w kamienicy, to niech wynosi się na prowincję. I tak dalej.

Bogaty leming dyszy żądzą zemsty za ostatnie trzy lata ustępowania „hołocie". Ta zemsta jest tym bardziej słodka, że – jak przewiduje – gniew pospólstwa obróci się tym razem przeciwko PiS. A potem to już hulaj dusza, piekła nie ma.

TĘCZA NA OSŁODĘ

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że utrzymanie władzy w miastach i powstrzymanie zmian w „pisowskim duchu" wyznacza granice ambicji antypisu. Miasta, które stały się dziś twierdzą opozycji i przyczółkiem do walki o władzę w całym państwie, są również poligonem w procesie znacznie szerszej eliminacji prawicy z życia publicznego. Przykładem może być nabierająca monopolistycznego charakteru promocja liberalnej ideologii w zdominowanych przez antypis miejskich samorządach.

Rozdająca karty w tych samorządach Platforma Obywatelska nie działa bowiem w próżni. Budowa antypisowskiego frontu skłania ją do poszukiwania sojuszu z liberalną lewicą miejską. Korzyści wydają się dziś obustronne – przedstawiciele tej lewicy (niekiedy ideologiczni fanatycy) zyskują miejsce w instytucjach samorządowych, a wraz z nim wpływ na politykę miasta, z kolei PO poszerza swoją bazę wyborczą i zyskuje pochlebne recenzje za granicą jako postępowy nurt polskiej polityki. Temu sojuszowi gorąco kibicuje „Gazeta Wyborcza", która zdając sobie sprawę z instytucjonalnej słabości liberalnej lewicy, od dawna promuje scenariusz przenikania jej działaczy do polityki w ramach porozumienia z PO.

Na gruncie warszawskim charakterystyczne było tutaj przekazanie kierownictwa miejskiej Komisji Kultury i Promocji Miasta znanej aktywistce z „Krytyki Politycznej" Agacie Diduszko.

Pani Diduszko (znana powszechnie jako żona Wojciecha Diduszki, który w grudniu 2016 r. leżąc na jezdni przed Sejmem, udawał ofiarę represji reżimu), z pewnością zadba o to, aby wyeliminować z warszawskiego obiegu jakiekolwiek konserwatywne czy prawicowe treści. W zamian możemy się spodziewać dalszego wydawania publicznych pieniędzy na inicjatywy w rodzaju skandalicznej „Klątwy" Frljicia lub na „wychowanie" mieszkańców w duchu nowej „wielokulturowej i tęczowej" Warszawy, tak jak dzieje się to od pewnego czasu w rządzonym przez Jacka Jaśkowiaka Poznaniu czy w Gdańsku Pawła Adamowicza.

> Antypis dyszy żądzą zemsty za ostatnie trzy lata ustępowania „hołocie". Ta zemsta jest tym bardziej słodka, że – jak przewiduje – gniew pospólstwa obróci się tym razem przeciwko PiS

Oczywiście realne problemy miasta, społeczne, infrastrukturalne, zejdą na nieco dalszy plan. Przesłoni je widok maszerującego w Paradzie Równości Rafała Trzaskowskiego i powiewające na każdej latarni tęczowe chorągiewki. A budżet miasta zasili hojnie liczne inicjatywy w rodzaju badań nad liczebnością uchodźców na warszawskim Wilanowie, organizacji „tęczowych piątków" w szkołach czy warsztatów walki z mową nienawiści dla bezrobotnych.

Z punktu widzenia elektoratu PO to optymalny program na przyszłość. Zmiany wyłącznie w sferze symbolicznej, a nie w realnej. Nie naruszają interesów najbardziej uprzywilejowanych grup i jednocześnie leczą z silnego w tych środowiskach kompleksu zaściankowości. Być może zmotoryzowanym lemingom nie przypadną do gustu plany zwężania ulic i likwidacji parkowania na chodnikach, ale tutaj lewica okaże się zapewne elastyczna. Wiceprezydent Warszawy Paweł Rabiej uspokoił już, że pomimo początkowych zapowiedzi miasto nie będzie walczyło z kierowcami. To zrozumiałe, zwłaszcza że po podwyżkach cen biletów komunikacji miejskiej część pasażerów przeniesie się do aut i ulice jeszcze bardziej się zakorkują.

BĘDZIE, JAK BYŁO

Pierwsze posunięcia antypisu w miastach dają nam przedsmak tego, czego możemy się spodziewać w przypadku, gdyby PO powróciła do władzy. Marginalizacja upośledzonych ekonomicznie warstw społecznych, nawet tych, które otumanione antypisowskim wzmożeniem oddadzą głos na PO, ochrona interesów wąskich grup, zarzucenie planów szerokiej modernizacji i uruchomienie w zamian gwałtownej ofensywy ideologicznej zmierzającej do trwałego wyeliminowania prawicy z życia publicznego. W tym opisie brakuje jedynie zapowiadanych otwarcie czystek kadrowych i represji prawnych wobec zwolenników PiS, co wynika jedynie z tego, że na poziomie samorządów miejskich prawica nie pełniła żadnych istotnych funkcji.

Czy ten scenariusz jest możliwy? Jeśli PO przejmie władzę, to z pewnością tak. W tej chwili nic nie jest jeszcze przesądzone. Na razie antypis stara się maksymalnie poszerzyć swój elektorat, sięgając również do tych, którzy w 2015 r. odebrali mu władzę. Najpierw podejmując w miastach niepopularne decyzje o podwyżkach i wycofując się z własnych obietnic w kampanii przed wyborami samorządowym, a potem kierując gniew najbardziej poszkodowanych wyborców przeciwko PiS.

To strategia na krótką metę. Ale dla antypisowskiej opozycji to nie ma dziś znaczenia, do wyborów pozostał już tylko rok.

eprasa.pl 06c4c12585

Pan Szmaciak



Elity III RP traktują własny kraj jak największy grajdoł w Europie, a Polaków jak dzicz godną wyłącznie pogardy. Warto zadać pytanie: dlaczego?



STANISŁAW JANECKI

„Jakaś pi...da, wiesz, taka, zamiast ją dowartościować, przep...ić jak trzeba, to dał jej jakieś biuro. I się zemściła suka, i całe ministerstwo miało kłopoty z tego powodu. A trzeba było się poświęcić". Osoba pogardliwie nazywana słowem na „p" to kontrolerka NIK. Ten, który miał ją „dowartościować", to w latach 2012–2016 ambasador RP w USA Ryszard Schnepf. Miejsce akcji to Waszyngton. Narratorem jest ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski. Rozmówca to miliarder Jan Kulczyk. Wszystko tu się zgadza oprócz języka, jakiego używa absolwent Oxford University. Rzeczywisty, a nie „wybitny ekonomista" po Oksfordzie Nikodem „Dyzma", choć akurat on jako najgrubszego słowa użył (w cyrku) określenia: „A g...o!".

Cytat z Sikorskiego pochodzi z 2014 r., ale został ujawniony bardzo niedawno. Jest dobrym przyczynkiem do analizy języka elit III RP. I nawet nie jest najważniejsze to, że słowo na „k" służy tu za przecinek, dowcip nie wybiega poza koszarowy sznyt, a innych obgaduje się w sposób taki, że magiel przy tym to uniwersytet. W języku elit III RP dominuje pogarda dla zwykłych ludzi, ogromna pycha, przekonanie, że stoją ponad prawem i zasadami, poczucie, że są panami świata. O gigantycznych pokładach narcyzmu nie wspominając.

CHŁOPCY Z FERAJNY

Wielokrotnie w tygodniku „Sieci" oraz na portalu wPolityce.pl zajmowałem się językiem i kompetencjami kulturowymi elit politycznych III RP, m.in. Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego, Włodzimierza Cimoszewicza, Marka Belki, Donalda Tuska, Ewy Kopacz, Elżbiety Bieńkowskiej, Grzegorza Schetyny, Radosława Sikorskiego, Jana Vincenta Rostowskiego czy Tomasza Siemoniaka. Także aspektami funkcjonowania ludzi nauki, m.in. Jana Hartmana, Marcina Króla, Zbigniewa Mikołejki, Ireneusza Krzemińskiego, Andrzeja Rzeplińskiego, Wojciecha Sadurskiego, Marcina Matczaka, Magdaleny Środy czy Moniki Płatek. Zajmowałem się też pod tym kątem twórcami, m.in. Andrzejem Wajdą, Agnieszką Holland, Krystianem Lupą, Andrzejem Stasiukiem, Januszem Gajosem, Olgierdem Łukaszewiczem, Krystyną Jandą, Marią Nurowską, Wojciechem Pszoniakiem, Jerzym Stuhrem czy Adamem Ferencym. Swój wpływ na język elit III RP chcieli również mieć dziennikarze (m.in. Adam Michnik, Jarosław Kurski, Wojciech Mann) oraz celebryci (Maciej Stuhr, Grażyna Wolszczak, Krzysztof Materna, Renata Dancewicz, Andrzej Saramonowicz, Zbigniew Hołdys, Paulina Młynarska). To są wprawdzie różne kręgi, ale łączy je poczucie przynależności do innego, lepszego świata. Oczywiście elitarnego. A gdy już się ma poczucie przynależności do elity, można łamać konwencje, w tym językowe.

Kiedy się analizuje język elit politycznych III RP, powstaje wrażenie obcowania z „chłopcami z ferajny" („goodfellas" z filmu Martina Scorsese). Atmosfera rozmów prowadzonych przez „elitę" w restauracji Sowa & Przyjaciele bardzo

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk, Tomasz Kawka/East News, VIPhoto/East News

eprasa.pl 06c4c12585

przypomina opowieści snute w nowojorskim nocnym klubie Copacabana przez Henry'ego Hilla, Jimmy'ego Conwaya, Tommy'ego DeVitto, Paula Cicero czy Billy'ego Battsa, co próbował zrekonstruować Nicholas Pileggi, autor książki „Wiseguy", będącej podstawą scenariusza filmu Scorsese. „Elity" poprzedniej władzy mówią prawie wyłącznie o tym, gdzie i jaki interes jest do zrobienia. Bo nawet obsadzanie państwowych stanowisk jest traktowane w kategoriach interesu konkretnej grupy, czyli odpowiednika „goodfellas". Zwykle chodzi o to, czy „nasz człowiek" w konkretnym miejscu jest dobrą gwarancją zabezpieczenia „naszych interesów". Państwo jest tu tylko tłem, dojną krową, odpowiednikiem sejfu, który trzeba rozpruć, albo kasynem, w którym się „strzyże frajerów".

W podobnych ramach funkcjonują „chłopcy z ferajny" rozmawiający przy stolikach czy na zapleczu w klubie Copacabana, z tym że tam chodzi głównie o narkotyki i hazard. Władzę sprawuje się po to, żeby coś załatwić dla „chłopców z ferajny" i ich klienteli, ewentualnie żeby coś kupić za grosze, by potem na tym zarobić. To świat odarty z wyższych wartości, skoncentrowany na geszeftach i świadczeniu usług wzajemnych. Właściwie nie ma tam miejsca dla bezinteresowności, altruizmu, szlachetności ani troski. Wszystkim się handluje, nawet gdy nie używa się pieniędzy, bo wiele spraw jest załatwianych na zasadzie barteru dóbr i usług. Takie „elity" władzy funkcjonują prawie wyłącznie w roli pasożytów, a żywicielami są dla nich państwo, majątek narodowy, zasoby wspólnoty.

> Podstawowy problem elit III RP, odciskający się w języku, to kompleksy leczone wyżywaniem się na słabszych, gorzej sytuowanych materialnie czy zajmujących niższe miejsce w społecznej hierarchii

W filmie Martina Scorsese grają wybitni aktorzy, więc choć to wzorcowi „goodfellas", w większości bez wykształcenia, często wypowiadają się lepiej i składniej niż „elita" biesiadująca w restauracjach Sowa & Przyjaciele oraz Amber Room. Ale niewątpliwie łączy ich mentalność. Choćby w tym, jakie dowcipy opowiadają. W Amber Room Radosław Sikorski opowiadał Janowi Vincentowi Rostowskiemu taki „wyrafinowany" dowcip: „Znasz to? Przychodzi pan Jacek do burdelu. – [JR] – Pan Jacek? [RS] – Tak. [JR] – A może pan Radek? [śmiech] No, mówisz. [RS] – A burdelmama mówi: »Panie Jacku, pan już dzisiaj trzeci raz«. »K..., przez tę sklerozę to się zap...ę na śmierć«. [JR] – Piękne [śmiech]". Skoro piękne, to Radosław Sikorski kontynuował: [RS] – Słyszałem dziś kawał. Agencja towarzyska, oferta promocyjna, cennik. Szef agencji mówi: »Panowie, blow job – 25 złotych. Anal job – 35 złotych«. To bardzo przystępnie. [JR] – To bardzo przystępnie. [RS] – Klient pyta: »A klasyczne pie...nie?«. A szef burdelu odpowiada: »Klasyczne nie jest jeszcze w ofercie, bo niestety jestem jeszcze sam«".

CHAMY I PROSTAKI

Typowe dla elit III RP jest traktowanie własnego kraju jako największego grajdołu w Europie, a Polaków jako cywilizacyjnej zakały tejże Europy, jako dziczy godnej wyłącznie pogardy. Pisarz Andrzej Stasiuk (w rozmowie z „Gazetą Wyborczą") obwieścił, że „40 proc. [Polaków] nie rozumie języka, którym się do nich przemawia. Odbiera jedynie literalną treść. [...] Czytają czasowniki i rzeczowniki, podmioty i orzeczenia". Dlatego do tej miernoty trafia „ten słynny prezes", który „obiecał ludowi święty spokój. Taki dil: wy na nas głosujecie, a my wam mówimy, że jesteście super, bo narodowości polskiej". Powiedział im, że „są w porządku tacy, jacy są, tylko reszta świata ich nie doceniła". A naprawdę ci ludzie „nie mają talentu do życia i nie potrafią się nim zaspokoić", więc „wydaje się, że są nieustannie dymani. I szukają wrogów, którzy ich rzekomo dymają". Ci przedstawiciele nieokrzesanej czerni nie zdają sobie sprawy, że „są trochę brzydsi, trochę głupsi, trochę mniej utalentowani, trochę słabiej mówią po polsku". Oni „tęsknią do jakiegoś prestiżu, autorytetu, a tu ni chu-chu".

Nawet aktor Wojciech Pszoniak (na łamach „Newsweeka") obnażył „chamów i prostaków", którzy „w Polsce nagle zajęli miejsce na świeczniku i nadają ton". W efekcie „miernoty i karierowicze zmuszają nas do tego, żebyśmy byli tacy jak oni". Z kolei reżyser teatralny Krystian Lupa dostrzegł, że „prawdziwą przestrzenią duchową [w Polsce] jest religia frustracji i krzywdy, do której katolicki Bóg, idee zemsty i odwetu, »zamach« smoleński lub 500+ wdzierają się przez szczeliny". W efekcie Polska „to kraj, z którego trzeba uciekać – i to nie dlatego, że się komuś grunt pali pod nogami czy że nie ma co żreć. Z tego kraju trzeba uciekać, bo wstyd, bo życie tu nie ma sensu".

Prof. Jan Hartman odkrył, że „ta władza jest ekspozyturą warstw mniej wyedukowanych i uboższych, więc ich reprezentanci też nie są ludźmi specjalnie wykształconymi. [...] Nadal dominuje tradycyjna masa ludowa, ludzie, którzy swoją tożsamość społeczną definiują przez religię, obyczaj, swojskość, ale nie przez ideały polityczne". Elity chamstwu „odpuściły", więc „dziś Polską rządzą dwie wsteczne siły o podobnej strategii przetrwania. Kościół, tak jak PiS, utrwala izolującą, anachroniczną i lękową mentalność niewykształconych warstw społeczeństwa. Chce, by te warstwy przetrwały i nadal żyły w zaścianku i zacofaniu". I przez to „Polska zatrzymała się w rozwoju politycznym i jest jak traktor na zbyt stromym stoku: zamiast się wznosić, zsuwa się, choć coraz silniej buksuje w błocie".

Podobne odkrycia czyni prof. Zbigniew Mikołejko, filozof i historyk religii (w „Gazecie Wyborczej" oczywiście). Twierdzi, że to „polski cham" pozwala Jarosławowi Kaczyńskiemu rządzić w sposób „brutalny, bezczelny, bezpardonowy". I definiuje chama jako człowieka bez właściwości oraz tchórza,

eprasa.pl 06c4c12585

który „kryje się po jakichś kątach czy norach" i czasem z nich „wypełza". Tylko chamscy podludzie mogą głosować na kogoś, kto nie należy do lepszego towarzystwa. A można ich kupić ochłapem w postaci 500 zł, „obietnicą darmowego obiadu albo flaszki". Można kupić m.in. zdrowe, młode samice, którym nie chce się pracować, tylko rodzą dzieci, żeby wyciągać „łapy" po dodatek dla samic za ich rozrodczość. Te samice są oczywiście na tyle głupie, że biorą te nędzne 500 zł i dają sobą manipulować oraz pozwalają wypychać się z rynku pracy oraz uzależniają się od dających. To, co robią matki, jest właściwie zwierzęce. Chamy i samice nie chodzą, tylko się „włóczą", nie mają mieszkań, tylko „nory", nie wychodzą na zewnątrz, lecz „wypełzają", nie mają rąk, tylko „łapy".

POWRÓT DO PRL

Wielu przedstawicieli naukowych elit III RP niczego nie bada, tylko wygłasza kazania na temat obrzydliwości potencjalnych badanych. I z powodu tej ohydy wolą nic nie badać, tylko wyrażają swoją wyższość oraz poczucie obrzydzenia właśnie. Po co zresztą badać jakąś hołotę czy samice w kategoriach nauk społecznych, skoro wystarczy kilka darwinowskich czy biologicznych kategorii. „Elita", w tym kulturalna, nie stara się niczego zrozumieć, tylko napiętnuje i obrzydza wszystko, co nie mieści się w jej wyobrażeniach. Potrafi tylko obrażać, etykietować i degradować. To podszyta pychą i samozadowoleniem rezygnacja z roli naukowca, inteligenta oraz twórcy. Ktoś taki zakłada, że ma do czynienia z ludzkim robactwem, które trzeba po prostu spryskać jakimś specyfikiem, żeby je wytruć.

Język elit III RP dowodzi kulturowego ubóstwa osób zaliczających się do wybrańców. W języku tych elit widać ogromny kontrast między pretensjami do europejskości czy światowości a bardzo płytką i świeżą kompetencją kulturową. Widać też absolutną pogardę dla prostych ludzi oraz alienację. Nie chodzi nawet o używanie „brzydkich wyrazów", lecz o przyznanie sobie specjalnych praw do oceniania i poniżania innych, żeby w ten sposób ukryć własne kompleksy.

Podstawowy problem elit III RP, odciskający się w języku, to kompleksy leczone wyżywaniem się na słabszych, gorzej sytuowanych materialnie czy zajmujących niższe miejsce w społecznej hierarchii. Wytłumaczeniem tego stanu rzeczy może być to, że wiele elementów języka elit III RP wskazuje ich wieloaspektowe podobieństwo do przaśnych elit PRL, choć oni sami chcieliby się odnosić do elit II RP. To „inteligenci ostatniej godziny" w PRL pogardzali ludźmi i mieli ich za nic. Tym bardziej pogardzali, im bardziej czuli własne kompleksy i niedostatki. Janusz Szpotański tamtych nazywał „towarzyszami Szmaciakami", tych współczesnych można by nazwać panami Szmaciakami.

AUTOPROMOCJA

Zimowa promocja



Zamów subskrypcję tygodnika „Sieci" w wersji elektronicznej

a dodatkowo otrzymasz GRATIS:

- ✓ wSieci Historii – dostęp do e-wydań miesięcznika w okresie subskrypcji
- ✓ Sieci EXTRA – specjalne e-wydanie przygotowane dla czytelników Sieci Przyjaciół
- ✓ Newsletter – najlepsze artykuły z portalu wPolityce.pl bezpośrednio na e-mail

1 miesiąc

~~19,99 zł~~

9,99 zł

12 miesięcy

159,99 zł

+

Koszulka

o wartości 103zł

gratis!



www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl 06c4c125585

Boso przez świat skandali

Na pewno wie, co chce powiedzieć. Ma to dokładnie przemyślane i tego się potem trzyma. Nie szuka kompromisów – mówi Krzysztof Skowroński, szef Radia Wnet.

Nie bardzo chce się wypowiadać o Cejrowskim. To zresztą reguła: im bliżej ktoś zna Cejrowskiego, tym ostrożniej waży słowa. Usta zamyka nie tylko lojalność, czasem też obawa, jak zareaguje znany z cholerycznego temperamentu dziennikarz.

Tym razem sytuacja jest szczególna i kłopotliwa – w swoich prowokacjach poszedł tak daleko, że udało mu się zaszokować nawet przyjaciół.

– Owszem, byłem zbulwersowany, ale przecież wiedziałem, kogo zapraszam. Gdyby moim gościem był ktoś inny, zareagowałbym mocniej. Uznałem jednak, że pozostawię jego słowa ocenie słuchaczy – przyznaje w końcu Skowroński.

To właśnie w jego audycji Cejrowski wygłosił tyradę na temat Jarosława Kaczyńskiego, nazywając go chamem, który ośmielił się w Sejmie pogrozić posłance palcem. Ten gest uznał za tak niedopuszczalny, że stwierdził, iż prezes PiS powinien „dostać z liścia" za obrazę kobiety.

Wojciech Cejrowski w roli arbitra savoir-vivre'u jest wyjątkowo mało przekonujący. Wręcz absurdalny, biorąc pod uwagę, że dobre maniery nigdy nie plasowały się wysoko w systemie wartości „kowboja RP", a staroświecki gest pogrożenia palcem jest niczym wobec brutalnych fauli, których sam się z upodobaniem dopuszcza.



MAJA NARBUTT

Skandal jest jego żywiołem. Niektórzy mówią, że Wojciech Cejrowski to prawicowe polityczne disco polo. Walczył z polityczną poprawnością, ale dziś otwiera nowe fronty i sprawdza, jak daleko może się posunąć

– Lubi być w konflikcie. Wynika to nie tylko z jego temperamentu czy z tego, że coś mu się nie podoba. Niewątpliwie uważa, że skandal mu służy. Skandal jest doskonałą promocją, przekłada się na sprzedaż książek, nawet tych podróżniczych, i powodzenie w biznesie. A na tym mu bardzo zależy – uważa Grzegorz Brzozowicz, autor biografii Cejrowskiego.

Cejrowski może czuć do Kaczyńskiego niechęć, uważając, jak część radykalnej prawicy, że „socjalista z Żoliborza" jest zbyt mało radykalny. Wie też doskonale, że gdy Kaczyński znajdzie się na jego celowniku, przyciągnie to uwagę publiczności.

Od pewnego czasu Cejrowski robi zaś wszystko, by znów znaleźć się w centrum tej uwagi. Sekwencja zdarzeń jest zastanawiająca. Najpierw w radiowym przeglądzie prasy powiedział, że „Kaczyński ma za pazurami krew niewiniątek", i zarzucił mu, iż nie zajął się ustawą wprowadzającą całkowity zakaz aborcji.

Ta wypowiedź praktycznie przeszła początkowo niezauważona, najwyraźniej przegląd prasy nie jest tym miejscem, gdzie lansuje się opinie, które odbijają się szerokim echem.

Bardzo szybko Cejrowski po raz kolejny postarał się wywołać skandal: w studiu TVP spalił flagę UE. Sam ten gest ze strony Cejrowskiego nie byłby niczym niezwykłym, biorąc pod uwagę, że określa Unię mianem „sowieckiego ścierwa". Istotne było jednak miejsce performance'u. Palenie unijnej flagi w studiu telewizji publicznej mogło ożywić niedobrą dla Polski narrację o polexicie.

Oczywiście palenie flagi zostało z nagrania wycięte, ale Cejrowski zamieścił usunięty fragment w internecie, opatrując zachęcającym tytułem: „NOWE. Uwaga, Cejrowski pali logo UE!".

Zrobił zresztą wszystko, by eskalować sytuację – zadbał o to, by wszyscy się dowiedzieli, że TVP zdecydowała, iż przez jakiś czas nie będzie się on pojawiał w programie „Minęła 20", gdzie był w czwartki gościem Michała Rachonia.

eprasa.pl 06c4c12585

Z satysfakcją stwierdził też, że wbrew temu, co się oficjalnie mówi, powodem jego zawieszenia absolutnie nie było palenie flagi, ale to, co powiedział o krwi niewiniątek za pazurami Kaczyńskiego. I dodał prowokacyjnie, że przecież tej krwi nie wyliże, a flagi nie sklei.

– Zawsze testuje, jak daleko sięga granica, do której może się posunąć. Bada, co się stanie, jeśli ją przekroczy. Niby jest bezkompromisowy, ale kiedy miał przed laty program w TVN Style, był znacznie bardziej ostrożny i nie pozwalał sobie na wiele. Teraz raczej uznał, że mu się upiecze. Jest dla telewizji zbyt cenny, by się go pozbyto – mówi jego wieloletni znajomy.

Atutem Cejrowskiego, o którym przypomniał również przy okazji tego skandalu, jest to, że zawsze gdy się pojawia na ekranie, skaczą słupki oglądalności. Traktuje to jak swoisty immunitet.

PRAWICOWE DISCO POLO

– Dla show Cejrowski zrobi bardzo dużo. Nie zawaha się powiedzieć drastycznych rzeczy, jeśli uważa, że wywołają wrażenie na publiczności. Zawsze może liczyć na poklask pewnej grupy odbiorców, która będzie się zachwycać, że przywalił na odlew. Jak to ktoś określił: Cejrowski to prawicowe polityczne disco polo – mówi publicysta Piotr Semka.

Do Cejrowskiego ma stosunek chłodny: już wcześniej zauważył sygnały ostrzegawcze, które mogły świadczyć, że w pogoni za popularnością traci on z pola widzenia sprawy zasadnicze. Zirytował się zwłaszcza, gdy w programie niemieckiej telewizji ARD Cejrowski z dużą lekkością mówił, że Szczecin nie jest właściwie polskim miastem, o czym świadczyć ma rzekomo milion niemieckich grobów na miejscowych cmentarzach.

– Kiedyś podobały mi się ostre programy telewizyjne Cejrowskiego, ta ostrość czemuś wtedy służyła. Zapadła mi na przykład w pamięć audycja, w której proponował edukatorce seksualnej, by przed kamerami zrobiła to, do czego zmusza dzieci, czyli założyła prezerwatywę na banana i przeżyła uczucie wstydu, które dzieciom towarzyszyło – wspomina Semka.



Fot. Sopotnicki/Shutterstock.com

eprasa.pl/66c4c12

Ale od czasów programu „WC Kwadrans" wiele się zmieniło. Cejrowski pierwszy tak bezkompromisowo i efektownie walczył z poprawnością polityczną. Kiedy szydzono z ciemnogrodu, potraktował to określenie jako symbol katolickich oraz narodowych wartości i je nobilitował.

Płacił za to wysoką cenę – zarzucano mu homofobię, ksenofobię, nacjonalizm, a przez „GW" został nazwany „brunatnym kowbojem". Procesy, które wytaczał w obronie dobrego imienia, przegrywał.

Od kilku lat jednak walka z poprawnością polityczną weszła do mainstreamu. Ci, którzy z nią walczą, nie muszą się wykazać szczególną odwagą, Cejrowski znalazł wielu naśladowców, a jego pozycja nie jest już tak wyjątkowa.

Trudniej też niż kiedyś wywołać skandal. Trzeba podbić stawkę, zaskakując innych. I to się niedawno Cejrowskiemu po raz kolejny udało.

Tym razem wywołał konsternację na prawicy. Nieliczni ostrzegali już wcześniej, że bezkrytycznie podchwytując wszystko, co mówi Cejrowski, media psują publiczną debatę. Taktyka skandalisty, którą przyjął, może przynieść nieoczekiwane rezultaty, a sprawą, na której mu najbardziej zależy, jest właśnie promocja marki „Cejrowski".

Na razie dziennikarz jak rasowy celebryta wykorzystuje swoje kolejne pięć minut i pozornie przegrywając, triumfuje.

– Trzeba go było skompromitować na antenie. Potraktować bardzo ostro. Ja naprawdę nie akceptuję tego, co mówił. Uznałem tylko, że nie można wyrzucać faceta ani wprowadzać na niego zapisu za to, że powiedział coś, co nam się nie podoba – tłumaczy mi Krzysztof Wyszkowski, znany opozycjonista z czasów PRL, który spontanicznie oświadczył, że nie będzie przyjmował zaproszeń do TVP, jeśli nie wróci tam Cejrowski.

FAJNE PODATKI DLA PATRIOTY

– Trudno szukać konsekwencji w słowach Cejrowskiego. Palnie coś i szybko o tym zapomina. Do tej pory o jego dziwnych wypowiedziach zapominali też inni. Kto jeszcze pamięta, że kilka lat temu opowiadał, iż zrzeknie się polskiego obywatelstwa i wyemigruje do Ekwadoru? – wspomina jeden z jego wieloletnich znajomych.

Rzeczywiście Cejrowski zapowiadał, że zamieszka w Ekwadorze ze względu na dobry klimat i „fajne podatki". Dość dziwne jak na kogoś, kto definiuje się jako zażarty patriota.

Nawet znajomi gubią się w opowieściach Cejrowskiego, urwanych wątkach i zmieniających się wersjach.

– Nie do końca udało mi się nawet ustalić, ile ma rodzeństwa, bo opowiadał wykluczające się historie. Uważa, że właśnie tak musi się zachowywać, by nie pozwolić ludziom wniknąć w jego prywatność – mówi Grzegorz Brzozowicz, autor biografii dziennikarza.

> Dziś trudniej niż kiedyś wywołać skandal. Trzeba podbić stawkę, zaskakując innych. I to się niedawno Cejrowskiemu po raz kolejny udało. Tym razem wywołał konsternację na prawicy

Mimo statusu celebryty Cejrowskiemu rzeczywiście udało się ochronić prywatność nawet przed natarczywymi tabloidami. Tylko niedyskrecje jego pierwszej żony, podróżniczki Beaty Pawlikowskiej, która już po rozpadzie związku opowiedziała kolorowej prasie, jak bardzo byli niedobrani, sprawiła, że dowiedziano się, iż w ogóle ją poślubił.

Po kościelnym unieważnieniu tego małżeństwa miał się ożenić z katolicką działaczką pro-life Joanną Najfeld. Podobno, bo tego on sam oficjalnie nigdy nie potwierdził.

Skłonność Cejrowskiego do ukrywania życia prywatnego i nawet pewnych związanych z tym mistyfikacji jest tak duża, że niektóre osoby, znające go od wielu lat, podejrzewają wręcz, iż kiedy przez Skype'a łączył się z Michałem Rachoniem podczas czwartkowych programów „Minęła 20", niekoniecznie zawsze był w swym domu w Arizonie.

TRADYCJA I INTERESY

– Życie prywatne jest dla niego sacrum, tym się nie dzieli – przyznaje zaprzyjaźniony z Cejrowskim Krzysztof Skowroński. Podróżnik powiedział kiedyś w jednym z wywiadów, że gdyby miał dać komuś klucze do swego mieszkania, byłby to właśnie on. Jak się upewniam, żadnych kluczy nie dał i nikogo raczej nie dopuszcza tak blisko.

Opowieści o Cejrowskim krąży wiele, jest jednak mało chętnych, by rozmawiać o tym z dziennikarzem. – Będę milczał jak grób. Nie po to narażaliśmy wspólnie życie w dżungli, bym teraz rozmawiał z prasą – mówi Andrzej Horubała, który reżyserował cykl „Wojciech Cejrowski. Boso przez świat".

Nie chce się raczej wypowiadać o podróżniku wieloletni wydawca jego bestsellerowych książek Tadeusz Zysk. Może dlatego, że ma zasadę, iż o swoich autorach wyraża się tylko dobrze. Mówi więc jedynie, że najbardziej dotkliwe byłoby dla Cejrowskiego, gdyby nikt nie zwracał uwagi na jego prowokacje. I że zapewne marzy, by Kaczyński zauważył w końcu, iż go atakuje.

Od wielu znajomych Cejrowskiego słyszę anegdotę, która według niego samego ma stanowić klucz do jego osobowości. Jak twierdzi dziennikarz, jego przodkiem był hiszpański szlachcic, który wbrew woli rodziny poślubił Żydówkę. Musiał opuścić Hiszpanię, udał się do Polski, gdzie panował wówczas Jan III Sobieski. – Miał po tej parze odziedziczyć z jednej strony szlacheckie tradycyjne wartości, a z drugiej – zmysł do interesów – opowiada Tadeusz Zysk.

Zmysł do interesów Cejrowski ma rzeczywiście rozwinięty. Założył internetowy Sklep Kolonialny, handluje mydłem i powidłem, a raczej kolorowymi koszulami w kwiaty, jakie sam nosi, bombillami do picia Yerba Mate oraz dewocjonaliami. Organizuje komercyjne wyprawy do egzotycznych miejsc. Dla swych słono płacących klientów jest zawsze – jak wynika z internetowych wpisów – miły i niekontrowersyjny.

eprasa.pl 06c4c12585



Fot. Andrzej Wiktor

Nadchodzi wielka wyborcza kumulacja

Siły, które były beneficjentami kształtu politycznego, gospodarczego i społecznego III RP, dziś się konsolidują. Zdają sobie bowiem sprawę z tego, że kolejna kadencja rządów Prawa i Sprawiedliwości, a przede wszystkim dokończenie reform, zmieni Polskę w sposób trwały. Niektórzy traktowali państwo jak swoją własność i uważają, że tak powinno pozostać

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Janem Marią Jackowskim, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, publicystą, pisarzem, wykładowcą akademickim

Nowoczesna się rozpada, narodowcy łączą siły z Korwinem, lewica próbuje wykreować nowe byty polityczne. Co się dzieje? Mamy polityczne przesilenie?

Jan Maria Jackowski: Dostrzegam wyraźne ożywienie polityczne, zarówno po stronie opozycji, jak i na prawej części sceny politycznej, poza Prawem i Sprawiedliwością. Wszystko to oczywiście w kontekście majowych wyborów do Parlamentu Europejskiego.

Bo każdy chce do Brukseli i Strasburga?

Przede wszystkim dlatego, że wiele środowisk postrzega to jako dobrą okazję do przetestowania swoich projektów politycznych, sprawdzenia koncepcji. Wszystko za sprawą ordynacji wyborczej gwarantującej każdemu podmiotowi, który w tych wyborach przekroczy 5 proc., udział w podziale mandatów.

eprasa.pl 06c4c12585

Czym to się różni od wyborów krajowych? Tam też jest próg 5-procentowy.

Tam jest inna metoda liczenia głosów, co sprawia, że trzeba zdobywać poparcie w całym kraju, mniej więcej równomierne. W wyborach europejskich wystarczyć może kilka silnych nazwisk, kilka gwiazd, które zdobędą bardzo duże poparcie, i już się przechodzi. W 2004 r. wykorzystała to słabnąca już Unia Wolności, zaskakując wszystkich zdobyciem aż czterech mandatów.

A w poprzednich wyborach do PE partia Janusza Korwin-Mikkego.

Zgoda. Do tego mamy zwykle niższą frekwencję, około 30-procentową. Jeżeli zatem z 30 mln osób uprawnionych pójdzie zagłosować 9 mln, to wystarczy 450 tys. głosów, czyli 5 proc., by zaistnieć politycznie. W żadnych innych wyborach krajowych nie jest to wykonalne. Dla wielu środowisk to jedyna szansa. Dlatego temperatura już dziś rośnie, a na dodatek mamy ciekawy kalendarz wyborczy. Wkrótce potem, jesienią, wybory do Sejmu i Senatu, a następnie, za siedem miesięcy, prezydenckie. Gdy to złożymy, obraz staje się jasny: nadchodzi wielka kulminacja, która zdarza się może raz na dekadę.

To dołóżmy jeszcze jeden element, może najważniejszy: reformy rządu Prawa i Sprawiedliwości oraz sprzeciw wobec nich części establishmentu III RP. Obóz zmiany będzie ich bronił, a PO, Nowoczesna i reszta będą próbowały je cofnąć.

Te reformy były bardzo oczekiwane społecznie, co widać choćby w stałym poparciu dla nich mimo ogromnych ataków. Siły, które były beneficjentami kształtu politycznego, gospodarczego i społecznego III RP, dziś się konsolidują. Zdają sobie bowiem sprawę z tego, że kolejna kadencja rządów Prawa i Sprawiedliwości, a przede wszystkim dokończenie reform, zmieni Polskę w sposób trwały. Niektórzy traktowali państwo jak swoją własność i uważają, że tak powinno pozostać.

Użyte zostaną wszelkie możliwe zasoby?

Tak, to będzie bitwa o bardzo wysoką stawkę. Jeśli ktoś myśli, że mamy wprawdzie teraz wybory, ale jeśli się nie powiedzie, to spróbujemy za kolejne cztery lata, bardzo się myli. Bo za cztery lata ten świat będzie wyglądał diametralnie inaczej. Jeśli wygra obóz dobrej zmiany – dużo lepiej, jeżeli przegra – dużo gorzej. Wielki dorobek tej kadencji zostanie zaprzepaszczony, cofniemy się.

> Potrzebna jest większa doza dialogu z opinią publiczną, większa troska o komunikację społeczną, czyli nie tylko to, co władza chce powiedzieć społeczeństwu, lecz również to, co społeczeństwo chce powiedzieć władzy. Ludzie muszą wiedzieć, co robi PiS, jak działa rząd

Można to porównać do roku 1992? Wtedy nie było wyborów, ale obalenie rządu Jana Olszewskiego na długo zamknęło szansę zbudowania uczciwej Polski.

W tym znaczeniu porównanie jest trafne. Premier Jan Olszewski w swoim słynnym przemówieniu zapytał: „Czyja będzie Polska?" i dzisiaj znowu będziemy rozstrzygać. Ale też minęło całe pokolenie. Coraz większą rolę odgrywają w życiu publicznym i gospodarczym ludzie, którzy albo w ogóle już PRL nie pamiętają, albo są to jakieś nieostre obrazy z dzieciństwa. I jeszcze jeden nowy element – całkowicie inny sposób komunikacji społecznej. Wszystko przyspieszyło technologicznie. W latach 90. obieg informacji polegał na tym, że ktoś np. udzielał wywiadu, było to komentowane, a następnie za dwa dni ktoś odpowiadał wywiadem czy artykułem. Dziś informacja nie zdąży jeszcze wybrzmieć, a już niknie w komentarzach, powiązanych informacjach itd. Takie są realia, a ekspansja mediów społecznościowych i forów internetowych wiąże się ze stałym nakręcaniem emocji. Łatwiej powiedzieć komuś, że jest łajdakiem, zza klawiatury, niż patrząc mu w twarz. Chcesz być popularny – musisz być wyrazisty – musisz podkręcać emocje. To jest promowane i to zmienia politykę. To zmienia polityków. To ostro polaryzuje społeczeństwo.

W 1992 r. Jan Olszewski tak naprawdę pytał, czy oddajemy Polskę w ręce postkomunistów. A dzisiaj kto jest po tamtej stronie?

Warto się tu odwołać do literatury, na przykład do Jarosława Marka Rymkiewicza, który choćby w książce „Reytan. Upadek Polski" dotknął bolesnego tematu zdrady i działania części elit na rzecz sił wrogich Polsce. Zawsze były formacje propolskie i tej polskości szkodzące.

Mieliśmy kiedyś taką piękną okładkę tygodnika „Sieci": Historia zdrady według Rymkiewicza – od zaborów do Tuska.

Oczywiście nie chodzi o to, że kto nie wspiera PiS, jest zdrajcą, ale o to, że nurt odrzucenia polskości reprezentowany przez część elit, walki z próbami wzmocnienia kraju, zachłyśnięcia się wszystkim, co nie nasze, jest w naszej historii elementem często się powtarzającym. Dotykał tego już Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". Często wspominam tę tyradę Podkomorzego o modzie na francuszczyznę, ówczesny kosmopolityzm. Oczywiście Mickiewiczowi nie chodziło o odrzucenie dziedzictwa europejskiego ani Europy, ale o pewną manierę bezkrytycznego naśladownictwa, której ulegali niektórzy, co niekiedy przybierało formy karykaturalne.

eprasa.pl 06c4c12585

Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród
przepuszcza,
Odbiera naprzód rozum od obywateli.
I tak mędrsi fircykom oprzeć się nie
śmieli;
I zląkł ich się jak dżumy jakiej cały
naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł
choroby zaród.
Krzyczano na modnisiów, a brano
z nich wzory:
Zmieniano wiarę, mowę, prawa
i ubiory.
Była to maszkarada, zapustna
swawola,
Po której miał przyjść wkrótce wielki
post – niewola!


Fot. Andrzej Wiktor

Często pada też stwierdzenie, że walczy dziś trzecie pokolenie AK z trzecim pokoleniem UB. Prawda?

Znowu odrzucając generalizację, trzeba powiedzieć, że jest w tym wiele racji. Zmiana roku 1989 bardzo uprzywilejowywała nomenklaturę komunistyczną. Nawet jeśli nie zawsze materialnie, to poprzez znajomości środowiskowe, dostęp do reglamentowanej wiedzy, możliwości wyjazdów za granicę, obycia w świecie, kontakty, oparcie w środowisku rodziców. Reszta społeczeństwa tej premii z czasów komunizmu była pozbawiona. I jest socjologiczną prawdą, że takie grupy się reprodukują, powielają swoje przywileje, status majątkowy, kontakty, dostęp do lepszej edukacji, lepszych usług publicznych, jak choćby służba zdrowia.

Dużym sukcesem obozu patriotycznego jest to, że dziś jest on zorganizowany, ma już pewne zasoby. Bez tego nie da się uprawiać skutecznej polityki, a wielu ludzi tego nie docenia.

Kiedy w 1993 r. wydałem książkę „Bitwa o Polskę", na którą – co było dla mnie ogromnym zaszczytem – powoływał się też Ojciec Święty Jan Paweł II, to wydawało się, że ta bitwa jest w takim doraźnym sensie przegrana. Postkomuniści objęli władzę. Środowiska konserwatywne, narodowe, chrześcijańskie, solidarnościowe zostały w ogóle wyeliminowane z parlamentu. I wydawało się, że te postulaty, które postawiłem w mojej książce, są nie do spełnienia. A jednak walczymy. Z perspektywy czasu widać, że także okres AWS przyniósł dużo dobra. Większość ludzi dziś ważnych na prawicy jakoś się o tamten blok otarła – czy to jako radni, czy działacze którejś z partii tworzących AWS. Była to szkoła myślenia politycznego, podejmowania zorganizowanego wysiłku. I tu wracam do obecnego Prawa i Sprawiedliwości: tamte wszystkie doświadczenia dziś owocują, bo wyciągnięto wnioski. Jest zdecydowane przywództwo, ale też szeroka paleta polityczna, nie ma żadnych publicznych kłótni, podziałów. I to spotkało się z premią wyborców w 2015 r.

Władza zużywa. W jakiej kondycji jest dziś ten obóz?

Władza niewątpliwie zużywa. Ale proszę zauważyć, że jesteśmy po trzech latach ciężkiej pracy, po zrealizowaniu ponad 50 proc. programu, naszych obietnic z kampanii wyborczej. Jesteśmy w trudnej sytuacji wewnętrznej, bo opozycja przekracza wszelkie granice tego, co wolno w najbardziej nawet brutalnej walce politycznej w systemie demokratycznym. Kwestionuje nawet sama demokrację, próbując odbierać zwycięskiemu w 2015 r. obozowi prawa do zmieniania Polski i realizacji programu wyborczego. Podkręcana jest nienawiść. Mamy ogromną presję zewnętrzną, podwójne standardy, bo są liczne dowody na to, że najsilniejszym w Unii wolno więcej, że reguły nie są takie same dla wszystkich. A jednak trzymamy się. Co nie znaczy, że wniosków z tego, co się stało w miastach, z porażki w tym obszarze, wyciągać nie należy.

Co tam się właściwie stało? Dlaczego odrzucono pisowską propozycję?

Przede wszystkim za bardzo dano się wkręcić w tę rywalizację, pozwolono zbudować przekonanie, że o wyniku wyborów zdecyduje rezultat najbardziej widowiskowych pojedynków w wielkich miastach. Po drugie, potrzebna jest większa doza dialogu z opinią publiczną, większa troska o komunikację społeczną, czyli nie tylko to, co władza chce powiedzieć społeczeństwu, lecz również to, co społeczeństwo chce powiedzieć władzy. Ludzie muszą rozumieć, dlaczego podejmujemy jakieś działanie, co by się stało, gdybyśmy wybrali w danej sprawie inny kierunek. Odwołam się do przykładu Jacka Kuronia, który kiedyś, jako minister pracy, miał w telewizji tzw. Dobranocki i cierpliwie odpowiadał na listy; wyjaśniał,

eprasa.pl 06c4c12585

dlaczego emerytury są tak niskie, co się dzieje. W wykonaniu Kuronia miało to formę specyficzną, dziś trzeba używać innych narzędzi, ale cel jest ten sam. Ludzie muszą wiedzieć, co robi PiS, jak działa rząd.

Są przecież objazdy po kraju, spotkania w gminach i powiatach. Tu akurat spania nie ma.

To wielki wysiłek. Ale trzeba dodać drugą nogę, trzeba być silnie obecnym z takim przekazem w przestrzeni publicznej. Trzeba to zrobić w tak atrakcyjny sposób, by zmusić nawet niechętne nam media do przekazania tego Polakom. Potrzeba więcej form dialogowych, trzeba jasno mówić o wyborach, przed jakimi stoimy, pokazywać dylematy.

Da się to zrobić w warunkach tak ostrego konfliktu?

Tak, czego sam doświadczam. Często korzystam z komunikacji publicznej i zaczepiają mnie zarówno zwolennicy, jak i krytycy naszych rządów. Jeśli mogę, podejmuję dialog. Bo ludzi można czasami przekonać, a dużą część namówić, by nie ulegali tej histerii, którą się próbuje wywołać. Musimy próbować, musimy kroczyć w poprzek planom opozycji, która gra dziś na jak najostrzejszą polaryzację. Co robi Grzegorz Schetyna? Zjada Nowoczesną, jest brutalny, buduje antypis i zrezygnował już z jakichkolwiek rozważań o programie. Jedyne, na co liczy, co robi, to rozbudzenie emocji przeciw obozowi dziś rządzącemu. Niestety emocje negatywne zawsze łatwiej promować, przekaz pozytywny przebija się trudniej, wymaga też spokoju. Prawdziwy lider opozycji, Donald Tusk, w czasie swojego ostatniego wystąpienia w Polsce jasno ten kierunek potwierdził, temu służyły słowa o bolszewikach.

Prawdziwy lider opozycji?

Tak uważam. Według mnie Grzegorz Schetyna jest nadal sekretarzem generalnym partii Donalda Tuska, zajmującym się podciąganiem taborów, wykonywaniem „mokrej" partyjnej roboty. Z tej roli nie wychodzi i nie wyjdzie.

Obaj by taką tezę odrzucili.

Ale tak to wygląda. I tak działa. Tusk wyznacza kierunki uderzeń, obszary refleksji. I to nie tylko w czasie takich wystąpień jak to z 10 listopada, lecz również przez internetowe wypowiedzi, wywiady. Zawsze nakreśla kierunek uderzenia. Schetyna natomiast prawie w ogóle o tym nie mówi, skupia się na budowaniu i doglądaniu struktur, na partyjnych układankach, szykowaniu aparatu partyjnego. I na żadne ambitne próby bycia liderem także w tym wymiarze intelektualnym nawet się nie sili.

> Ekspansja mediów społecznościowych i forów internetowych wiąże się ze stałym nakręcaniem emocji. Łatwiej powiedzieć komuś, że jest łajdakiem, zza klawiatury, niż patrząc mu w twarz. Chcesz być popularny – musisz być wyrazisty. To zmienia politykę, zmienia polityków. To ostro polaryzuje społeczeństwo

Wróćmy do rządzących. Powinny się pojawić jakieś nowe hasła? Nowe sztandary?

Te hasła i kierunki podpowiadają sami Polacy. Obchody Święta Niepodległości pokazały, jak bardzo jesteśmy dumni z naszego państwa, z naszej historii, z tego, że mimo wszystkich nieszczęść i tragedii pozostaliśmy wolnym narodem. Zobaczyłem to na Marszu Niepodległości, ale i u mnie w okręgu, w Ciechanowie, Żuromine. Widziałem, jak duża była frekwencja, co najmniej dwukrotnie większa niż w latach poprzednich. Trzeba więc odważnie podnosić sprawy tożsamościowe, istotne dla duchowego życia narodu. Każdy z obozu dobrej zmiany powinien sobie odpowiedzieć na pytanie, jaka jest rzeczywista intencja jego zaangażowania.

Ze spraw materialnych też mamy jeszcze kilka niezałatwionych kwestii, które warto podnosić, np. zwiększenie kwoty wolnej od podatku. Ta obietnica, która została zrealizowana cząstkowo, wciąż nad nami wisi. Musimy łączyć tradycję z nowoczesnością, dumę z polskiego państwa, z historii narodu, z wartości nas spajających z tym, że gospodarczo jesteśmy na bardzo dobrej ścieżce rozwoju. Tym bardziej że silna gospodarka buduje skuteczną suwerenność.

Panie senatorze, w tle wspomnianej dyskusji o wartościach spajających naród jest kwestia ochrony życia nienarodzonego, ważna dla nas wszystkich. Pojawia się coraz większa presja ze strony środowisk chrześcijańskich, by zwiększyć jej zakres. Jak pan na to patrzy?

To, że temat ten będzie bardzo istotny w tej kadencji, było jasne już przed wyborami 2015 r., ponieważ będąc w opozycji, PiS sugerowało, iż po wygranych wyborach sytuacja się zmieni. Tłem tamtych wyborów była nieprzychylna postawa PO wobec ochrony życia, wyrzucanie do kosza projektów obywatelskich w tej sprawie. Uważałem, że musimy mieć długofalowy, przemyślany i konsekwentnie wdrażany projekt zmiany obecnej sytuacji. Nie można w tak ważnej sprawie kierować się chwilowymi koniunkturami.

Niezadowolenie środowisk, dla których świętość życia to sprawa fundamentalna, podstawowa i nienegocjowalna, jest dla mnie zrozumiałe. Trzeba o tym uczciwie rozmawiać z wyborcami, trzeba walczyć o tę sprawę, a nie chować głowę w piasek. Komisja w Sejmie nie może się zebrać, Trybunał odwleka decyzję. Prawo do życia to nie jest kwestia światopoglą-

6/1018/F

eprasa.pl 06c4c12585

dowa. Nauka jasno odpowiada bowiem na pytanie, kiedy zaczyna się życie ludzkie, więc nie jest to kwestia takiej czy innej opinii. Prawo do życia jest fundamentem innych praw człowieka, bo będąc pozbawionym życia, nie można z nich korzystać. Obrońcami życia nie są tylko katolicy, ortodoksyjni żydzi, przedstawiciele innych religii, lecz również ludzie niewierzący, zwolennicy lewicy, centrum i prawicy. Trzeba edukacji, edukacji i jeszcze raz edukacji, a także spokojnej debaty, bo to środowiska proaborcyjne próbują narzucić swój punkt widzenia i relatywizować prawo do życia, a z eugeniki, która tak tragicznie zapisała się w XX w., próbują uczynić „osiągnięcie nauki".

Czy możemy jednak tak lekko odrzucić ryzyko, że podjęcie tej ważnej kwestii w tej chwili, przy zachodzących jednak zjawiskach laicyzacyjnych, oznacza oddanie władzy skrajnej lewicy, która po ewentualnym przejęciu władzy urządzi Polakom przymusową reedukację w duchu progresywnym?

Przypominam, że padły w tej sprawie bardzo jasne deklaracje liderów PiS i nie zostały spełnione. To boli mnie, boli wyborców, boli prawie milion osób, które podpisały się pod obywatelskim projektem w tej sprawie. Projektem, który jest dzisiaj schowany w dziwnej zamrażarce niemocy. Nie dziwię się, że środowiska katolickie czują się oszukane.

Na drugim biegunie mamy film „Kler" z ponad 5-milionową widownią. Politycznie rzecz analizując, jest niemal jasne, że wrzucenie tego tematu dziś, tuż przed wyborczym maratonem, na agendę oznacza przegrane przez PiS wybory. Niestety, ale tak to wygląda. Ale wracając do „Kleru" – skąd taka popularność tego filmu?

Na pewno dla niektórych „Kler" to jakiś manifest, ale dla innych po prostu kolejny film pana Smarzowskiego, na dodatek przewrotnie promowany. Film poprzez zabieg pars pro toto (część zamiast całości) wpisuje się w typowy, pełen uprzedzeń ordynarny paszkwil skonstruowany na zasadach znanych z historii, gdy poprzez podobne działania dyskredytowano duchowieństwo Kościoła katolickiego. W polskim społeczeństwie pojawiała się nutka antyklerykalna, odzwierciedlona w powiedzeniu: „Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie". Niestety większość mediów takie stereotypy utrwala, ksiądz ma być permanentnie podejrzany. Dobra, jakiego dzięki Kościołowi w Polsce doświadczamy, już się jednak nie pokazuje.

A co do laicyzacji: nie widzę tego tak czarno. Ostatnie dane pokazują presję sekularyzacyjną, ale generalnie Polacy się nie poddają, trwają przy wierze. Jest to dla mnie źródłem optymizmu, wskazówką, że nasz polski wysiłek ewangelizacyjny, broniący wiary, Kościoła i księży, broniący zbudowanej na fundamencie chrześcijańskim tradycji kultury polskiej, ma głęboki sens.

REKLAMA



epresa.pl 06c4c12585



Fot. Shutterstock

Przeciw poniżeniu

Rewoltę, która doprowadziła do władzy PiS i Fidesz, można postrzegać jako swego rodzaju rewolucję godności. Tak uważa dwóch znanych i wrogich tym partiom zachodnich liberalnych intelektualistów



PIOTR SKWIECIŃSKI

Śledzenie zachodnich prób zrozumienia czy też zinterpretowania zjawisk typu zwycięstwo Orbána na Węgrzech lub Kaczyńskiego w Polsce jest najczęściej zajęciem frustrującym, ale też pouczającym. Frustrującym, bo z reguły są to próby intelektualnie miałkie. A pouczającym, bo zarazem zdradzają one strach przed złamaniem ideologicznych tabu, strach pętający nawet bystrzejszych analityków. Samo stwierdzenie istnienia oraz potęgi tych ograniczeń jest ciekawe i mówi wiele o rzeczywistym kształcie obecnego Zachodu. Podobnie jak dotyczący niby czegoś innego, niemniej pokrewny fakt podjęcia, przez dosłownie wszystkie paryskie dzienniki decyzji, by rewolty „żółtych kamizelek" nie relacjonować na pierwszych stronach.

W tym przygnębiającym krajobrazie zdarzają się jednak od czasu do czasu wyjątki, czasem któryś analityk odchodzi choć na moment od uprawiania pod pozorem analityki politpoprawnej agitacji. Często zdarza się to zwłaszcza znaczącemu na Zachodzie bułgarskiemu politologowi Iwanowi Krastevowi. Krastev to liberał, mocno zaangażowany po liberalnej stronie sporu, ale w odróżnieniu od większości innych analityków to zaangażowanie nie zaćmiewa mu do końca wzroku. Dlatego warto go czytać.

Dotyczy to zwłaszcza jego eseju napisanego wspólnie z prof. Stephenem Holmesem, opublikowanego w wydawanym przez wpływowy amerykański think tank National Endowment for Democracy kwartalniku „Journal of Democracy", pt. „Tłumacząc wschodnią Europę". Absolutnie nie ze wszystkimi zawartymi w nim tezami można się zgodzić, ale całość zdradza rzeczywistą chęć zrozumienia tego, co w naszej części kontynentu się dzieje, a nie stygmatyzowania „populistów". A część rzeczywiście wnosi coś do pojmowania fenomenu polsko-węgierskiego, i to nie tylko przez ludzi Zachodu.

SWEGO RODZAJU KOLONIALIZM

Chodzi tu przede wszystkim o efekty imitacyjności antykomunistycznej re-

eprasa.pl 06c4c12585

wolucji lat 1989–1990. Krastev nie dokonał tu odkrycia. Już Jürgen Habermas pisał w latach 90., że były to rewolucje „catch-up", czyli niestawiające sobie żadnych szczególnych, oryginalnych celów, tylko nakierowane na dogonienie Zachodu, na osiągnięcie stanu uznawanego za normalność, innymi słowy – westernizację Wschodu, przebudowanie go według zachodniego wzorca. Ciekawsze jest coś innego. Otóż analitycy z „Journal of Democracy" postrzegają obecny, antyliberalny zwrot Europy Środkowej jako konsekwencję tej imitacyjności modelu rozwoju przyjętego w dawnych krajach komunistycznych.

Dostrzegają oni, że przyjęcie założenia o Zachodzie jako o wzorcu, na modłę którego muszą przekształcić się państwa Wschodu, musiało w dłuższej perspektywie owocować narastającym poczuciem poniżenia. „To, co czyni imitowanie tak drażniącym, to nie tylko narzucająca się refleksja, że wzorujący się jest w jakiś sposób, moralnie i po ludzku, niższy niż model. Imitowanie pociąga za sobą również założenie, że narody-naśladowcy z centralnej i wschodniej Europy akceptują prawo Zachodu do wyrokowania, czy udaje im się sprostać zachodnim standardom" – piszą. Dlatego, ich zdaniem, przyjęcie imitacyjnego modelu rozwoju oznacza skazanie na niekończącą się torturę samokrytycyzmu, przechodzącego w pogardę dla samego siebie.

Według Krasteva i Holmesa obecny polityczny zwrot w naszej części Europy (który skądinąd bardzo im się nie podoba) ma korzenie właśnie w „znieważających i poniżających" konsekwencjach przyjęcia po 1989 r. „imperatywu imitacyjnego". Ów imperatyw oznaczał uznanie obcej kultury za wyższą od własnej. Krastev i Holmes nie wahają się wręcz uznać tej sytuacji za rodzaj zależności kolonialnej; ich zdaniem samo założenie „westernizacji" oznacza właśnie taką zależność. Musiało to zaowocować odsuniętą w czasie rebelią, będącą – to już moje określenie – swego rodzaju rewolucją godności.

Autorzy z „Journal of Democracy" nie ciągną tego wątku do końca. Bo przecież od uznania, że owa rebelia, jak piszą, jest przejawem „odmowy zgody na bycie sądzonym przez cudzoziemców według cudzoziemskich standardów" i ruchem przeciw specyficznej formie kolonializmu, już tylko krok do uznania, że broniące korzystnego dla siebie status quo środkowoeuropejskie elity to pewien wariant elit kompradorskich. Przypomnijmy – burżuazja kompradorska to marksistowskie określenie tej części tubylczych klas posiadających w koloniach, której interesy związane były z eksploatacją własnych krajów i ich ludności przez metropolie, i która czuła się kulturowo związana bardziej z kolonizatorami niż z własnymi rodakami. To stan pod wieloma względami podobny do elit środkowoeuropejskich, cechujących się wobec Zachodu postawą kliencką i aspirującą, których materialne powodzenie łączy się z zachowaniem lub odbudową sytuacji podległości ich krajów wobec „centrum cywilizacji", czyli wobec Zachodu właśnie. Krastev i Holmes nie stawiają tej kropki nad i, ale i tak w swej niestereotypowości

REKLAMA



5/1218/F

eprasa.pl 06c4c12585

(na tle standardów zachodniej analityki) posunęli się bardzo daleko. Bo przecież te passusy ich eseju mogłyby swobodnie wyjść spod pióra jakiegoś okołopisowskiego intelektualisty.

WIDMO ODWRÓCONEJ IMITACJI

Podobnie jak te, w których stwierdzają, że koncept państwa postnarodowego, oparcie demokracji na paradygmacie „antynacjonalistycznym" (chodzi tu raczej o to, co po polsku określilibyśmy jako „antypatriotyczny"; nacjonalizm po angielsku oznacza raczej patriotyzm) stworzyli Niemcy, próbując dać sobie radę z własną narodową historią. Doszli bowiem do wniosku, że tradycyjny, „etniczny" patriotyzm prowadzi prostą drogą do nazizmu. Ten wniosek jest jednak trudny do zaakceptowania np. przez Polaków, których historia była inna – nie stworzyli nazizmu i nie eksterminowali innych narodów. Dlatego pomysł, aby kamieniem węgielnym demokracji był paradygmat „antynacjonalistyczny", jest przez nich w sposób naturalny odrzucany. Co więcej, traktują go jako kolejną na przestrzeni dziejów ideologię stworzoną przez Niemców, by służyła jako instrument do budowy Europy rządzonej z Berlina.

Krastev i Holmes dostrzegają też konsekwencje tego, że pojęcie „normalnego kraju", utożsamianego w 1989 r. na Wschodzie z krajem zachodnim, „normalnego kraju", w który środkowi i wschodni Europejczycy pragnęli przerobić państwa własne, na tymże Zachodzie bardzo szybko ewoluowało. „Tak jak korporacje naciskające, żebyś kupił najnowszy model ich produktu i utrudniające trzymanie się modelu poprzedniego, Zachód wywiera presję i sugeruje, że tylko najnowszy model Europy postnarodowej jest warty zakupu" – piszą. „W oczach konserwatywnych Polaków w dniach zimnej wojny zachodnie społeczeństwa były normalne, bo – inaczej niż komunistyczne – ceniły tradycję i wierzyły w Boga. I nagle Polacy odkryli, że dziś zachodnia „normalność" oznacza laicyzm, multikulturalizm i homoseksualne małżeństwa. Czy powinniśmy być zaskoczeni tym, że Polacy i ich sąsiedzi poczuli się oszukani, odkrywszy, że społeczeństwa, według wzoru których chcieli się przekształcić, znikły?".

Wreszcie Krastev i Holmes dostrzegają i uczciwie relacjonują (choć opatrując tę relację porcją emocjonalnych, a skierowanych przeciw warszawsko-budapeszteńskiej narracji wykrzykników pełniących – być może? – funkcję bezpieczników, mających ochronić ich przed oburzeniem wywołanym złamaniem obowiązującego na Zachodzie tabu) rolę, jaką w politycznym zwrocie Europy Środkowej odgrywa czynnik migrantów.

> Antyliberalny zwrot Europy Środkowej jest konsekwencją imitacyjności modelu rozwoju przyjętego w dawnych krajach komunistycznych

„Podczas gdy Wschód jest wciąż homogeniczny i monoetniczny, Zachód jest postrzegany jako stający się heterogeniczny i multietniczny w rezultacie bezmyślnej i samobójczej polityki imigracyjnej" – piszą. „Mająca pod tym względem miejsce radykalna zmiana wartości jest spektakularna. Zachodni Europejczycy nie są już uznawani za przodujących, a wschodni – za zacofanych; w retoryce ksenofobicznych populistów zachodni Europejczycy są opisywani jako ci, którzy się zagubili... W rezultacie zachodnia Europa już nie jest kulturowo triumfującym modelem, który wschodnia długo starała się imitować. Odwrotnie – otwarte społeczeństwa Zachodu, niezdolne do obrony swych granic przed obcymi (głównie muzułmańskimi) »najeźdźcami«, stają się modelem negatywnym, żywym obrazem społecznego porządku, jakiego wschodni Europejczycy bardzo chcą uniknąć". I bezsilnie stwierdzają, że „dzisiejszą Europę nawiedziło widmo odwróconej imitacji", bo „to my jesteśmy prawdziwymi Europejczykami, twierdzą Orbán i Kaczyński, i jeśli Zachód chce się ocalić, musi zacząć naśladować Wschód".

SZKLANKA DO POŁOWY PEŁNA

Oczywiście nie ze wszystkim w eseju Krasteva i Holmesa można się zgodzić. Wątpliwa jest np. ich teza o traumie strachu przed wyludnieniem własnych krajów drogą emigracji na Zachód jako praprzyczynie dystansowania się naszej części kontynentu od „starej Unii". „Aby zatrzymać emigrację, konieczne jest zniszczenie reputacji Zachodu jako krainy możliwości i zdemolowanie idei, że zachodni liberalizm jest wzorcem... Otwarty system imigracyjny zachodniej Europy jest odrzucany w mniejszym stopniu dlatego, że zaprasza Afrykańczyków i mieszkańców Bliskiego Wschodu, a bardziej dlatego, że stanowi nieodparty magnes dla samych wschodnich i środkowych Europejczyków". Aż takiego strachu przed wyludnieniem nie ma, słaba jest w ogóle, przynajmniej w Polsce, świadomość tego zagrożenia. Krastev i Holmes nie zawsze potrafią wyjść poza zestaw wierzeń liberalnej religii, w tym przekonania, że nieograniczona, obca kulturowo imigracja jest z definicji czymś pozytywnym i niezwiązanym z żadnym zagrożeniem. Przekonanie przeciwne jest według tego wierzenia czymś z definicji nieracjonalnym, a człowiek jest z definicji istotą racjonalną. Holmes i Krastev są więc skazani na rozpaczliwe poszukiwanie jakichkolwiek racjonalnych przyczyn, dla których ktoś mógłby takie nieracjonalne ich zdaniem poglądy wyznawać. To prowadzi ich na manowce.

Niemniej warto odnotować ich artykuł. W wielu punktach wychodzą oni bowiem naprzeciw naszej wrażliwości i naszemu pojmowaniu świata. Łamiąc – dodajmy – własne liberalne tabu. A piszą trochę w stylu sugerującym, że być może obawiali się napisać więcej – w obawie przed zbyt wielkim już naruszeniem owych tabu.

Jeśli traktować tę szklankę jako do połowy pełną, można to uznać za przesłankę dla optymistycznej tezy, że porozumienie z częścią zachodnich elit może jednak być możliwe.

eprasa.pl 06c4c12585



Fot. Julita Szawczyk

Policjanci nie ochraniają mojego domu

*Z **Jarosławem Zielińskim**, wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji odpowiedzialnym za Policję, rozmawia Wojciech Biedroń*

Zwróciłem się do prawników o analizę sytuacji związanej z ostatnią falą ataków politycznych i medialnych na mnie. Istotnym aspektem tej sprawy jest ujawnienie mojego prywatnego adresu zamieszkania i szczegółów dotyczących mojej posesji, np. możliwości dostania się na jej teren. Użyto do tego nawet drona

Przebył pan długą polityczną drogę do MSWiA oraz do nadzoru nad Policją. Wszystko zaczęło się w latach 80. w Gdańsku.

Jarosław Zieliński: Miałem to szczęście, że początek moich studiów polonistycznych na Uniwersytecie Gdańskim przypadł na 1980 r., kiedy powstawała „Solidarność". Zaangażowałem się w działalność niezależnego samorządu studenckiego, uczestniczyłem w strajku 1981 r., którego początkiem był solidarnościowy protest z podchorążymi Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej w Warszawie. Nasz strajk na uniwersytecie zakończył się w przeddzień wprowadzenia stanu wojennego. Do końca lat 80. działałem w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów i „Solidarności". Kiedy w okresie okrągłego stołu „Solidarność" kształtowała swoje struktury do legalnej działalności, zająłem się w Komisji Krajowej organizacją szkoleń dla działaczy związkowych. „Solidarnością" faktycznie kierował wtedy Lech Kaczyński jako pierwszy zastępca przewodniczącego związku. Potem było Porozumienie Centrum, a następnie Prawo i Sprawiedliwość. Moja biografia publiczna jest więc, jak widać, prosta i czytelna.

W tym czasie zyskał pan nie tylko przyjaciół, lecz także wrogów. Słynna była pańska inicjatywa na początku lat 90., która polegała na dekomunizacji szkół na Suwalszczyźnie.

W 1990 r. zostałem w wyniku wygranego konkursu kuratorem oświaty w ówczesnym województwie suwalskim. Był to początek przemian politycznych i społecznych w Polsce. Chcąc stworzyć szansę na nową jakość zarządzania szkołami, odwołałem wszystkich spośród kilkuset podległych mi dyrektorów placówek oświatowych w województwie i ogłosiłem konkursy na te stanowiska.

eprasa.pl 06c4c12585

Nadepnął pan wtedy wielu ludziom na odcisk.

Dążyłem do tego, aby odpowiedzialność za edukację w wolnej już Polsce mogli przejąć energiczni, ambitni i twórczy nauczyciele nieuwikłani w peerelowskie układy oraz nieuczestniczący w komunistycznej indoktrynacji młodzieży. Nie było wtedy jeszcze ustawy o systemie oświaty, w swoich decyzjach opierałem się na uzgodnieniach okrągłego stołu umożliwiających powoływanie dyrektorów szkół w drodze konkursu. Wtedy po raz pierwszy zostałem mocno zaatakowany przez ludzi starego aparatu, którzy posiadali nomenklaturowe wpływy we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

A pierwszy rząd PiS?

W latach 2005–2006 pełniłem funkcję wiceministra dużego resortu, jakim było Ministerstwo Edukacji i Nauki, w którym byłem odpowiedzialny za oświatę.

Współpraca z Giertychem?

Na szczęście los mi tego oszczędził. Gdy w ramach zawartej koalicji PiS z Ligą Polskich Rodzin oraz Samoobroną resort ten został podzielony, a Ministerstwo Edukacji Narodowej przypadło Romanowi Giertychowi, odmówiłem dalszego pełnienia w nim funkcji wiceministra. W świetle tego, co dzisiaj prezentuje Roman Giertych, mogę powiedzieć, że była to wyjątkowo trafna decyzja.

Działał pan wtedy trochę wbrew woli partyjnej.

Na szczęście spotkało się to ze zrozumieniem ze strony premiera Jarosława Kaczyńskiego, który wkrótce powierzył mi nowe obowiązki sekretarza stanu nadzorującego m.in. administrację, wyznania religijne, mniejszości narodowe oraz etniczne w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, którym kierował wówczas Ludwik Dorn.

Kolejne nazwisko kojarzące się dziś prawicy niekoniecznie pozytywnie.

Dziś to człowiek przepełniony frustracją, do której sam siebie doprowadził, i wypowiada słowa, które mu nie przystoją. Sądziłem, że stać go na wyższy poziom dyskursu politycznego i że nie jest mu obca herbertowska kategoria smaku. Niestety myliłem się. Nie umie on utrzymać swoich negatywnych emocji pod kontrolą. Długo funkcjonował w naszym środowisku politycznym, a teraz mu szkodzi. Można powiedzieć za Szekspirem: zły to ptak, co własne gniazdo kala.

Właśnie, jest pan autorem programu Prawa i Sprawiedliwości w części dotyczącej bezpieczeństwa. Jak teraz rząd PiS wywiązuje się z tamtych zapowiedzi?

Program PiS, który poparli wyborcy jesienią 2015 r., jest realizowany z całą konsekwencją. Przygotowaliśmy i realizujemy ustawę modernizacyjną, w ramach której podwyższane są uposażenia funkcjonariuszy i wynagrodzenia pracowników. Kupujemy nowy sprzęt i wyposażenie, budujemy nowe komendy, komisariaty i strażnice. Przywracamy posterunki Policji w mniejszych miejscowościach, które były masowo likwidowane za rządów koalicji PO-PSL. Polska jest krajem bezpiecznym, liczba przestępstw w ciągu trzech ostatnich lat systematycznie spada, a ich wykrywalność rośnie. 86 proc. Polaków postrzega nasz kraj jako bezpieczny, a 93 proc. czuje się bezpiecznie w najbliższym otoczeniu. Przekłada się to na zaufanie do Policji, którą w ostatnich badaniach dobrze oceniało prawie 75 proc. obywateli.

Sprawa dekomunizacji w pana wykonaniu wróciła w 2016 r. Pod pańskim kierunkiem przygotowana została ustawa dezubekizacyjna, która odebrała wielkie przywileje emerytalne esbeckim klikom. Ustawa wzbudziła prawdziwy szał nienawiści.

Rzeczywiście ustawa ta jest przez wielu kojarzona z moim nazwiskiem, choć stanowi ona przecież realizację programu PiS i jest odpowiedzią na oczekiwania społeczne. Związane z tym ataki były i są nadal potężne. W grudniu 2016 r. doszło do słynnej próby „puczu", który miał zapobiec uchwaleniu tej ustawy. Przypomnijmy, że uczestniczyła w tym opozycja parlamentarna i pozaparlamentarna, okupowano mównicę i salę sejmową, organizowano manifestacje i protesty z udziałem obrońców pozostałości PRL. Ustawa dezubekizacyjna jest regulacją spóźnioną o ponad ćwierć wieku, ale konieczną, bo stanowiącą wyraz elementarnej sprawiedliwości dziejowej. Funkcjonariuszom, którzy służyli na rzecz totalitarnego państwa w latach 1944–1990 w określonych przez IPN organach i instytucjach, nie powinny przysługiwać żadne przywileje, w tym emerytalne. Przytoczmy parę liczb. Przeciętna kwota, o którą zostały zmniejszone świadczenia emerytalne tych funkcjonariuszy, to ok. 2,3 tys. zł. Najwyższa kwota, o którą zmniejszono świadczenie emerytalne, przekracza 18 tys. zł. Łatwo policzyć, że przed obniżką do przeciętnej wysokości świadczenia emerytalnego w ZUS, która aktualnie wynosi 2 130,68 zł, najwyższa emerytura, której dotyczy ustawa, sięgała ponad 20,2 tys. zł. W ciągu 14 miesięcy funkcjonowania ustawy budżet państwa zaoszczędził prawie 800 mln zł.

> Najwyższa kwota, o którą w ramach ustawy dezubekizacyjnej zmniejszono świadczenie emerytalne, przekracza 18 tys. zł. Łatwo policzyć, że przed obniżką ta emerytura wynosiła ponad 20,2 tys. zł

Większość społeczeństwa popiera tę ustawę. Pojawiają się jednak zarzuty i kontrowersje, a te dotyczą choćby tych byłych funkcjonariuszy, którzy po upadku komunizmu walczyli np. ze zorganizowaną przestępczością, a dziś czują się skrzywdzeni.

Pamiętajmy, że sprawa dotyczy ponad 38 tys. byłych funkcjonariuszy, których działalność została zakwalifikowana

13/1218/F

eprasa.pl 06c4c12585



eprasa.pl 06c4c12585

przez Instytut Pamięci Narodowej – Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu jako służba na rzecz totalitarnego państwa. To IPN, a nie minister, w każdym przypadku wskazuje na podstawie zgromadzonych dokumentów okresy takiej służby. Nie może tu być więc mowy o jakimś braku obiektywizmu czy niesprawiedliwości.

A byli milicjanci, którzy zasilili potem szeregi Policji? Walczyli też z przestępczością?

Tu właśnie dotykamy całej manipulacji, jakiej poddawany jest ten problem. Ustawa nie dotyczy ani policjantów, ani milicjantów, ani np. – jak niektórzy zarzucają – lekarzy szpitala MSW. Regulacje obejmują tylko funkcjonariuszy służb, którzy służyli na rzecz totalitarnego państwa w latach 1944–1990 w organach i instytucjach wymienionych w ustawie emerytalnej. Jeśli ktoś twierdzi, że był milicjantem, a otrzymał decyzję obniżającą jego emeryturę, to nie mówi do końca prawdy. W rzeczywistości musiał pełnić służbę na rzecz totalitarnego państwa w instytucjach, których katalog zawiera artykuł 13b ustawy.

Swoista dekomunizacja objęła też kadrę kierowniczą w Policji. Wokół Policji sporo ostatnio szumu medialnego.

Zmiany kadrowe w Policji były konieczne. Podejmując się nadzoru nad tą formacją, byłem przekonany, że po upływie ponad ćwierć wieku od odzyskania niepodległości polską Policją nie powinni już kierować funkcjonariusze, którzy rozpoczynali służbę w Milicji Obywatelskiej. PRL nie była przecież państwem suwerennym. Takich osób w polskiej Policji było jeszcze sporo. Na ponad 10,5 tys. funkcji kierowniczych prawie 500 było jeszcze obsadzonych przez byłych milicjantów. Dzięki konsekwentnej polityce kadrowej do końca 2016 r. zastąpili ich policjanci, którzy dokonali swojego życiowego wyboru, wstępując do służby po 1990 r.

Nikt tych sukcesów nie neguje, ale policjanci narzekają na zbyt niskie zarobki. Doszło też do niezwykle groźnej sytuacji, w której cała armia funkcjonariuszy opuściła pracę na podstawie zwolnień lekarskich. Te sytuacje muszą budzić niepokój społeczny.

Funkcjonariusze odpowiedzialni za nasze bezpieczeństwo powinni być godnie wynagradzani. Zawsze o tym mówiłem, a rząd PiS czyni, co możliwe, aby służby mundurowe były dobrze opłacane. Pierwszy, trzyletni program ich modernizacji z kwotą 6,3 mld zł został przygotowany w 2007 r. przez rząd premiera Jarosława Kaczyńskiego. Program ten w latach rządów PO-PSL okrojono, a wnioski, by go kontynuować, odrzucono. Nie było też właściwie w tym czasie podwyżek uposażeń dla funkcjonariuszy. To wtedy również zmieniono na mniej korzystny system emerytalny policjantów. Rząd PiS wprowadził już kilka podwyżek dla funkcjonariuszy służb mundurowych MSWiA, a także dla pracowników cywilnych tych formacji. Od 1 stycznia 2016 r. policjanci otrzymali podwyżkę w wysokości 202 zł na etat, od 1 stycznia 2017 r. – 253 zł na etat. 1 stycznia 2019 r. wprowadzona będzie kolejna podwyżka w wysokości 309 zł, zagwarantowana ustawą modernizacyjną. Dodatkowo w ustawie budżetowej zaplanowane zostały środki na podwyżkę w wysokości 253 zł średnio na etat od 1 lipca 2019 r. W maju 2018 r. podwyższyliśmy uposażenia dla najmniej zarabiających funkcjonariuszy, podnieśliśmy również niewaloryzowany od 2009 r. dodatek dla policjantów Komendy Stołecznej o 175 zł (obecnie wynosi on 479,90 zł). Policjanci domagali się jednak większych podwyżek. W zawartym niedawno porozumieniu ze związkami zawodowymi przewidziane zostały podwyżki w wysokości 655 zł na etat od stycznia 2019 r. oraz 500 zł od stycznia 2020 r.

> Rząd PiS wprowadził już kilka podwyżek dla funkcjonariuszy służb mundurowych. Kolejna wprowadzona będzie 1 stycznia 2019 r., w wysokości 309 zł

Dlaczego więc strajkują związkowcy? Może prowadzicie nieodpowiedni dialog? A może chodzi o politykę?

Z przedstawicielami związku zawodowego policjantów oraz związków zawodowych działających w Państwowej Straży Pożarnej i Straży Granicznej spotykaliśmy się wielokrotnie. Byliśmy otwarci na dialog i deklarowaliśmy wspólne rozwiązywanie problemów oraz zgłaszanych postulatów. W świetle przytoczonych przeze mnie danych i własnych obserwacji każdy sam może odpowiedzieć na postawione przez pana pytania.

To skąd problem z wakatami w policji?

W ostatnim czasie zmieniła się w Polsce sytuacja społeczna i ekonomiczna. Mamy znaczący wzrost gospodarczy, a bezrobocie osiągnęło najniższy poziom od 28 lat. Wszyscy się z tego cieszymy. Jednak parę lat temu na jedno miejsce w Policji zgłaszało się ponad 10 chętnych, a dzisiaj jest ich o połowę mniej. Nie wszyscy przechodzą z wynikiem pozytywnym postępowanie kwalifikacyjne. Kiedy w latach rządów PO-PSL bezrobocie było znacznie większe i chętnych do służby w Policji nie brakowało, świadomie ograniczano zatrudnienie nowych policjantów. Gdyby wtedy prowadzono inną politykę, dzisiaj problemy z wakatami byłyby mniejsze. Celowo utrzymywano wakaty, aby zaoszczędzonymi w ten sposób środkami łatać braki finansowe. Podejmując intensywne działania, by wypełnić luki kadrowe w Policji, najlepsze od wielu lat rezultaty osiągnęliśmy na koniec 2016 r., gdy liczba wakatów wynosiła tylko 2,3 proc. W okresie rządów PO-PSL bywały lata, kiedy liczba wakatów zbliżała się nawet do 6 proc.

Usłyszeliśmy niepokojące informacje, że policjanci na Podlasiu zajmowali się ochroną pańskiego domu. Funkcjonariusze mieli się skarżyć na taką prywatę.

41/1118/F

eprasa.pl 06c4c12585



Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl

eprasa.pl 06c4c12585

Policja i inne służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo stosują siły, środki oraz metody działania, które wynikają z rozpoznania przez nie występujących zagrożeń. Odcinek drogi krajowej prowadzący do granicy z Litwą ze względu na natężenie ruchu tranzytowego i słabą infrastrukturę drogową należy do najbardziej niebezpiecznych. Z danych policyjnych wynika, że od czasu, kiedy pojawiają się tam częściej patrole ruchu drogowego, nie było wypadków ze skutkiem śmiertelnym. Droga, o której mówimy, stanowi też jeden ze szlaków nielegalnego przemytu towarów i ludzi, a okolica ta stała się miejscem mafijnych porachunków. Dla zobrazowania tej sytuacji wystarczy wspomnieć, że jakiś czas temu w pobliżu mojego domu znaleziono głowę ludzką obciętą przez bandytów w wyniku brutalnego zabójstwa. W związku z moją działalnością publiczną otrzymuję sporo pogróżek, a nawet gróźb karalnych. Dotyczą one nie tylko mnie, lecz również mojej rodziny. Część z nich jest badana przez prokuraturę. W jednej sprawie zapadł już prawomocny wyrok skazujący. Nieprawdą jest jednak, że Policja zajmuje się ochroną mojego domu. Zapewniam też, że nie wydawałem jej żadnych poleceń z tym związanych. Jak wiadomo z oficjalnego komunikatu prasowego, komendant główny Policji zlecił w tej sprawie kontrolę, która nie wykazała nieprawidłowości. Zrozumiałe jest, że ze względów bezpieczeństwa Policja nie może ujawniać szczegółowych informacji na temat działań podejmowanych przez nią samą czy we współpracy z innymi służbami.

Posłanka PO Bożena Kamińska, nie mając ze swojej strony wyborcom nic do zaoferowania, swoją szansę na szersze zaistnienie w mediach upatrzyła w atakach na mnie

O sprawie podlaskich policjantów mówiła głośno w Sejmie posłanka Platformy Obywatelskiej Bożena Kamińska.

Posłanka PO Bożena Kamińska, nie mając ze swojej strony wyborcom nic do zaoferowania, swoją szansę na szersze zaistnienie w mediach upatrzyła w atakach na mnie za pomocą mocno kolportowanych anonimów. Ich rozsyłanie do mediów nie licuje z wykonywaniem mandatu poselskiego, a publikowanie ich przez media jest czymś niesłychanym, wręcz skandalicznym. Posługiwanie się niezweryfikowanymi, oszczerczymi zarzutami zawartymi w anonimach i wywoływanie kolejnych tego typu donosów jest niegodne oraz haniebne. Ciekawe też jest i warte wyjaśnienia, dlaczego akurat ona jest ich adresatką.

Z kolei poseł Kamińska przekonuje, że podlascy policjanci są przymuszani do pisania anonimów na jej osobę.

To jakaś aberracja i całkowita bzdura. Przecież to pani poseł Kamińska posługuje się anonimami niewiadomego pochodzenia i szeroko kolportuje je do mediów. Jest to postępowanie dotychczas niespotykane i budzące odrazę. Może to prowokować innych do stosowania takich, dotąd powszechnie nieakceptowanych, praktyk. Anonimy piszą i się nimi posługują tylko ludzie tchórzliwi, którzy często chcą, aby fałszywe oskarżenia były przyjęte jako prawda. W całym tym zamieszaniu nie odnotowałem tego, by ktokolwiek nawoływał czy zachęcał do pisania anonimów na panią poseł Kamińską. Radiowa wypowiedź komendanta wojewódzkiego Policji w Białymstoku, niezależnie od pojawiających się różnych interpretacji, była obroną dobrego imienia Policji przed oszczerczymi anonimami oraz próbą zwrócenia uwagi posługującej się nimi posłance PO, że każdy może się stać ich przedmiotem.

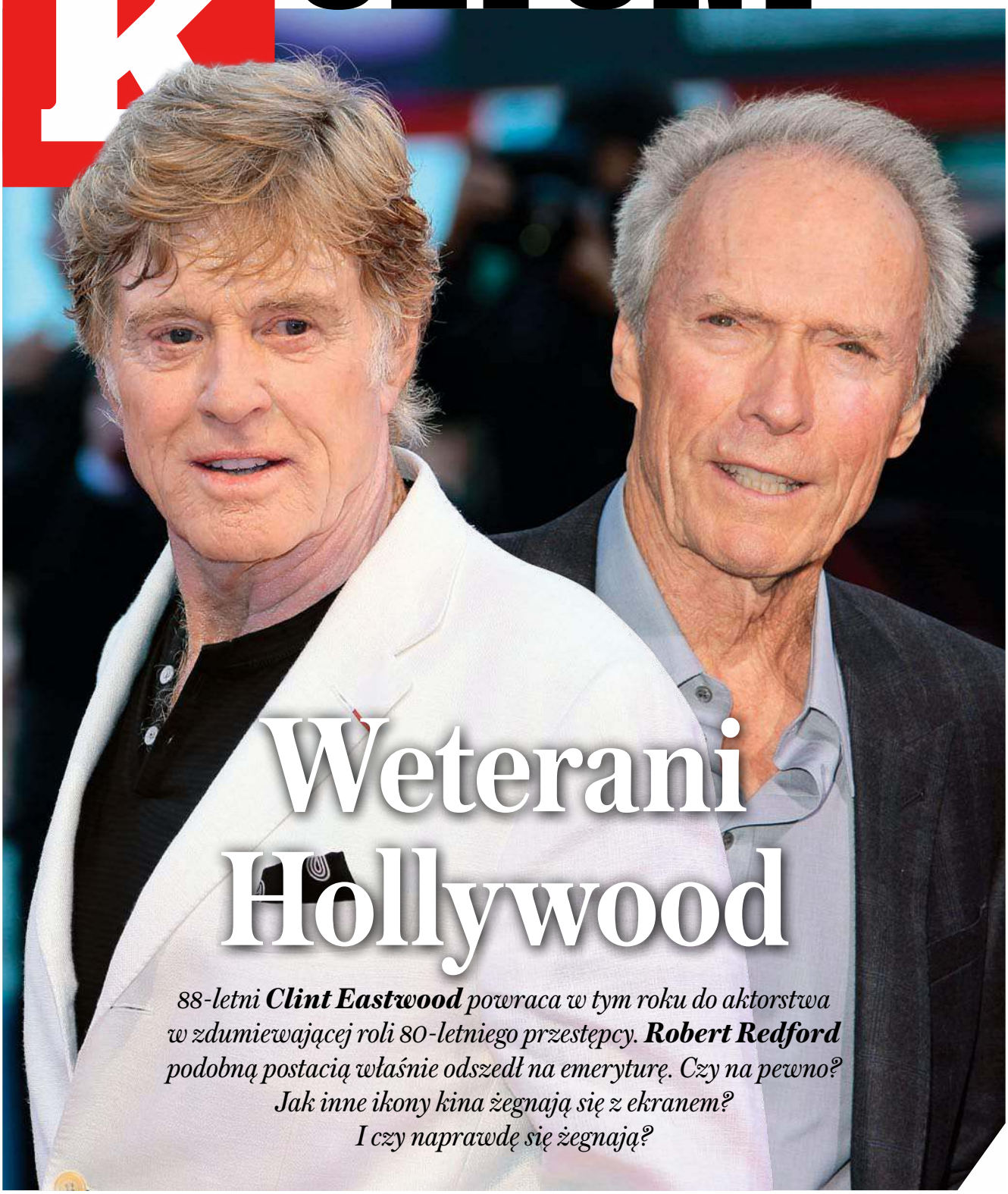
Pani poseł nie jest osobą szczególnie znaną. Myśli pan, że próbuje budować swoją pozycję polityczną na pana nazwisku?

Pani poseł Kamińska reprezentuje ten sam okręg wyborczy co ja i jest mieszkanką tego samego miasta. Rzeczywiście to osoba poza Suwalszczyzną mało znana. Ponadto, delikatnie rzecz ujmując, raczej nie jest ona wzorem cnót, które pozwalałyby jej stawiać siebie w roli społecznego autorytetu. Opinii publicznej znane są kontrowersje etyczne i wątpliwości prawne związane z łączeniem przez panią Bożenę Kamińską mandatu poselskiego ze stanowiskiem dyrektora Suwalskiego Ośrodka Kultury. Mimo to po krótkiej przerwie niedawno znowu ubiegała się o to stanowisko, ale tym razem nie znalazła poparcia nawet u sprzyjającego jej prezydenta Suwałk. Pani Kamińska jest też jedną z rekordzistek, jeżeli chodzi o liczbę wyjazdów zagranicznych i związane z tym koszty. Warto zapytać, jakie korzyści przynoszą Polsce czy mieszkańcom województwa podlaskiego finansowane przez polskich podatników jej podróże do takich krajów jak Kenia, Indonezja czy Tanzania, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych, Gruzji czy Kazachstanie. Kancelaria Sejmu nie może być traktowana przez nikogo jak biuro turystyczne, a z jej danych wynika, że od początku kadencji do maja 2018 r. koszty tych wyjazdów wyniosły ok. 140 tys. zł. Wystąpiłem do marszałka Sejmu o uzupełnienie tych informacji.

Wystąpi pan na drogę prawną przeciwko mediom i posłance Kamińskiej?

Zwróciłem się do prawników o analizę sytuacji związanej z ostatnią falą ataków politycznych i medialnych. Istotnym aspektem tej sprawy jest ujawnienie mojego prywatnego adresu zamieszkania, parametrów usytuowania mojego domu i związanych z tym szczegółów dotyczących mojej posesji oraz jej otoczenia, np. możliwości dostania się na jej teren. Użyto do tego nawet ujęć ze specjalnie skierowanego w tym celu drona. Może to mieć konsekwencje w kontekście bezpieczeństwa mojego i mojej rodziny.

eprasa.pl 06c4c12585



Weterani Hollywood

*88-letni **Clint Eastwood** powraca w tym roku do aktorstwa w zdumiewającej roli 80-letniego przestępcy. **Robert Redford** podobną postacią właśnie odszedł na emeryturę. Czy na pewno? Jak inne ikony kina żegnają się z ekranem? I czy naprawdę się żegnają?*

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 06c4c12585



ŁUKASZ ADAMSKI

Ikony hollywoodzkich filmów, na których wychowało się moje pokolenie, już dawno przekroczyły wiek emerytalny. Nie tylko Robert De Niro, Al Pacino czy Dustin Hoffman, wykonując inny zawód, już od kilku lat zabawialiby tylko wnuki, lecz i gwiazdy kina akcji lat 80. i 90. Sylvester Stallone czy Arnold Schwarzenegger też przekroczyli siedemdziesiątkę. I nadal grają twardzieli. Stallone z kapitalnym skutkiem pobudził do życia w filmie „Creed" starzejącego się boksera Rocky'ego Balboę. W przyszłym roku kończy przygodę z Johnem Rambo. Wcześniej odniósł oszałamiający sukces finansowy trzema częściami „Niezniszczalnych", gdzie wszyscy herosi kina akcji pokazali, że po sześćdziesiątce potrafią jeszcze kopać zadki wrogom. A co z najsłynniejszym twardzielem popkultury, czyli Clintem Eastwoodem? On niespodziewanie powraca do aktorstwa. W wieku 88 lat!

TYLKO ON!

Eastwood nie zwalnia tempa jako reżyser. Czterokrotny zdobywca Oscara od 2012 r. („Dopóki piłka w grze") nie pojawiał się jednak na ekranie jako aktor. We własnym filmie zagrał ostatni raz dekadę temu („Gran Torino", 2008). Postanowił jednak zmienić ten stan rzeczy, wcielając się w bohatera opartego na postaci Leo Sharpa. Ten weteran II wojny światowej został dilerem narkotykowym pracującym dla meksykańskich karteli.

Sharp po niepowodzeniach biznesowych zajął się przemytem narkotyków dla kartelu Sinaloa Drug Cartel. Swoim pikapem przewiózł od 100 do 300 kg kokainy przez południową granicę USA. Wpadł w październiku 2011 r. w Michigan. Śledztwo przeciwko niemu prowadziło DEA. Obrona wnosiła o uniewinnienie z powodu... demencji. Ostatecznie ze względu na zły stan zdrowia spędził w więzieniu rok. Zmarł w 2016 r. We wchodzącym na nasze ekrany za miesiąc (premiera w USA 14 grudnia) „The Mule" Eastwood wciela się w postać zainspirowaną Sharpem. Już w zwiastunie widać, jak bardzo przerobił postać na swoją modłę. Jego Earl Stone ma wypisane na twarzy trudności życia. Eastwood dodaje im szlachetności.

Żaden hollywoodzki aktor tak pięknie się nie zestarzał jak Eastwood. Dochodzący do dziewięćdziesiątki aktor, producent, reżyser i kompozytor jest ikoną Hollywood i jednoosobową instytucją. To również wzór dla innych wiekowych gwiazdorów. On nie stosuje skalpela. Nie odmładza się graniem w filmach akcji. Gdy przekroczył 70. rok życia, zagrał policjanta z chorym sercem („Krwawa profesja"). Już wcześniej bawił się swoim wizerunkiem Brudnego Harry'ego zmuszonego przejść na emeryturę w „Na linii ognia" (1993)



Robert Redford w filmie „Dżentelmen z rewolwerem"

Fot. M2 Films

eprasa.pl 06c4c12585

i „Kosmicznych kowbojach" (2000). To właśnie Eastwood zdemolował też obraz rewolwerowca w swoim wybitnym „Bez przebaczenia" (1992), który dotykał istoty starości.

Można powiedzieć, że to Eastwood rozpoczął modę wśród gwiazd Hollywood na mądre bawienie się własnym wizerunkiem. Nie chodzi tylko o aktorskie kreacje. W końcu to on w wieku 74 lat odbierał Oscara za reżyserię („Za wszelką cenę"). I to Eastwood otworzył ekran dla wiekowych aktorów.

DYSKRYMINACJA PAŃ?

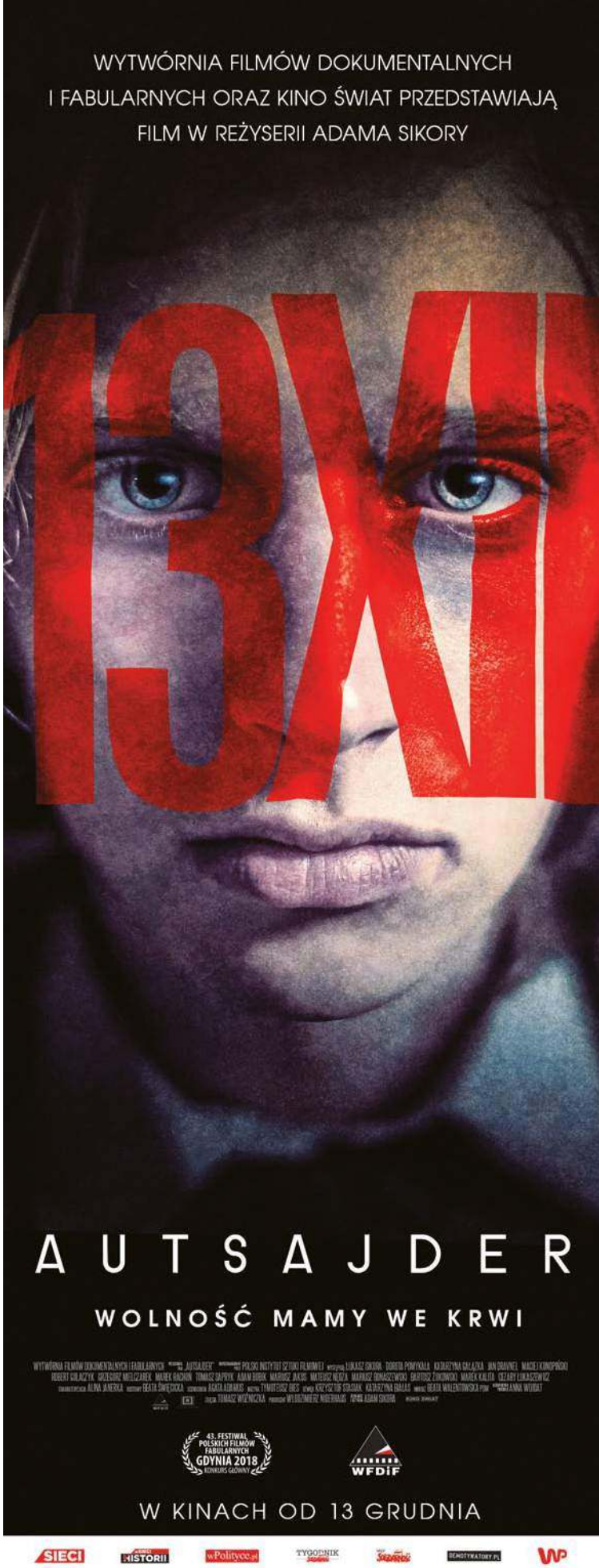
A to o tyle ważne, że wiek w Hollywood zawsze był przeszkodą w karierze. To właśnie w „fabryce snów" skalpel i botoks są nieodłącznym elementem kariery. Zdrowie, witalność, piękno ciała – nigdzie indziej jak w tej stolicy plastikowej perfekcji dyskryminacja ze względu na wiek nie jest tak powszechna.

76-letni Henry Fonda jest najstarszą osobą, która zdobyła Oscara w kategorii najlepszy aktor (statuetka za „Nad złotym stawem" w 1982 r.). Za nim znajdują się takie nazwiska, jak Paul Newman, John Wayne, Jack Nicholson czy Jeff Bridges, którzy Oscara aktorskiego dostali, mając około 60 lat. Paradoksalnie lepiej to wygląda wśród kobiet. W 1989 r. Oscara za najlepszą rolę kobiecą dostała 80-letnia Jessica Tandy za „Wożąc panią Daisy". Za nią jest Katherine Hepburn, która zgarnęła statuetkę za „Nad złotym stawem" w wieku 74 lat. Od lat akademia filmowa nie nagradza starszych kobiet. Poza Meryl Streep rzecz jasna.

Nie jest tajemnicą, że przekraczające 50. rok życia, kobiety nie mają w Hollywood łatwo. Nie dostają tak ciekawych propozycji jak mężczyźni. Choć nikomu nie przeszkadzają młodziutkie dziewczyny coraz starszych Bondów, to już przekraczające czterdziestkę kobiety wzbudzają niechęć producentów. W jednym z wywiadów Maggie Gyllenhaal mówiła, jak w wieku 37 lat została uznana za starą, by grać kochankę 55-latka. Ten absurdalny kult młodości doskonale obnażył w mrocznej antyhollywoodzkiej satyrze „Mapy gwiazd" David Cronenberg. Tzw. ageizm jest dziś głośno krytykowany przez zaangażowane w feminizm aktorki, takie jak Jane Fonda, choć z ust wybotoksowanej do granic możliwości 80-letniej ikony Hollywood jego krytyka brzmi mało poważnie. Niemniej jednak Fonda wraz z Diane Keaton świetnie się bawiły na planie „Pozycji obowiązkowej" (2018), gdzie zderzyły swój wiek z „50 twarzami Greya". Ta sama Fonda zagrała w przejmująco smutnym filmie o starości „Młodość" Paola Sorrentina (2015), zaś Diane Keaton romansowała z Jackiem Nicholsonem w uroczym „Lepiej późno niż później" (2003).

Niewiele jest dziś dojrzałych kobiet w Hollywood, które nie wstydziłyby się obnażać własnego niedoskonałego ciała. Robi to Patricia Arquette w emitowanym właśnie na HBO serialu „Ucieczka z Dennemory". Nie mniej odważna jest kreacja wspomnianej wyżej Maggie Gyllenhaal w „Kronikach Times Square". To jednak produkcje małego ekranu, które nie podlegają dyktatowi biletów do kin. Producenci wciąż obawiają się reakcji masowej publiki na filmy ze starzejącymi się gwiazdami. Pewnie, że 69-letnia Meryl Streep, 71-letnia Glenn Close czy odrodzona w serii „American Horror Story" 69-letnia Jessica Lange nie mogą narzekać na brak pracy. To jednak wyjątki od reguły.

50/1118/F



REKLAMA

eprasa.pl 06c4c12585

STAROŚĆ I RADOŚĆ



Sylvester Stallone w filmie „Creed 2”

Fot. Forum Film Poland

Inaczej jest z największymi aktorami, którzy podbili Hollywood w latach 70. Zmienili wówczas hollywoodzkie kino wraz z falą niezależnych reżyserów, takich jak Martin Scorsese, Brian De Palma, George Lucas, Steven Spielberg, William Friedkin, Francis Ford Coppola czy John Landis.

Trzykrotny zdobywca Oscara 81-letni Jack Nicholson ostatni raz na dużym ekranie pojawił się w 2010 r. w filmie swojego przyjaciela Alberta L. Brooksa „Skąd wiesz?”. To właśnie w filmach Brooksa Nicholson zdobył dwa Oscary („Czułe słówka”, „Lepiej być nie może”), więc byłby to symboliczny koniec kariery. Nicholson w ostatnich latach czynnej kariery uważnie dobierał role. Stworzył przerażający obraz irlandzkiego gangstera u Martina Scorsese w „Infiltracji” (2006). Jednak i on celował w role mówiące coś ważnego o przemijaniu. W przejmującym, ale i zabawnym „Choć goni nas czas” (2007) z Morganem Freemanem (również ciekawie igra ze swoim wiekiem, wcielając się m.in. w Boga w „Evanie Wszechmogącym”), opowiedzieli o umierających na raka mężczyznach, którzy planują ostatnią podróż życia. W genialnym „Schmidt” Alexandra Payne'a wykreował przemierzającego Amerykę owdowiałego emeryta. Obie role uderzały w wizerunek niegrzecznego chuligana i donżuana, jaki Nicholson sobie wypracował w „fabryce snów”.

Na ekranach naszych kin wciąż można oglądać ostatni aktorski film Roberta Redforda „Dżentelmen z rewolwerem”, gdzie 82-letni gwiazdor w urokliwy dla siebie sposób kreuje obraz kolejnego hultaja jak z „Żądła”. Jednak i ten niebieskooki blondyn ciekawie opowiadał o starości. W „Pikniku z niedźwiedziami” wraz z 77-letnim dziś Nickiem Noltym pokazali dwóch emerytów pokonujących fizyczne ograniczenia i starcze niedołęstwo, przechodząc 2 tys. górskich kilometrów. Z Jane Fondą, z którą stworzył w 1967 r. pamiętny duet kochanków w filmie „Boso w parku”. Po pół wieku oboje powrócili w Netflixowym filmie „Nasze noce”. Tym razem zagrali 80-letnich kochanków.

78-letni Al Pacino w filmach HBO zagrał takie prawdziwe postacie jak Joe Paterno, Phil Spector czy Jack Kevorkian. Pojawi się niebawem u boku Roberta De Niro w kosztującym 200 mln dolarów Netflixowym „The Irishman” Martina Scorsese. Stworzył też dwie ciekawe postaci starzejących się artystów. W „Upokorzeniu” był upadającym aktorem teatralnym, w „Idolu” wcielił się w zgorzkniałą byłą gwiazdę muzyki pop, w przejmującym zaś „Manglehornie” w walczącego z demonami przeszłości samotnego starego ślusarza. Pacino wciąż dba o swój filmowy image, mimo kilku nietrafionych ról.

Inaczej jest w przypadku 75-letniego Roberta De Niro, który od dwóch dekad skutecznie rozmienia legendę na drobne. Choć i w jego repertuarze pojawiały się interesujące portrety starych ludzi. Za rolę cierpiącego na manię natręctw dziadka w „Poradniku pozytywnego myślenia” (2012) Davida O. Russella dostał pierwszą od dwóch dekad nominację do Oscara. Ciekawą rolą był też zagubiony na rynku pracy emeryt w uroczym „Praktykancie”. W niesłusznie niedocenionym „Being Flyn” zagrał natomiast bezdomnego. De Niro od czasu „Poznaj moich rodziców” gra jedną i tę samą postać zgorzkniałego dziadka (żenujący „Co ty wiesz o moim dziadku?”). Rzadko kiedy jest tak uroczy jak 84-letni Alan Arkin. Od kiedy w 2007 r. zdobył Oscara za rolę zgryźliwego seniora w „Małej Miss”, Arkin daje nam kolejne mutacje tej postaci. Teraz można go oglądać w opowiadającym o dwóch starzejących się przyjaciołach (w drugiej roli 74-letni Michael Douglas) w miniserialu „The Kominsky Method” dostępnym na Netflixie.

Amerykańcy filmowcy wolą pokazywać starość w sentymentalnych barwach. Inaczej jest z Europejczykami. Przykład – Michael Haneke, który w oscarowej „Miłości” pochylał się nad istotą eutanazji. Proeutanazyjny jest też tegoroczny „Ella i John” włoskiego reżysera Paolo Virzì z Donaldem Sutherlandem i Helen Mirren. Oba filmy bez lukru pokazywały śmiertelne choroby. Oba były pozbawione hollywoodzkiego optymizmu. Tym był przepełniony reżyserski debiut 75-letniego wówczas (sic!) Dustina Hoffmana, czyli „Kwartet” (2012). Hoffman gra dziś w kinie głównie drugi albo trzeci plan (poza świetnymi Netflixowymi „Opowieściami o rodzinie Mayerowitz”). O starości powiedział wszystko w uroczym filmie osadzonym w roztańczonym domu starców.

Czy Clint Eastwood swoim „The Mule” również uderzy w lżejsze nuty? Początkowo chciał zrobić film w tragikomicznym duchu braci Coenów. Cóż, samo pojawienie się na ekranie emerytowanego aktorsko Clinta Eastwooda musi zapowiadać dobrą filmową nowinę. Nowe otwarcie w kinie o starości?

eprasa.pl 06c4c12585

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Zanussi i dusza Poniedziałka

Jestem wdzięczny Krzysztofowi Kłopotowskiemu i Jakubowi Morozowi, że w swoim programie „Tanie dranie" (TVP1) wzięli na warsztat film Krzysztofa Zanussiego „Eter". Zajęli się nim wprawdzie po argentyńskim horrorze i marokańskim filmie społecznym, ale poświęcili mu połowę czasu. Zapraszając do stołu Mateusza Wernera, filmoznawcę, którego cenię.

Jestem wdzięczny, bo mam wrażenie, że za mało się o „Eterze" rozmawia. Ale i dlatego, że dzięki temu ja mogę napisać o nim kilka zdań w felietonie telewizyjnym. Film widziałem jeszcze wiosną, pokazał mi go sam twórca – w związku z moim wywiadem z nim. Teraz mamy premierę.

Dzięki rozmowom z 80-letnim reżyserem widzę film w kontekście zaproszenia do debaty. To, co przy tej okazji mówi Zanussi, różni się fundamentalnie od tonu wypowiedzi elit artystycznych – tych polskich i tych zachodnich.

Łukasz Adamski tym razem utrafił w sedno: ktoś, kto podejmuje serio temat diabła w naszym życiu, jest z definicji osobą ciekawą. Bo świat woli zapomnieć, pomijając konwencję rozrywkowego straszenia. Zanussi szuka dla tej rozmowy kostiumu filmu historycznego, po części nawet miękkiego horroru, ale podnosi tematykę jak najbardziej współczesną i poważną. Także z punktu widzenia kogoś, kto opowieści grozy w kinie nie trawi.

Diabeł jest pewny siebie szczególnie wtedy, gdy się w niego nie wierzy. Drugim tematem filmu jest bezkompromisowy scjentyzm, wiara w nieograniczone możliwości nauki, w brak granic, również moralnych, dla jej rozwoju. Reżyser szuka momentu, kiedy wiele zjawisk się zaczęło. Rok 1912 jest datą umowną. Ale I wojna światowa, która zaraz potem wybuchła, to początek wielkiego kryzysu tradycyjnego europejskiego świata. Kryzysu, który trwa do dziś.

Mateusz Werner wymienił listę filmów, które opowiadały o tym przed Zanussim – dotykając tematu Fausta. Ale przecież żadnego wątku, archetypu nie zamkniemy w jednym dziele. I dlatego warto obejrzeć tę opowieść o lekarzu eksperymentatorze, który szukał wyzwolenia od wszelkich ograniczeń w austro-węgierskiej twierdzy wojskowej, podczas gdy jego śladem podążał pewien tajemniczy dżentelmen.

Były w telewizyjnej dyskusji o „Eterze" fragmenty zaskakujące. Na przykład wówczas, kiedy Werner postawił śmiałą hipotezę: Zanussi obsadził w roli wyzwolonego lekarza-Fausta Jacka Poniedziałka, człowieka głoszącego, że nie wiąże go moralność, gdyż podjął w ten sposób swoistą grę o duszę aktora. Nie wiem, czy to prawda. Równie dobrze można przypuszczać, że staromodny konserwatysta szukał w aktorach radykalnych postępowcach (drugim jest Andrzej Chyra) osłony przed zgnojeniem swojego filmu przez establishment. To spotkało przecież poprzednią produkcję tego reżysera.

Zarazem panowie, no może najmniej Jakub Moroz, potraktowali „Eter" jako ambitną artystyczną porażkę. Dla mnie ten film, pewnie nie szczytowe osiągnięcie Zanussiego w skali życia, był wysmakowany w swoim bezlitosnym chłodzie, z jakim szukał tajemnicy w odległej, a dziwnie bliskiej epoce. Mnie ten rodzaj wysmakowania zaciekawiał, nie nudził. Nie widziałem tu, inaczej niż Kłopotowski, martwoty, chyba że jako celowy zabieg. To świat widziany oczami doktora-Poniedziałka wydaje się martwy. Tak podobno widzą rzeczywistość opętani. I może warto się przekonać samemu, kto ma rację. Bo – powtórzę – temat jest arcyważny, a rozmowa o tym w kinie to ewenement.



Piotr Zaremba

Egzemplarz prasowy 0000212585



Rękopis „Pana Tadeusza” w Wilnie

Wyjątkową dawkę emocji przynosi rewelacyjna wystawa „Litwo, Ojczyzno moja... Adam Mickiewicz i jego poemat »Pan Tadeusz«”. Można ją zobaczyć w wileńskim Muzeum Narodowym – Pałacu Wielkich Książąt Litewskich

ADAM CIESIELSKI

Największą atrakcją ekspozycji zorganizowanej z okazji obchodów stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę i Litwę, pod patronatem premierów i ministrów kultury obu krajów, jest rękopis „Pana Tadeusza”. Oryginał, powstały w latach 1832–1834 w Paryżu, a należący obecnie do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i prezentowany w Muzeum Pana Tadeusza we Wrocławiu, dopiero po raz drugi pokazywany jest za granicą. Wcześniej był tylko w Wiedniu. Bezcenny zabytek, który przetrwał wiele dziejowych burz, podróż na Litwę odbył specjalnym, chronionym transportem, w warunkach m.in. stale kontrolowanej temperatury, pod czujnym okiem muzealników.

Rękopis umieszczony w oszklonej gablocie w ostatniej z licznych sal obecnej wystawy wileńskiej zaskakuje skromnym, zeszytowym formatem i bardzo gęstym rozmieszczeniem tekstu. No cóż, w połowie XIX w. papier był drogi, starano się pisać jak najoszczędniej. Wszakże wzruszenie ogarnia, gdy – mimo nader skąpego oświetlenia (umyślnie, bo światło fatalnie wpływa na stan manuskryptów i druków) – odczytujemy nakreślony inkaustem początek „Inwokacji”: „Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...”. Chłoniemy kolejne zdania ostatniego wielkiego dzieła Mickiewicza. Szczególnie poruszające tu, w Wilnie, gdzie w latach 1815–1824 kształtowały się i dojrzewały zarówno poetycki talent, jak i duchowość przyszłego wieszcza.

Mickiewicz jest w tym mieście upamiętniony wielokrotnie w miejscach, w których mieszkał, studiował, był więziony. Działa jego muzeum przy Zaułku Bernardyńskim, afiliowane przy bibliotece Uniwersytetu Wileńskiego. Twórca wywarł przemożny wpływ na litewskich poetów XIX i XX w. Pierwsze wersy litewskiego hymnu autorstwa Vincasa Kudirki: „Litwo, Ojczyzno nasza...” są parafrazą początku „Inwokacji” z „Pana Tadeusza”.

Ekspozycja w Pałacu Wielkich Książąt, pomysłowo skomponowana przez kuratorów Małgorzatę Orzeł z Muzeum Pana Tadeusza we Wrocławiu oraz Marijusa Uzorka z litewskiego Muzeum Narodowego pozwala bezpośrednio zetknąć się z autentykiem. Eksponuje rękopis, ale też wczesne wydania i przekłady naszej epopei narodowej. Życie i twórczość Adama Mickiewicza barwnie przybliża poprzez wątki wileńskie oraz kontekst historyczny: rozbiory Rzeczypospolitej Obojga Narodów, insurekcję kościuszkowską, Konstytucję 3 maja, czasy napoleońskie, powstanie listopadowe. Wystawie towarzyszy seria prelekcji, spotkań i projekcji filmowych wersji epopei.

Ważna dla rozwoju przyjaznej współpracy polsko-litewskiej wystawa z oryginałem „Pana Tadeusza” w roli głównej nie była jedynym mickiewiczowskim akcentem obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości animowanych na Litwie przez Instytut Adama Mickiewicza. 29 i 30 października w Litewskim Narodowym Teatrze Opery i Baletu w Wilnie pod auspicjami IAM odbyły się przeniesione z warszawskiego Teatru Narodowego spektakle „Dziadów” w reżyserii znakomitego litewskiego twórcy Eimuntasa Nekrošiusa. Pochlebne recenzje przedstawienia niemal zbiegły się ze smutną wiadomością o niespodziewanej śmierci inscenizatora w Wilnie, 20 listopada 2018 r.

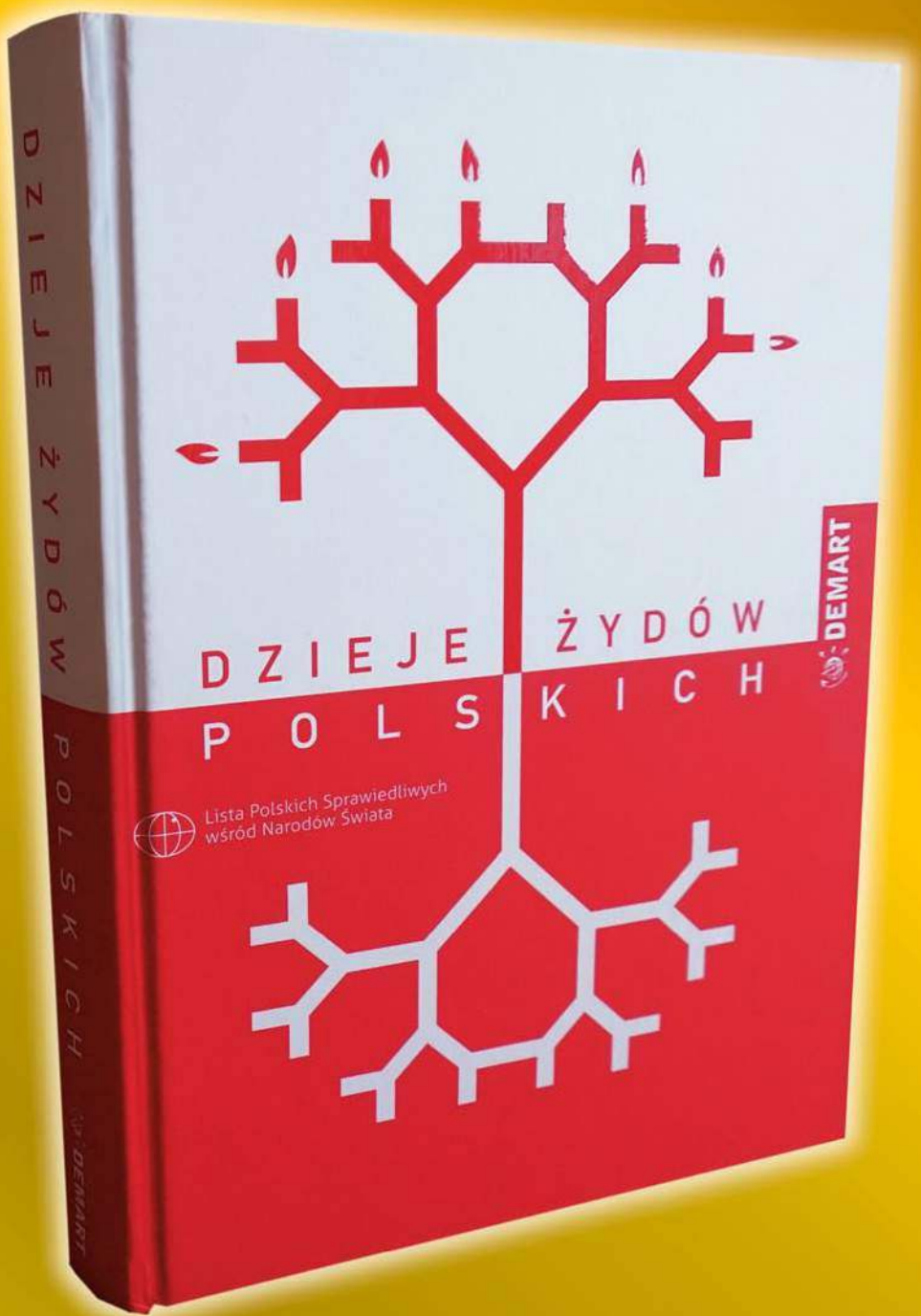
„Litwo, Ojczyzno moja… Adam Mickiewicz i jego poemat »Pan Tadeusz«”; Wystawa w Wilnie od 27 listopada 2018 r. do 24 lutego 2019 r. Pałac Wielkich Książąt Litewskich; Prezentacja powstała we współpracy z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich, Muzeum Pana Tadeusza we Wrocławiu, Muzeum Zamku Królewskiego na Wawelu, Instytutu Polskiego w Wilnie i koordynacji Instytutu Adama Mickiewicza



Fot. A. Myśliwiec/Zakład Narodowy im. Ossolińskich 62/1018/F

eprasa.pl 06c4c12585

Dzieje Żydów polskich



DEMART

+ Lista Polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata

www.demart.com.pl

eprasa.pl 06c4c12585



Paluszki imperiów

W roku 1917 Europa od Bałtyku po Bałkany była jak glina rankiem szóstego dnia Stworzenia

Wojciech Stanisławski

Walczące na Wschodzie wielkie XIX-wieczne imperia rozsypały się: najpierw Rosja Romanowów, rok później wilhelmińska Rzesza i c.-k. Austro-Węgry. Tę perspektywę mamy przećwiczoną, przywoływano ją przy okazji stulecia niepodległości na wiele głosów. Znacznie trudniej bywa z zakorzenieniem w pamięci zbiorowej tego, że mimo upadku imperiów i zawieszenia broni wojna na wielkich obszarach Europy Wschodniej nie zamarła ani na chwilę. Glina z pokruszonych imperiów, niczym w przypadku Golema, żyła własnym życiem; zmagania Wielkiej Wojny, toczone na kilkunastu frontach przeistoczyły się w zmagania kilkudziesięciu wojen, w istotnej części – domowych.

Stosunkowo łatwo nam jest śledzić dzieje walk o niepodległość, odbudowy państw lub sumarycznie przedstawić ponadnarodową działalność już to radykałów ruchu robotniczego grawitujących w stronę komunizmu, już to zwolenników reform agrarnych czy entuzjastów i budzicieli różnych nieuznanych narodów. Jak jednak przedstawić w linearnej narracji różnokolorową magmę, jaką był w tym czasie obszar między „linią Łaby" a Uralem, magmę z wieloma ośrodkami (pretendującymi do) władzy, lecz pozbawioną większości granic? Wspólne są temu obszarowi zapaść przedwojennego aparatu państwowego, zniszczenie infrastruktury, głód, brutalizacja i decentralizacja działań na „tyłach".

Fronty – hulają: żeby to sobie uświadomić, dość przytoczyć zwięzłe zestawienie najważniejszych działań wojskowych wiosną 1919 r: „W toczącej się od listopada 1918 r. wojnie polsko-ukraińskiej Polacy stopniowo odzyskują inicjatywę. 4 marca [1919] w Czechach i na Morawach policja rozpędziła niemieckie demonstracje, żądające stosowania zasady samostanowienia narodów także na terytorium Korony św. Wacława. Zginęło 58 demonstrantów [...]. Wojska [Węgierskiej Republiki Rad] ruszyły na Słowację, w ciągu niewielu dni [...] docierając pod Tatry. [...] 16 kwietnia niemieccy najemnicy, dotąd walczący wspólnie z Estończykami i Łotyszami przeciw bolszewikom, dokonali zamachu stanu w Lipawie. Celem było odtworzenie niemieckiej hegemonii na Łotwie [...]. Gabinet Kārlisa Ulmanisa schronił się na statku; jego bezpieczeństwa strzegła eskadra brytyjska. W tym samym dniu Rumunia zaatakowała Węgry. 19 kwietnia polskie wojska zajęły Wilno. [...] Wojska adm. Kołczaka w marcu zdobyły Kazań. Legiony czechosłowackie kontrolowały Kolej Transsyberyjską".

Zawrotna perspektywa, niczym z fantazji powieściowych Piotra Wojciechowskiego – a przecież w powyższym cytacie i tak mamy do czynienia z perspektywą mimo wszystko (jeśli nie liczyć demonstrantów i rebeliantów) stabilną, „międzypaństwową". Co jednak, jeśli dodać do tego dokonujące się w tym samym czasie wielkie zrywy społeczne: antywojenny (autorzy opowiadają się za określeniem „pacyfistyczny"), socjalistyczny, chłopski i nacjonalistyczny – dodajmy, dziesiątków odcieni?

Podstawowym wyzwaniem dla stojącego wobec takiej kipieli faktów historyka jest nadanie jej kształtu, wysiłek symultanicznego ukazania przemian i postaw społecznych, wspólnego fundamentu wydarzeń stosunkowo dobrze znanych (jak rewolucja węgierska czy epizody z interwencji Ententy w Rosji) oraz wydobytych z zapomnienia, jak półroczne istnienie położonej na marginesach frontów Republiki Huculskiej, ze stolicą w Syhocie Marmaroskim.

Włodzimierz Borodziej i Maciej Górny dokonali gigantycznej pracy, w trzech częściach książki (stanowiącej zresztą pendant do wydanego w 2014 r. tomu, traktującego o „wojnie imperiów") opisując odpowiednio: rozpad potęg wojennych, frontów, a wreszcie samej koncepcji zdyscyplinowanej armii; konflikty i przemiany społeczne oraz gospodarcze lat 1917–1923; wreszcie w części trzeciej, najbardziej osobnej, wiele zawdzięczającej wcześniejszemu dorobkowi badawczemu Górnego – zmagania propagandowe, intelektualne (większość granic i niektóre narody trzeba było dopiero wymyślić!), wreszcie polityczne, które stworzyły to, co nieprecyzyjnie i optymistycznie zwykło się określać „ładem wersalskim".

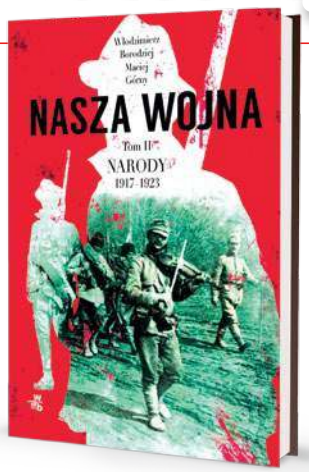
Zachwyca talent autorów do odwoływania się do wyrazistych i świetnie opisanych źródłowo wydarzeń, a następnie wyprowadzania z nich wniosków o przemianach społecznych i tożsamościowych, opisywanych rzeczowo, chłodno, socjologizująco. Przykładem – zamęt bitwy pod Kostiuchnówką,

eprasa.pl 06c4c12585

ort ekstremalny

w którym nie brakuje zgiełku, najeżonych bagnetów, zbiorowego śpiewu „Hej, strzelcy wraz" i wymienianych między oficerami różnych formacji afrontów, z których to scen Borodziej i Górny wyprowadzają wniosek (dodajmy, bezsporny) o „utracie legitymizacji sojuszu". Zacieranie się granic między wojskiem, formacjami nieregularnymi a zwykłymi bandami, fenomen „zielonych", fiasko kobiecych formacji mundurowych, triumf amatorszczyzny, arbitralności i okrucieństwa – na czas „odbudowy państw" będziemy za sprawą tej książki patrzeć inaczej.

Inna rzecz, że „Nasza wojna" pisana jest wyjątkowo cierpkim językiem:



Włodzimierz Borodziej, Maciej Górny, „Nasza wojna". T. II, „Narody. 1917–1923", W.A.B., 2018

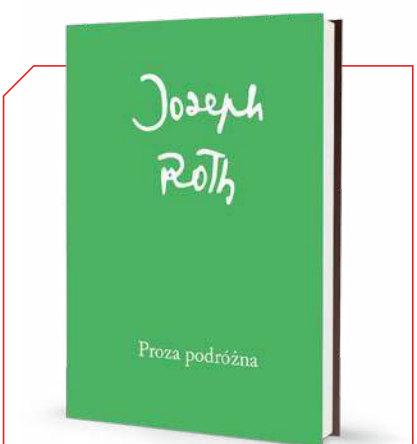
wydaje się, jakby najcieplejszym uczuciem, jakie Borodziej i Górny potrafią wykrzesać, pisząc o „ojcach niepodległości", była niechętna pobłażliwość, znacznie jednak częściej do głosu dochodzi sarkazm. Pisząc o karkołomnym pomyśle, jakim była próba uzasadnienia na konferencji w Wersalu przebiegu granic Polski zasięgiem występowania różnych roślin, nie byli w stanie darować sobie w tytule podrozdziału dość licealnego kalamburu „Buk, honor, ojczyzna". Czy to kwestia usposobienia, czy alergii na „Huraaa!!", jedyny okrzyk wspólny wszystkim formacjom walczącym na frontach „Naszej wojny"?

Cesarsko-królewski tułacz

Wydawałoby się, że przynajmniej przez kilka lat po opublikowaniu tego lata monumentalnej biografii Zbigniewa Herberta trudno będzie odkryć jakieś nieznane fakty z życia poety. Co jednak począć z tomem autora starszego od Herberta o półtora pokolenia, zmarłego w roku, gdy przyszły odnowiciel polskiej prozy poetyckiej hebesował w gimnazjum, i ze zdaniami, które na pierwszy rzut oka wyglądają jak odrzucone z niewiadomych powodów utwory z tomu „Hermes, pies i gwiazda"? Proszę posłuchać: „Tu, jak mi powiadają, jest granica, a dowodzi tego siatkowa krata z szarego ocynkowanego drutu, złożona z oczek prawa, przez które można się wymknąć". Albo: „Dworce małych miasteczek kulą się, żółto-brązowe i leniwe, jak wielkie koty w promieniach południowego słońca. [...] Z zegarów na peronach metalicznie klaszczą o bruk wybijane godziny. Wielkie dźwięczne ptaki, które wypadają z gniazda". Prawda? Tyle że to nie Zbigniew Herbert, to Joseph Roth.

Nazwisko tytana środkowoeuropejskiej literatury nie pojawiało się dotąd w rozważaniach nad mistrzami, u których terminował polski poeta. Być może zresztą o „terminowaniu" w ścisłym znaczeniu tego słowa nie ma mowy; ustalenie, kiedy Herbert po raz pierwszy sięgnął po dzieła autora „Marsza Radetzky'ego", trzeba zostawić wychowankom literaturoznawców. My możemy raczej, również półżartem, zastanawiać się, czy podobieństwo tych fraz i tej wrażliwości nie stanowi ostatecznego dowodu na istnienie wymarzonej przez Junga zbiorowej podświadomości: Herbert, wyrosły w polskim, ale i cesarsko-królewskim Lwowie, mógł śnić te same sny, co pierwszy pogrobowiec monarchii naddunajskiej, Roth.

Równie dobrze możemy jednak darować sobie wszystkie te wpływologie i po prostu zachwycać się kolejnym tomem „Dzieł zebranych" jednego z największych prozaików europejskich XX w. Ta książka jest jak radość z jeszcze jednego spotkania, schadzki, której nie spodziewaliśmy się już, znając przecież na pamięć „Kryptę kapucynów", „Hioba" i „Tarasa". Raz jeszcze uderzą nas natychmiast rozpoznawalne zdania, w których wiedeński liryzm na granicy biedermajerowego kiczu natychmiast chlaśnięty jest ironią i to połączenie chłodu oraz słodyczy jest jak mdląca i ostra zarazem łodyżka arcydzięgielu w cukrze albo smuga wody kwiatowej o zapachu rezedy, a w bohaterach cyklu miniportretów hotelowych („Starym kelnerze" czy „Madame Anette") roz-



Joseph Roth, „Proza podróżna", tłum. Małgorzata Łukasiewicz, Wydawnictwo Austeria, 2018

poznamy bohaterów przyszłych powieści Rotha, chroniących się w pozorach i złudzeniach przed samotnością.

Te felietony to klasyczne zapiski flâneura, wiecznego przechodnia wpatrzonego w witryny i fizjonomie. Czytając je, trudno nie westchnąć banalnie nad upadkiem prasy: fragmenty, które dziś uznajemy za świetną, wysoką prozę, kilkadziesiąt lat temu drukowane były na ostatniej stronie lokalnych dzienników w rodzaju „Berliner Börsen-Courier". Przede wszystkim jednak ten dziennik bezdomności jest wiernym odbiciem losów pisarza, który po rozpadzie austro-węgierskiego kosmosu nie potrafił znaleźć oparcia w żadnym ze zbyt glinianych dla niego nowych państw.

eprasa.pl 06c4c12585

Adamski





Kino

Kim jestem?

Agnieszka Smoczyńska po eklektycznym musicalu horrorze „Córki dancingu" została w USA uznana za jedną z najciekawszych młodych reżyserek kina grozy. Smoczyńska nie dała się zaszufladkować i na drugi film wybrała zupełnie inny temat. „Fuga" to rasowy psychologiczny dramat, którego scenariusz napisała Gabriela Muskała. Napisała pod siebie i stworzyła swoją najlepszą rolę w karierze.

Alicja (Muskała) nie wie, kim jest. Dwa lata po pojawieniu się na warszawskim dworcu i terapii psychiatrycznej występuje w telewizyjnym programie o osobach zaginionych. Tak odnajduje ją rodzina ze Śląska. Okazuje się, że kobieta ma małego synka i męża (Łukasz Simlat), którzy powoli wychodzą z traumy po jej zniknięciu. Ma też kochających rodziców i nowoczesny dom na wzgórzu. Wracając do swojego dawnego świata, zderza się z utraconą rzeczywistością. Jednak wciąż nie pamięta, kim jest. Czy czuje chociaż podskórnie miłość do dziecka?

Smoczyńska w każdym kadrze dowodzi, jak szalenie utalentowaną i już dojrzałą jest reżyserką. Nie grając ani razu na fałszywych nutach, precyzyjnie prowadzi widza po zakamarkach umysłu Alicji. Powoli, ale konsekwentnie układa kolejne puzzle składające się na obraz dramatu kobiety. Koszmarnego. Rozrywającego ją od środka.

„Fuga" to film nie tylko pięknie sfotografowany przez Jakuba Kijowskiego (monochromatyczna paleta barw, klaustrofobiczne ujęcia podkreślające wyalienowanie Alicji), lecz także naznaczony pasją Smoczyńskiej do gatunkowego miszmaszu. Choć nie nakręciła tym razem horroru, to nie zrezygnowała z niepokojących introspekcji wyjętych z psychodelicznych filmów grozy. Nie jest to efekciarstwo. Pusty chwyt dla wychowanej na mocnych wrażeniach wizualnych widowni. Smoczyńska pyta o to, czy można „nauczyć się" na nowo własnego życia. Czy można pokochać osobę, która totalnie zmieniła się wewnętrznie, stając się de facto innym człowiekiem.

Smoczyńska jest matką, więc zna wszystkie barwy macierzyństwa. Jest równocześnie pewną siebie, odnoszącą międzynarodowe sukcesy kobietą, więc potrafi spojrzeć na kobiecość bez kompleksów. Doskonale uwypukla pytania zadane przez Muskałę, która zarówno fizycznie, jak i psychicznie obnaża się na ekranie. I znów – sceny seksu nie są prostą erotyką. Nie są skandalizowaniem golizną. Nie mają na siłę „ubogacać" filmu i dowodzić, że Muskała jest odważną aktorką. To właśnie w tych scenach najlepiej widać zmianę, jaka zachodzi w relacjach między małżonkami. To w ich łóżku widzimy, jak oboje są odmienieni. Niepewni własnych uczuć. Skonfundowani.

Czy spoiwem może być ich kilkuletni synek? On pogodził się ze stratą matki. Potem przyjął ją (z oporami) z powrotem. Jego miłość jest jednak czysta. Dziecięca. Nienaznaczona konwenansami. Ocenianiem. Ciągnięciem bagażu doświadczeń. Może właśnie takiej miłości potrzebuje Alicja? Czy to jednak możliwe w jej przypadku?

Smoczyńska i Muskała nie dają żadnych recept ani odpowiedzi. To jest właśnie dojrzałość i mądrość ich filmu. Wspaniałe dzieło.

„FUGA" REŻ. AGNIESZKA SMOCZYŃSKA, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skazani na ucieczkę



VOD/TV

„Ucieczka z Dannemory" opowiada o prawdziwych wydarzeniach z 2015 r., gdy dwóch więźniów skazanych na dożywocie uciekło z jednego z najpilniej strzeżonych więzień w USA. Osadzonym pomogła pracownica więzienia, która przez wiele miesięcy miała romans z oboma mężczyznami. Obrazy więzienne to oddzielny podgatunek filmowy w USA. Siłą tego miniserialu są znakomite kreacje aktorskie. Benicio del Toro i Paul Dano tworzą bardzo ludzkie role dwóch więźniów. Show kradnie jednak oszpecona Patricia Arquette. Seksbomba lat 90. („Prawdziwy romans", „Zagubiona autostrada") mimo wieku i sporej nadwagi nie wstydzi się grać swoim wizerunkiem. Po Oscarze za „Boyhood" Arquette stała się dojrzałą aktorką, uważnie wybierającą repertuar. W tym miniserialu stworzyła z Dano i Del Toro intrygujący, zupełnie niejednoznaczny aktorski trójkąt. Całość wyreżyserował zaś znany głównie z ról komediowych Ben Stiller, co dodaje wszystkiemu smaku!

„UCIECZKA Z DANNEMORY" DOSTĘPNA NA HBO GO I HBO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 06c4c12585

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Kino

Wciąż chwyta ze serce!

Amerykanie tak bardzo kochają tę historię, że nakręcili ją już czwarty raz (1937, 1954, 1976). Najlepszą wersję historii romansu gasnącej gwiazdy muzyki (Kris Kristofferson) i początkującej wokalistki (Barbra Streisand) zrobił w latach 70. Frank Pierson. Streisand za piosenkę „Evergreen" zgarnęła Oscara.

Cooper nie zrobił w scenariuszu rewolucji, uwspółcześniając go na tyle, by trafił do wychowanego w erze YouTube'a widza. Jackson Maine (Bradley Cooper) to schodzący ze sceny gwiazdor southern rocka. Jak przystało na rockmana, pije od świtu do świtu. Do tego głuchnie. Daje coraz gorsze występy, co przeraża jego starszego brata (Sam Eliott). Pewnego dnia wpada w barze na dającą występ Ally (Lady Gaga). Dziewczyna fenomenalnie interpretuje piosenkę Édith Piaf. Tak zaczyna się ich pełen prawdziwej miłości, ale i goryczy związek. Maine podczas jednego z koncertów zaprasza na scenę Ally, pozwalając jej pokazać nadprzeciętny talent przed setkami tysięcy widzów. Tak zaczyna się jej wielka kariera i jego powolne schodzenie ze sceny. Aż do niemal szekspirowskiego finału.

Kochamy tę historię, bo to uniwersalna i piękna opowieść o koszcie sławy. Cena, jaką Maine i Ally muszą zapłacić za sukces, jest potworna. Germanotta w pewnym stopniu gra samą siebie. Dokonuje dekonstrukcji własnego wizerunku. To piekielnie utalentowana piosenkarka, która została przez pazernych kreatorów masowego gustu wepchnięta w kostium skandalizującej gwiazdeczki pop.

Cooperowi nie udało się tak dobrze jak Piersonowi pokazać zatrutej alkoholem miłości między muzykami. Zbyt szybko prześlizguje się po kolejnych etapach toksycznego związku i nie podkreśla niszczącej siły zazdrości naznaczającej miłosny wątek. „Narodziny gwiazdy" ogląda się jednak świetnie. Wszystko dzięki kipiącej emocjami relacji Lady Gagi i Coopera.

Bawiąca się do tej pory aktorsko swoim wizerunkiem u Rodrigueza („Maczeta zabija", „Sin City") i w antologii „American Horror Story" Stefania Germanotta tworzy tutaj obraz pełnokrwistej kobiety. Czułej, kochającej, wybitnie utalentowanej i jednocześnie zakompleksionej oraz rozdartej wewnętrznie młodej dziewczyny, pod której stopami niespodziewanie rozwinął się czerwony dywan. Cooper nie mówi nam nic nowego o wiecznie nienasyconym potworze zwanym wódką. Po wybitnej roli Jeffa Bridgesa jako autodestrukcyjnego pijaka i gwiazdy country w „Szalonym sercu" trudno było Cooperowi czymś zaskoczyć. Jest jednak przejmujący. Szczególnie w scenach odbudowywania naznaczonej piętnem dzieciństwa relacji z bratem.

Nawet jeżeli znacie ten wyciśnięty przez popkulturę dramat, to idźcie do kina. Ja jestem fanem wersji z 1976 r., a ten film mnie mocno poruszył. No i ta ścieżka dźwiękowa! Od wyjścia z kina nie mogę przestać jej słuchać. Głos Lady Gagi na sali kinowej wywołuje ciarki. Cóż, nie na darmo pseudonim przyjęła od hitu Freddiego Mercury'ego i Queen.

„NARODZINY GWIAZDY"
REŻ. BRADLEY COOPER, DYSTR. WARNER BROS

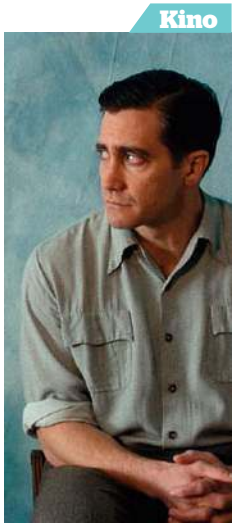


Kino

Mądra opowieść

To zaskakujące, jak dojrzałym reżyserem okazał się aktor Paul Dano. Jego debiut „Kraina wielkiego nieba" to mądra opowieść o rozpadzie rodziny. Carey Mulligan i Jake Gyllenhaal grają zmagających się z finansowymi problemami rodziców dorastającego syna (Ed Oxenbould). Rodzina mieszka w mieścinie w stanie Montana. Gdy ojciec wyjeżdża do niskopłatnej pracy gasić pożary lasów, matka na oczach syna wchodzi w romans z miejscowym biznesmenem. Dano dokonuje przenikliwej wiwisekcji przyziemnych problemów rodziny, ale pokazuje też przemiany obyczajowe Ameryki przełomu lat 50. i 60. XX w. Carey Mulligan tworzy znakomitą kreację kobiety, która mimo miłości do dziecka chce zerwać z siebie gorset konwenansów. To pęknięta wewnętrznie osoba, kipiąca w środku od sprzecznych emocji. Jej wspaniała rola wybrzmiewa w ściskającym za serce finale dzięki subtelnemu scenariuszowi i reżyserii Dano, który wyciąga całą gorycz oraz słodycz z powieści „Wildlife" Richarda Forda.

„KRAINA WIELKIEGO NIEBA" **REŻ. PAUL DANO, DYSTR. M2FILMS**



Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 06c4c12585



Węgierski premier stawia przed sobą dalekosiężne cele, które zazwyczaj wykraczają poza horyzont myślowy współczesnych mu polityków. Wyznacza sobie misje, które innym wydają się nie do pomyślenia ani tym bardziej do zrealizowania

Trzy misje Viktora Orbána

Fot. Shutterstock



GRZEGORZ GÓRNY

MISJA 1. KONIEC KOMUNIZMU

16 czerwca 1989 r. Plac Bohaterów w Budapeszcie. Z nieba leje się żar. Ćwierćmilionowy tłum wypełnia całą przestrzeń wraz z okolicznymi ulicami. Neoklasycystyczna kolumnada Schickedanza owinięta jest czarną draperią. Zwisają z niej wielkie czerwono-biało-zielone flagi narodowe Węgier z wyciętą w środku dziurą. Na schodach gmachu Muzeum Sztuk Pięknych, który przypomina antyczną świątynię, spoczywa sześć trumien. Obok płoną znicze. Z głośników rozbrzmiewa żałobna muzyka. Ludzie stoją w kolejce,

eprasa.pl 06c4c12585

by złożyć hołd poległym. Są oficjalne delegacje i zwykli obywatele. Rośnie góra wieńców i kwiatów.

To ponowny pogrzeb Imrego Nagya, byłego premiera, bohatera powstania, straconego przez komunistów i pochowanego pewnej czerwcowej nocy 1958 r. w najgłębszej tajemnicy pod obcym nazwiskiem w kwaterze 501 budapeszteńskiego cmentarza. Władze nie chciały, by jego mogiła stała się miejscem kultu męczennika. Teraz odnalezione szczątki, złożone do trumny, odbierają cześć od rodaków. Obok spoczywa jego czterech bliskich współpracowników. Szósta trumna, symboliczna, przeznaczona jest dla Nieznanego Powstańca.

Nad morzem głów dominuje drewniana konstrukcja, która swym kształtem przypomina prujący fale dziób żaglowca. Podchodzą tam do mikrofonu kolejni mówcy: uczestnicy powstania, działacze opozycji, politycy. Są patriotyczne teksty, wspomnienia, cytaty z Petőfiego i Kossutha, odtwarzane z taśmy przemówienia Nagya...

Organizatorzy umówili się, że nie będzie żadnych nawiązań do bieżącej polityki. Wszystko ma się odbywać w klimacie pojednania, bez pretensji i rozliczeń, w duchu trójkątnego stołu, do którego zaledwie cztery dni wcześniej zasiedli przedstawiciele komunistycznych władz i demokratycznej opozycji. Węgrzy nie kryją, że biorą przykład z okrągłego stołu w Polsce.

Do mikrofonu podchodzi ostatni mówca. Młody, nieogolony, kudłaty brunet ze znaczkiem „Solidarności" wpiętym w klapę marynarki. To szef powstałej rok wcześniej młodzieżówki, której nazwa niewiele mówi przeciętnemu Węgrowi. Wyznaczony został do przemowy na samym końcu jako najmłodszy z polityków i najmniej znaczący w tym gronie. Jego pozycja jest słabsza niż innych, ponieważ nie zdecydował się zasiąść przy trójkątnym stole.

Niespodzianie dla wszystkich młodzieniec łamie reguły gry. „My, młodzi ludzie, nie umiemy zrozumieć wielu spraw dotyczących starszego pokolenia" – mówi, przechodząc stopniowo do bieżącej polityki: „Nie rozumiemy, że ci właśnie przywódcy partii i rządu, którzy kazali nam się uczyć z podręczników fałszujących historię rewolucji, teraz przepychają się, by dotknąć tych trumien, jakby były zaklęte. Nie mamy powodu być wdzięczni za to, że pozwolono nam pochować naszych męczenników. Nikomu nie zawdzięczamy tego, że dziś działać mogą nasze organizacje polityczne".

Ludzie wyczuwają zupełnie inny ton niż ten, który brzmiał do tej pory. Przerywają brawami, wznoszą okrzyki. Mówca kontynuuje: „Jeśli zaufamy naszym duszom i naszej sile, możemy położyć kres dyktaturze komunistycznej. Jeśli będziemy wystarczająco zdeterminowani, możemy zmusić partię do poddania się wolnym wyborom. Jeśli nie stracimy z oczu ideałów roku 1956, będziemy zdolni wybrać rząd, który zacznie natychmiastowe negocjacje w celu szybkiego wycofania wojsk sowieckich".

Po ostatnich słowach na placu wybucha owacja. Wiwatom i oklaskom nie ma końca. Mówca mówi to, co myśli zebrana na placu większość, a czego nie powiedział do tej pory nikt. Wystąpienie transmitowane na żywo przez węgierską telewizję obiega cały kraj. Nieznany szerzej polityk jest na ustach wszystkich Węgrów: nazywa się Orbán. Viktor Orbán.

Na placu Bohaterów znajduje się delegacja działaczy opozycyjnych z Polski. Kolejne wystąpienia tłumaczy im Ákos Engelmayer. Kiedy przekłada słowa Orbána, zdenerwowany Adam Michnik komentuje krótko: „K..., to jednak przesada".

Choć Orbán nie zasiada przy trójkątnym stole, to właśnie jego mowa ustawia dalszy przebieg obrad. Ustanawia poziom żądań, poniżej którego opozycja nie może już zejść. W efekcie Madziarzy zyskują więcej niż Polacy przy okrągłym stole. Pierwsze całkowicie wolne wybory odbywają się tam wiosną 1990 r. (półtora roku wcześniej niż u nas), a wojska sowieckie opuszczają Węgry w 1992 r. (rok przed wycofaniem się z Polski).

MISJA 2. NOWE PAŃSTWO

18 kwietnia 2011 r. Sala plenarna parlamentu Węgier. W secesyjnym wnętrzu odbywa się uroczyste posiedzenie Zgromadzenia Narodowego. Trwa głosowanie nad przyjęciem nowej konstytucji. Obowiązująca do tej pory ustawa zasadnicza pochodzi z roku 1949 i ma osobistą akceptację samego Stalina. Po upadku komunizmu była co prawda nowelizowana, ale jej kościec pozostaje bez zmian. Dopiero teraz, 21 lat po rozpoczęciu transformacji ustrojowej, pojawia się szansa, by stworzyć nowy fundament państwa.

Posłowie liberalni i lewicowi bojkotują głosowanie. Nie mają jednak szans, by powstrzymać zmiany. Rok wcześniej koalicja Fidesz-KDNP zdobyła 68 proc. miejsc w parlamencie, uzyskując większość konstytucyjną i silny mandat społeczny do gruntownej naprawy państwa. Ustawa zasadnicza zostaje przyjęta: głosuje za nią 262 posłów, 44 jest przeciwnych, a jeden wstrzymał się od głosu. Dla premiera Węgier Viktora Orbána jest to właściwy koniec postkomunizmu w jego kraju.

Przywódca Fideszu od dawna mówi, że nie jesteśmy skazani na jeden (neoliberalny) model wychodzenia z komunizmu; że nasza modernizacja nie musi być imitacyjna i nie musimy we wszystkim kopiować rozwiązań zachodnich; że nie można usprawiedliwiać nierówności i patologii społecznych, tłumacząc je nieuchronnymi kosztami transformacji. Po latach powie o tym następująco: „W roku 2010 podjęliśmy decyzję o zerwaniu z koncepcją społeczeństwa liberalnego oraz wynikającymi z niej zasadami i metodami. Zamiast tego wybraliśmy połączenie wolności z odpowiedzialnością, a więc prowadzimy politykę zgodną z ideą wzajemnej odpowiedzialności, co jasno przypomina nam konstytucja, na którą wszyscy złożyliśmy przysięgę. Przez 20 lat panował pogląd, że wolno wszystko to, co nie narusza wolności drugiego. Wynikająca z tego filozofia życia cieszyła się politycznym uznaniem i wsparciem. Ponieważ jednak nie ma odpowiedzi na pytanie, kto decyduje o tym, co zaczyna być naruszeniem wolności drugiego człowieka, w praktyce życia codziennego kwestię tę rozstrzygała siła, czyli ten, kto dysponował jej przewagą. Dlatego w rzeczywistości pogląd ten – przy całej jego umysłowej elegancji i atrakcyjności – okazał się fałszywy i obłudny.

eprasa.pl 06c4c12585

Dlatego właśnie musieliśmy go odrzucić i w jego miejsce przyjąć nową koncepcję. A dokładniej musieliśmy przywrócić prastare prawo moralne, które brzmi: czego nie chcesz, by tobie uczyniono, tego i ty nie czyń drugiemu. Co więcej: w duchu polityki inspirowanej chrześcijaństwem chcemy dołączyć do tego prawo, które mówi: co chcesz, by tobie czyniono, to czyń i ty swoim bliźnim".

Orbán pierwszy w Europie Środkowej zakwestionował model zmian, który obowiązywał w naszym regionie po 1989 r. Diagnoza sytuacji, jaką postawił, była następująca: pępowina łącząca z minionym systemem nie została przecięta, więc trwa zatruwanie życia zbiorowego przez złogi postkomunizmu. Wciąż wpływowe są antyrozwojowe grupy interesów wywodzące się z poprzedniego ustroju. Kraje regionu padają ofiarą neokolonializmu ze strony wielkich międzynarodowych koncernów, które prowadzą nieuczciwą konkurencję z miejscową klasą średnią i małym biznesem, transferują za granicę olbrzymie zyski i płacą na miejscu śmiesznie niskie podatki. Upadł przemysł ciężki, będący niegdyś kołem zamachowym gospodarki, a pustki po nim nie wypełnił rozwój żadnej perspektywicznej branży ekonomicznej. Kraje Europy Środkowej zostały zredukowane do roli montowni, rezerwuaru taniej siły roboczej i rynków zbytu. Na arenie unijnej zrezygnowały z podmiotowości, podporządkowując się polityce Berlina i Brukseli, nawet jeśli nie było to zgodne z ich interesami. Sprzyja temu rozpowszechniona zwłaszcza wśród inteligencji mentalność postkolonialna, podszyta kompleksem niższości wobec europejskich metropolii. W elitach panuje przekonanie, że nic nie da się z tym zrobić i tak już musi być.

A jaka jest w tym wszystkim rola państwa? Orbán pisze: „Z jednej strony państwo stopniowo zwalnia się ze swoich obowiązków, z drugiej jednocześnie stale podnosi podatki wyduszane podobno na utrzymanie tego państwa. To przypomina sytuację dozorcy, który z roku na rok żąda wyższej pensji, ale najpierw przestaje otwierać bramę, potem przestaje sprzątać i za jakiś czas robi już tylko jedno: śledzi lokatorów za ich własne pieniądze. Ewentualnie czasem daje im kopniaka".

Po 2010 r. Fidesz przełamuje ten imposybilizm. Wyrazem tego jest nie tylko nowa konstytucja czy 365 ustaw przyjętych w 365 dni, lecz także polityka państwa, które w obronie swych obywateli nie boi się wchodzić w starcia z wpływowymi grupami interesów: zachodnimi koncernami, bankami, mediami, grupami politycznymi, środowiskami ideologicznymi czy elitami unijnymi. Z jednej strony rząd Węgier staje się obiektem nieustannych ataków na arenie międzynarodowej, ale z drugiej – cieszy się od lat dużym poparciem własnych rodaków, o jakim nie może pomarzyć żaden inny gabinet w Europie. W kolejnych wyborach – w 2014 i 2018 r. – Fidesz ponownie zdobywa większość konstytucyjną, uzyskując ponad 2/3 głosów w parlamencie.

> Miarą zwycięstwa Orbána jest nie tylko to, że przeprowadził fundamentalne zmiany w państwie, lecz również to, że przekonał do nich większość obywateli

Węgrzy widzą, że państwo przestało być dozorcą zaniedbującym dom i dającym czasem kopniaka lokatorom, a zaczęło być gospodarzem troszczącym się także o ich interesy. Dlatego nie robią na nich wrażenia głosy porównujące rząd w Budapeszcie do nadzorcy w obozie koncentracyjnym. Wiedzą, że to cena, jaką Fidesz płaci za ich obronę. To miara zwycięstwa Orbána: nie tylko przeprowadził fundamentalne zmiany w państwie, lecz również przekonał do tego większość obywateli.

MISJA 3. KIERUNEK EUROPA

28 lipca 2018 r. Uniwersytet letni Tusványos w Siedmiogrodzie. Na położonej wśród lasów i gór polanie stoi estradowa scena. Na niej stolik, a za nim trzech mężczyzn. Po bokach siedzą Zsolt Németh i László Tőkés, a w środku Viktor Orbán. Młodzież szczelnie wypełniająca polanę słucha premiera, który co roku przyjeżdża do najmniejszego miasta w Rumunii, by tam wygłosić swe programowe przemówienie.

Tym razem wiele mówi o kondycji naszego kontynentu: „Europa była kiedyś wielką cywilizacją. Była ośrodkiem władzy kształtującym stosunki światowe. Miała odwagę myśleć, działać, była śmiała i podejmowała się wielkich czynów. Jeżeli przyglądamy się poszczególnym cywilizacjom z odpowiedniej perspektywy duchowej, wówczas możemy stwierdzić, że cywilizacje zbudowane są zazwyczaj na czterech fundamentach. Cywilizacje są bytami natury duchowej. Stworzone są z ducha religii, ducha sztuki, ducha nauki i ducha przedsiębiorczości".

Zdaniem Orbána we wszystkich tych dziedzinach Europa znajduje się w odwrocie, a winę za to ponoszą unijne elity. To one spowodowały, że „w dzisiejszej Europie »społeczeństwa otwartego« nie ma granic, Europejczyków można zastępować przybyszami, rodzina stała się formą współżycia podlegającą wariacjom według dowolnych upodobań, naród zaś, narodowa tożsamość i narodowe uczucia uznawane są za pojęcia negatywne i objaw zacofania, a europejskie państwa nie gwarantują już bezpieczeństwa".

Viktor Orbán jest dziś właściwie jedynym przywódcą na naszym kontynencie, który nieustannie powtarza, że Europa potrzebuje zmiany dotychczasowego modelu funkcjonowania oraz powrotu do swych chrześcijańskich korzeni. Uważa, że to właśnie będzie stawką najbliższych majowych wyborów do europarlamentu. To może być pierwszy krok, by zatrzymać proces cywilizacyjnej erozji Europy. Z myślą o tym tworzy już nowy projekt ideowy.

Czy jego kolejna misja zakończy się sukcesem?

eprasa.pl 06c4c12585

Nowoczesna prefabrykacja

Tanio, szybko i dobrze? To możliwe, ale – jak twierdzą fachowcy – nigdy ze wszystkimi trzema warunkami jednocześnie. Szczególnie w budownictwie. Mówi się też jednak, że autorami rewolucji i innowacje są ci, którzy nie wiedzieli, że czegoś nie da się zrobić. Szansą dla taniego, szybkiego i dobrego budownictwa jest prefabrykacja

Polski rynek budowlany jest trudny. Ciągle brakuje mieszkań, a ceny tych dostępnych są nieosiągalne dla dużej grupy Polaków. Z myślą o nich powstał rządowy program Mieszkanie+.

Rosnące ceny mieszkań w Polsce są efektem oparcia procesu budowlanego na przestarzałych technologiach, ale także powodem niestabilnych cen materiałów budowlanych i braku wystarczającej liczby pracowników. Takie same przeszkody napotyka każdy inwestor, także PFR Nieruchomości. Poszukiwano więc idei, która mogłaby zwiększyć efektywność realizowanych inwestycji mieszkaniowych, ale także wpłynąć na rozwój technologii budowlanych w Polsce. Odpowiedzią jest prefabrykacja – nowoczesna i efektywna forma budownictwa, która najskuteczniej może rozwiązać problem niedoboru mieszkań i rosnących kosztów pracy przy jednoczesnym zachowaniu wysokiego standardu realizowanej inwestycji.

W wielu krajach technologie prefabrykowane są bardzo popularne, a liczne realizacje dowodzą, że osiedla w ten sposób budowane są nie tylko efektywną metodą budowania, lecz mogą być również atrakcyjne architektonicznie i stanowić dostosowaną do współczesnych potrzeb dobrą przestrzeń życia i zamieszkania.

– Dostrzeżenie możliwości zastosowania technologii prefabrykacji w programie Mieszkanie+ stanowi bardzo racjonalne spojrzenie na rozwiązywanie problemów budownictwa mieszkaniowego w Polsce. Współczesna prefabrykacja jest skuteczną formą budownictwa mieszkaniowego, wykorzystywaną w wielu wysoko rozwiniętych krajach Europy. Nowoczesna i szybka metoda budowy domów w technologiach prefabrykowanych z pewnością przyczyni się do zwiększenia efektywności w realizacji inwestycji – uważa Jan Styliński, prezes Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa.

Polski rynek nie jest najłatwiejszy do implementacji tej technologii. Znane nam wszystkim bloki z tzw. wielkiej płyty, z założenia budowane dla jak największej liczby mieszkań, bez oglądania się na ich jakość, zniekształciły obraz budownictwa prefabrykowanego. Prefabrykacja stała się synonimem anonimowej i monotonnej przestrzeni oraz niskiego standardu architektonicznego. Zaufanie do tej nowej starej technologii trzeba odbudować od zera.

W ramach programu Mieszkanie+ ruszył konkurs na opracowanie systemu prefabrykowanej zabudowy mieszkaniowej, we współpracy m.in. z Polskim Związkiem Pracodawców Budownictwa i Stowarzyszeniem Producentów Betonów.



Członek zarządu PFR Grzegorz Muszyński

12/1018/F

– Oczekujemy, że pierwsza wzorcowa realizacja, prowadzona na podstawie opracowanego systemu prefabrykacji zabudowy mieszkaniowej oraz projektu architektoniczno-urbanistycznego na wybranej przez nas działce, przełamie stereotypy i stworzy nowy obraz budownictwa prefabrykowanego. Do stworzenia nowego wizerunku prefabrykowanej zabudowy mieszkaniowej istotną rolę będą miały nie tylko przyjęte rozwiązania techniczne i technologiczne, lecz również to, co z nich powstanie, czyli dobra jakościowo architektura – podkreśla Grzegorz Muszyński, członek zarządu PFR Nieruchomości.

Zapewnienie dostępnych cenowo mieszkań oraz tworzenie przyjaznych do życia przestrzeni zamieszkania jest kluczowym zadaniem, przed którym stają projektanci. Logika przyjętych w konkursie rozwiązań jest inna niż powszechnie przyjęta w polskim procesie projektowym. Najpierw tworzone będą elementy, na ich bazie – sekcje budynków, a dopiero na końcu powstanie finalny budynek. Uczestnicy konkursu będą musieli wskazać m.in. możliwe konfiguracje układów zabudowy. Celem jest, by możliwie różnorodne budynki były realizowane z jak najmniejszej liczby typów powtarzalnych elementów.

Do drugiego etapu konkursu zakwalifikowali się: BBGK Architekci sp. z o.o., Unihouse Oddział Unibep SA, Urba Architects sp. z o.o. oraz HM Inwest SA.

Anna Raciniewska

eprasa.pl 06c4c12585



Przedstawiamy zapis ciekawego spotkania grupy dziennikarzy polskich i niemieckich z Wołodymyrem Wiatrowyczem, prezesem ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej. Zdajemy sobie sprawę, że część wypowiedzi Wiatrowycza jest dla Polaków trudna lub niemożliwa do zaakceptowania, jednak nie zmienia to dokumentalnej ich wartości. Jednym z uczestników spotkania, które odbyło się w Kijowie 15 listopada 2018 r. w ramach programu Inside Ukraine, był Michał Karnowski

Z ukraińskiej perspektywy

Fot. Fratria

Czym jest ukraiński IPN? Jak widzi pan zadania kierowanej przez pana instytucji?

Wołodymyr Wiatrowycz: Instytuty Pamięci Narodowej istnieją tylko w państwach postkomunistycznych, np. w Czechach, Polsce. I to nie jest przypadek, ponieważ prowadzona przez komunistyczne reżimy polityka była nakierowana na wymazanie tego, co nazywamy pamięcią narodową. Po upadku tego systemu pojawiła się więc w tych państwach potrzeba odbudowania tej pamięci, potrzeba państwowego wsparcia dla tego zadania. Mówimy nie tylko o pracach badawczych, o stworzeniu dogodnych warunków do ich prowadzenia, lecz również o popularyzacji pamięci o przeszłości narodu w społeczeństwie. Nic dziwnego, że w większości państw postkomunistycznych takie instytuty powstały już w latach 90., wkrótce po upadku komunistycznych reżimów. Na Ukrainie stało się to znacznie później. Do pierwszej próby stworzenia IPN doszło w roku 2007, po „pomarańczowej rewolucji".

Jaka była tego przyczyna?

Ukraina uzyskała niepodległość w roku 1991, ale w sferach rządzących państwem nadal odnotowywano dużą obecność byłych komunistów. Nie było więc zrozumienia dla celu, jakim jest wzmocnienie pamięci narodowej. Dopiero „pomarańczowa rewolucja" roku 2004, objęcie urzędu prezydenta przez Wiktora Juszczenkę i jego ekipę stworzyły możliwość powołania ukraińskiego IPN. Było to też związane z przywracaniem pamięci o Wielkim Głodzie na Ukrainie z lat 1932–1933, do dzisiaj pozostaje to jednym z najważniejszych tematów, nad którymi pracujemy. Naszym zadaniem są nie tylko prace badawcze nad tą zbrodnią, lecz również szerzenie informacji o niej na całym świecie, w tym pokazywanie, że była to zbrodnia ludobójstwa. Możemy mówić tu o pewnym sukcesie, już 16 państw oficjalnie uznaje Wielki Głód za zbrodnię ludobójstwa.

Na tej liście nie ma Rosji.

Oczywiście Rosja nie tylko nie uznaje tego za zbrodnię ludobójstwa, lecz także czyni wszelkie możliwe wysiłki, by zablokować szerzenie informacji wskazujących, że Wielki Głód był

eprasa.pl 06c4c12585

ludobójstwem. Kilka lat temu dzięki dokumentom opublikowanym przez WikiLeaks dowiedzieliśmy się, że władze Rosji szantażowały Azerbejdżan, iż w razie uznania Wielkiego Głodu za zbrodnię ludobójstwa ten kraj spotkają sankcje ekonomiczne. Inną bardzo źle przyjętą w Rosji sprawą było otwarcie archiwów byłego KGB na Ukrainie w latach 2008–2010. W ten sposób w tym okresie Ukraina podjęła próbę podniesienia pamięci narodowej na ten sam poziom, jaki jest w innych krajach postkomunistycznych. W tamtych dwóch latach byłem szefem archiwów ukraińskiej służby bezpieczeństwa, które obejmowały też materiały byłego KGB. Zaraz po objęciu tego urzędu otrzymałem ze służby bezpieczeństwa Rosji (FSB) ostrzeżenie, że jeśli zdecydujemy się na otwarcie archiwów KGB na Ukrainie, to ujawnimy tajemnice, które mogą zaszkodzić bezpieczeństwu Federacji Rosyjskiej.

Coś pan odpowiedział?

Że działamy wyłącznie zgodnie z ukraińskim ustawodawstwem, a nie zgodnie z politycznymi interesami Rosji. W odpowiedzi w 2008 r. stałem się osobą niechcianą, persona non grata na terytorium Federacji Rosyjskiej. I tak jest do dzisiaj.

Wróćmy do ukraińskiego IPN. W 2010 r. przestał pan kierować Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Dlaczego?

W tamtym roku prorosyjski Wiktor Janukowycz ponownie został prezydentem Ukrainy. Za tym poszły zmiany w podejściu do polityki historycznej i całej sfery kultury w kierunku zgodnym z interesem rosyjskim. Niemal natychmiast po swoim zwycięstwie, w kwietniu 2010 r., Janukowycz w czasie wystąpienia w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że Wielki Głód nie był ludobójstwem, co było zgodne z życzeniem rosyjskim. Chwilę potem zostałem wyrzucony z Archiwum FSB, a dostęp do archiwów został zamknięty. Na czele Archiwum stanął były funkcjonariusz komunistyczny, podobnie jak na czele IPN. Krok po kroku postępowała rehabilitacja komunistycznej przeszłości, od podręczników szkolnych przez muzea.

Ten proces nie zatrzymał się na sferze pamięci narodowej?

Oczywiście, że nie. Janukowyczowi nie wystarczyła rehabilitacja sowieckiej przeszłości, szybko przeszedł do używania sowieckich metod w polityce i gospodarce. Pojawiła się cenzura w mediach, pojawili się więźniowie polityczni. Nie tylko najbardziej wówczas znani, jak Julia Tymoszenko i Jurij Łucenko, ale wielu innych trafiło za kraty z powodu swojej politycznej aktywności. To budziło coraz większy społeczny opór, a ostatecznie wybuchło jako Euromajdan (na przełomie 2013 i 2014 r.). W mojej opinii właśnie ta próba powrotu do sowieckiej przeszłości, tradycji była jednym z ważniejszych powodów protestu Ukraińców. Nie przypadkiem wtedy właśnie przeszła przez całą Ukrainę fala spontanicznego obalania pomników Lenina, w tym tego w centrum Kijowa. Zmiany dokonane wskutek Euromajdanu przyniosły nam szansę odejścia od sowieckiej tradycji i zwrotu w kierunku przyszłości europejskiej.

W marcu 2014 r. został pan prezesem Instytutu Pamięci Narodowej.

Tak. Za tym poszły zmiany w prawie, które wprowadziły dekomunizację na Ukrainie. W kwietniu 2015 r. udało się otworzyć dostęp do archiwów byłego KGB, co uważam za swoje duże osiągnięcie.

Kto może zajrzeć do tych materiałów?

Absolutnie każdy, nie tylko obywatele Ukrainy, lecz także innych krajów. Jedynym wyjątkiem jest sytuacja, gdy ofiara represji chce jakieś dane czy informacje zastrzec, wtedy dostęp do nich jest wyłączony. To są materiały niezwykle cenne – nasze archiwum zawiera największy otwarty zbiór materiałów KGB w całej przestrzeni postkomunistycznej. I czasami przynosi to ciekawe efekty. Przykładowo kilka lat temu rosyjski sąd zabronił tamtejszemu badaczowi dostępu do dokumentów związanych z wielką czystką roku 1937. Dokładnie taki sam materiał znaleźliśmy w naszych archiwach i udostępniliśmy na naszej stronie internetowej każdemu zainteresowanemu.

Proszę powiedzieć kilka słów więcej o dekomunizacji dokonującej się na Ukrainie. Co jest w tych przepisach?

Zakazane jest używanie w przestrzeni publicznej symboli komunistycznych, ale warto podkreślić, że także nazistowskich. Odrzucenie komunistycznej przeszłości przyniosło ogromne zmiany, w tym nowe nazwy 987 wiosek i miast oraz 52 tys. ulic i placów. Usunięto 2,5 tys. pomników komunistycznych działaczy, w tym 1,5 tys. Lenina. Dziś, 25 lat po ogłoszeniu niepodległości, pomników Lenina już na Ukrainie nie ma, z wyjątkiem tych na okupowanych terenach Krymu i w Donbasie. Chcę jednak podkreślić, że ważnym elementem naszej misji jest popularyzacja ukraińskiej historii, co czynimy w każdy możliwy sposób: od książek, przez filmy, po wystawy. Ostatnio skupialiśmy się na pokazywaniu wydarzeń na Ukrainie sprzed 100 lat, a na głównej ulicy Kijowa, Kreszczatiku, prezentujemy wystawę na temat 100-lecia relacji ukraińsko-polskich.

Jaka była idea tej wystawy?

Co do idei wyrasta ona z tego, że zarówno Polska, jak i Ukraina 100 lat temu stały się niepodległymi państwami. Chcieliśmy pokazać pewną równoległość losów obu krajów w tym okresie, porównać je. Czasami schodząc na poziom rodzin, bo np. rodzina Szeptyckich dała Ukrainie greckokatolickiego metropolitę lwowskiego i halickiego Andrzeja Szeptyckiego (w latach 1900–1944), a Polsce ministra obrony Stanisława Szeptyckiego (w 1923 r.). Inny przykład: Anna Walentynowicz była bohaterką polskiej „Solidarności", a jej brat był żołnierzem Ukraińskiej Powstańczej Armii. W naszych wzajemnych relacjach zdarzyło się wszystko: rywalizacja, kooperacja, wojny i przyjaźń. Nie możemy zmienić naszej przeszłości, nie jesteśmy za nią odpowiedzialni,

eprasa.pl 06c4c12585

ale jesteśmy odpowiedzialni za naszą pamięć o przeszłości. Musimy zrobić wszystko, by budowała ona naszą przyszłość.

Widzieliśmy tę wystawę. Dlaczego nie została przygotowana we współpracy ze stroną polską?

Kiedy zostałem prezesem IPN, jednym z moich pierwszych kroków było nawiązanie współpracy z polskim Instytutem Pamięci Narodowej. Była umowa o współpracy, była wymiana archiwalna, wspólne przedsięwzięcia, np. wystawa w Kijowie o zbrodni katyńskiej. Powstało Polsko-Ukraińskie Forum Historyków, gdzie dyskutowaliśmy trudne sprawy, jak konflikt z lat 1939–1947. Jednak do czasu styczniowej zmiany przez polski parlament ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, która teraz grozi odpowiedzialnością karną za negowanie tego, co polskie władze nazwały „zbrodniami ukraińskich nacjonalistów". W tym prawie nie ma nawet wyjątku dla naukowych badań i prac. Postulaty naszego prezydenta, ministra spraw zagranicznych i IPN, by zmienić to prawo, nie zostały podjęte. Wiemy, że ta ustawa w odniesieniu do tematyki Holokaustu została zmieniona. Co więcej, polskie władze wdrażają tę ustawę w życie. Przykładem jest tutaj oskarżenie ukraińskiego historyka Grzegorza Kuprianowicza za jego wystąpienia o zbrodni dokonanej w 1944 r. na Ukraińcach przez Armię Krajową w Sahryniu.

Czyli obecnie nie widzi pan żadnej możliwości współpracy z polskim IPN?

Mówię jasno: do czasu zmiany ustawy o IPN w wątku ukraińskim taka współpraca w ogóle nie jest możliwa.

Wracając do tej wystawy – ma ona ciekawe wątki, ale trudno zaakceptować opisywanie wydarzeń z 1943 r. jako element wojny polsko-ukraińskiej. To była masowa masakra na bezbronnej ludności polskiej i polskie akcje odwetowe nie zmieniają tego obrazu.

Jest faktem, że w czasie tego konfliktu ucierpiało więcej Polaków, było to jednak efektem tego, że działo się to na terenach, na których dominowali Ukraińcy, Polacy byli mniejszością. Jednak dokumenty wskazują, że zbrodni dokonywały obie strony, obie dążyły do oczyszczenia terytorium z wrogiej narodowości. W jednej wsi mieszkańcy polscy otrzymali wezwanie do jej natychmiastowego opuszczenia od partyzantki ukraińskiej i takie samo wezwanie otrzymali Ukraińcy od podziemia polskiego. Symboliczna była pomyłka na profilu facebookowym polskiego premiera, gdzie zdjęcie przedstawiające ukraińskie ofiary na Wołyniu zaprezentowano jako ofiary polskie. Mnie to nie dziwi: polskie wsie i ukraińskie wsie płonęły tak samo.

> Do czasu zmiany polskiej ustawy o IPN w wątku ukraińskim nasza współpraca jest w ogóle niemożliwa

Czyli w pana ujęciu czegoś takiego jak zbrodnia wołyńska na Polakach w ogóle nie było?

Nigdy nie zaprzeczałem, że były zbrodnie dokonane przez Ukraińską Powstańczą Armię nie tylko na Wołyniu, lecz także w Galicji. Podkreślam: nigdy nie zaprzeczałem, że UPA dopuszczała się zbrodni wojennych. Ale nie możemy zaprzeczyć, że zbrodni tego typu dokonywała również partyzantka polska na Ukraińcach. Np. wiosną 1944 r. w czasie tzw. rewolucji hrubieszowskiej polskie oddziały, dowodzone przez oficera AK Mariana Gołębiowskiego, zniszczyły kilkanaście ukraińskich wsi i, wierzcie mi państwo, te zbrodnie nie różniły się niczym od tego, co działo się na Wołyniu. Ale to nie koniec tej historii. Rok później to właśnie Marian Gołębiowski stał się inicjatorem współpracy polsko-ukraińskiej, czego efektem były wspólne operacje przeciw komunistom. Jeśli więc oni umieli współpracować, to my mamy nie umieć? Oczywiście rozumiem, że w Polsce się mówi o zbrodniach przeciw narodowi polskiemu, ale nie mogę przyjąć, że o innych zbrodniach mamy nie mówić. Nie mogę przyjąć, że ból narodu ukraińskiego nie jest wart wspominania. Nie mogę uznać, że tu tylko jedna strona była ofiarą, a druga wyłącznie sprawcą. To nie jest prawda.

Widział pan film „Wołyń"? Co pan o nim sądzi?

Widziałem. Uważam, że autor jest utalentowany, ale film jest całkowitą propagandą. Jest zbudowany na mitach, stereotypach, strachach dotyczących Ukraińców, a tkwiących w duszy polskiej. Myślę jednak, że reżyser nie zrobił tego na polityczne zamówienie, co nie zmienia faktu, że został on wykorzystany przez polityków. Myślę, że ten film można porównać do filmu reżyserki Leni Riefenstahl – w znaczeniu odpowiedzialności za dzieło, które się stworzyło. Ten film będzie zatruwał stosunki polsko-ukraińskie przez wiele lat.

Prędzej czy później Ukraina będzie musiała się zmierzyć z tematem Holokaustu. Jakie jest pana podejście do tego tematu?

Odpowiem nie jako prezes IPN, ale historyk: w czasie wojny mieliśmy przykłady Ukraińców, którzy mordowali Żydów, którzy zachowywali się heroicznie, ratując Żydów, i takich, którzy próbowali sami przetrwać, odsuwając to, co się dzieje od siebie. Jak wszędzie. Nie możemy więc generalizować.

Jak duża jest skala działalności ukraińskiego IPN? Jakim budżetem dysponuje? Próbujemy to jakoś porównać do polskiego Instytutu.

Instytut zatrudnia 50 pracowników, nie ma na razie oddziałów terenowych, a budżet wynosi w całości około 10 mln hrywien (1,5 mln zł). Nie da się tego w żaden sposób porównać z polskim IPN, który jest instytucją wielokrotnie silniejszą.

Zapis nieautoryzowany.

48/1018/F

eprasa.pl 06c4c12585

PGE
Zapewniamy energię

Oszczędzaj z rabatem na urządzenia AGD z grupy Whirlpool w PGE eSklep

Wybierz ofertę na prąd od PGE i odbierz rabat na energooszczędne urządzenia AGD z grupy Whirlpool.

Poczuj oszczędności, które płyną z prądem.



rabat
-15%
w PGE eSklep

Jesteś klientem PGE?

Korzystaj z kuponów rabatowych i oszczędzaj nawet 50% podczas zakupów w sieciach popularnych sklepów. Kupony dostępne na PGE eSklep lub PGE eBOK.

50% RABAT

Wejdź na sklep.gkpge.pl
422 222 222

O szczegóły zapytaj konsultanta w Biurze Obsługi Klienta, Infolinii PGE lub sprawdź w regulaminie na www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl 06c4c12585



Protestuje przede wszystkim prowincja i przedmieścia. Mieszkańcy szeregowców w gminach na obrzeżach miast zależni od samochodu, by dojechać do pracy. Tkwiący po uszy w kredytach

Bunt Francji B

eprasa.pl 06c4c12585



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Amiens. Miasto rodzinne prezydenta Emmanuela Macrona i jego żony Brigitte podobnie jak inne aglomeracje w regionie Hauts-de-Seine jest symbolem Francji B. Tej Francji prowincjonalnej, peryferyjnej i coraz bardziej sfrustrowanej. Tej Francji, w której zrodziły się „żółte kamizelki". Położone między Paryżem a Lille, od których dzieli je w każdą stronę 140 km, Amiens mimo dobrych chęci nie może stanąć na nogi. 138 tys. mieszkańców, z których 80 proc., jak mówi w rozmowie z „Sieci" burmistrz Brigitte Fouré, „kwalifikuje się do mieszkań socjalnych". Niegdyś centrum przemysłu tekstylnego, dziś wykazuje prawie 12-procentowe bezrobocie, o ponad 2 proc. wyższe niż średnia krajowa, i 5-procentowy poziom analfabetyzmu. Funkcjonalnych analfabetów, takich, którzy potrafią się podpisać i przeczytać prosty tekst, jest więcej, ok. 20 proc. I nie są to bynajmniej imigranci, których mieszka w Amiens zaledwie kilka tysięcy. Tak jest zresztą w całym regionie obejmującym w sumie cztery departamenty, w tym Pas-de-Calais.

JEDEN Z NICH

Hauts-de-France to drugi najbiedniejszy region Francji, jeśli wierzyć tamtejszemu urzędowi statystycznemu (INSEE). Tuż po Korsyce. 18,3 proc. ludzi deklaruje dochody poniżej 1020 euro miesięcznie. Ponad 16 proc. żyje z pensji minimalnej (SMIC – 1498 euro brutto/1180 euro netto), a 29 proc. młodych w wieku 18–25 lat jest bez pracy. Kiedyś było lepiej, gdy fabryki jeszcze działały, ale niskiej jakości tekstylia produkowane w Amiens dawno przestały być konkurencyjne wobec tych produkowanych tanim kosztem w Chinach. Były strajki, protesty, ale w końcu fabryki zamknięto. Brakuje szkół, szczególnie licealnych. – Większość ludzi już w wieku 14 lat szło pracować na taśmie. To się teraz mści – tłumaczy pani burmistrz.

Amiens przegapiło moment, kiedy należało się przestawić. „Deindustrializacja" – to słowo słychać tu na każdym rogu. Dopiero od niedawna władze miasta i regionu usiłują wspólnie dźwignąć je z zapaści. Zainwestowano w hub innowacyjny, gdzie testuje się m.in. nowe sposoby magazynowania energii, ściągnięto znanego włoskiego architekta, by zmodernizował XVI-wieczną cytadelę, w której mieści się Uniwersytet Pikardii im. Juliusza Verne'a. Pisarz swoje ostatnie lata spędził właśnie w Amiens, gdzie był także miejskim radnym.

Imponująca gotycka katedra w centrum miasta została pięknie wyremontowana, podobnie jak malownicze dwupiętrowe domki robotnicze nad rzeką Somme. Mieszanka innowacji, turyzmu oraz planowany kanał Seine-Nord-Europe, łączący porty w Hawr i Rouen z Rotterdamem, Dunkierką i Antwerpią, mają odmienić losy Amiens. Na prezydenta Macrona, w końcu jednego z nich, nikt tu nie liczy. – Ostatnim razem był tu, gdy odbył się pogrzeb brata jego żony Brigitte. Kilka tygodni temu. Zresztą i tak niewiele wie o życiu tutejszych ludzi. Chodził do prywatnej szkoły i nie stykał się raczej z pospólstwem – mówi „Sieci" Driss Agouzoul, odpowiedzialny w mieście za sprawy społeczne. Według niego pierwsza dama Francji już lepiej rozumie miejscowych, w końcu jej bliscy wciąż tu są i należą do najbardziej prominentnych rodzin miasta. Ojciec Brigitte Macron, Jean Georges Trogneux, z zawodu cukiernik, uruchomił tu kilkadziesiąt lat temu pierwszy sklep z czekoladkami i popularnymi w regionie makaronikami. Dziś sklepów jest siedem, oprócz Amiens także w Arras, Lille i Saint-Quentin. Ale Brigitte nie zajmuje się polityką. A jej mąż – wybrzmiewa z wypowiedzi pracowników administracji miejskiej – traktuje swoje rodzinne miasto raczej instrumentalnie.

Podczas kampanii prezydenckiej w kwietniu 2017 r., 10 dni przed II turą, nagle sobie o nim przypomniał. Toczyła się wówczas walka między robotnikami fabryki Whirlpool, produkującej suszarki, a kierownictwem firmy. Zakłady zatrudniały 300 pełnoetatowych pracowników i kolejnych 250 sezonowych. Zyski były wysokie, jak twierdzą miejscowi związkowcy, ale kierownictwo firmy i tak postanowiło przenieść produkcję do Łodzi. Był to poważny cios dla miasta, gdzie większość pracowników ma niskie kwalifikacje. Wcześniej swoje fabryki w strefie przemysłowej Amiens-Nord zlikwidowały firmy Goodyear i Continental, argumentując, że „francuscy robotnicy pracują tylko trzy godziny dziennie". Mieszkańcy Amiens poczuli się poniżeni. Emocje były duże. Macron powiedział robotnikom, że postara się uratować ich miejsca pracy. Niczego jednak nie obiecuje. I dobrze, bo nie uratował. Whirlpool nie tylko przeniosło produkcję do Łodzi, lecz następnie przeniosło tam także swoje centrum finansowe. Fabrykę zaś przejął miejscowy przedsiębiorca Nicolas Decayeux, który chce tu w przyszłości produkować samochody elektryczne. Kiedy? Tego nikt nie wie, a przedsiębiorca nie chce wyznaczyć terminu rozpoczęcia produkcji. Część zwolnionych znalazła pracę u Amazona, który zbudował w pobliżu Amiens swoje centrum logistyczne. To zawsze coś, ale wciąż za mało.

KLASA ŚREDNIA NA BARYKADACH

Nastroje w mieście są ponure. Ostatnio Amiens zawarło wprawdzie kilka joint ventures z aglomeracjami w południowej Anglii, ale to projekty współfinansowane z europejskich funduszy. A za rogiem brexit. Co będzie po brexicie, tego nikt nie wie. – Zapomniano o nas. Jesteśmy zbyt daleko od Paryża, by się liczyć i przyciągać inwestycje. To taka ziemia niczyja – mówi „Sieci" wicenaczelny lokalnej gazety „Le Courrier Picard" Jean-Marc Chevauche. Amiens to Francja B, czyli Francja, która nikogo nie obchodzi, a szczególnie tych w Paryżu. Urzędy pocztowe są likwidowane, a dojazd do stolicy jest utrudniony przez opóźnione pociągi. Zamiast godziny i dziesięciu minut jedzie się ponad trzy. Z dwiema przesiadkami. Ci, którzy z trudem wiążą koniec z końcem, stracili nadzieję na poprawę swojej

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 06c4c12585

sytuacji, a członkowie klasy średniej boją się „zdeklasowania”, czyli tego, że ich dzieciom będzie się żyło gorzej niż im. Arogancki styl samozwańczego prezydenta-Jowisza nie pomaga. – On gada coś o samochodach elektrycznych i rezygnacji z diesla. A większość ludzi tu nie stać na bilet na autobus – dodaje Chevauche. Dlatego miejscowe „żółte kamizelki” nie pojechały protestować w Paryżu. Nie miały jak. Zamiast tego blokowały pobliską autostradę i kilka skrzyżowań w mieście.

A takich miejsc jak Amiens jest we Francji wiele. Jak twierdzi dziennik „Le Monde”, protestują przede wszystkim prowincja i przedmieścia. Mieszkańcy szeregowców w gminach na obrzeżach miast zależni od samochodu, by dojechać do pracy. Tkwiących po uszy w kredytach. Jak Bruno, który ponad 30 lat temu kupił swój dom w podparyskim Yvelines-Sud. „Podmiejskie pociągi są ciągle opóźnione. Gdy kupowaliśmy nasz dom w latach 80., obiecywano nam dobrobyt i wygodne życie. Teraz z trójką dzieci potrzebujemy dwóch samochodów, by się poruszać, a nasz dom traci stale na wartości. Ciągle nakładają na nas kolejne podatki, a pensje nie rosną. To my jesteśmy klasą średnią i to na naszych plecach tam, w Paryżu, realizują swoje ekologiczne fantazje” – mówi w rozmowie z „Le Monde”. Zatankowanie obu wozów kosztuje go od 200 do 250 euro miesięcznie. Jean-Pierre, mieszkaniec podparyskiego Seine-et-Marne, od trzech lat usiłuje sprzedać swój dom. Ale nikt go nie chce kupić. Niegdyś spokojna sypialnia dla pracowników paryskich korporacji została przejęta przez imigrantów i gangi narkotykowe. „Mam dosyć. Z trudem wiążę koniec z końcem, a przecież pracuję” – podkreśla. Bruno od trzech lat nie był na wakacjach. Śledzi wzrokiem samolot przecinający niebo. „O, patrzcie, paryżanie lecą na Teneryfę”.

Według socjologa Jeana Viarda 80 proc. Francuzów dojeżdża do pracy samochodem. Połowa z nich dlatego, bo nie ma innych środków transportu. Spędzają w nich nawet do czterech godzin dziennie. „Ci ludzie są zmęczeni. To nie jest życie – zaznacza poseł Republikanów Jean-Louis Thiériot, burmistrz Beauvoir w departamencie Oise. – Muszę ostro walczyć, by zachować w gminie urząd pocztowy, szkołę czy posterunek żandarmerii. To za co my płacimy te podatki?” – pyta. „Mamy ogromne poczucie porażki. Życiowej porażki. A oni tam, w Paryżu, nam jeszcze dokopują” – wtóruje mu Bruno. Tak jak rzecznik rządu Benjamin Griveaux, który pogardliwie wyrażał się „o tych Francuzach, którzy palą papierosy i tankują diesel”.

> Rządzący mówią nam, że jesteśmy debilami. Faszystami. Niech uważają. Wcześniej byliśmy sami, zdesperowani. Teraz jesteśmy zjednoczeni i gotowi na wszystko – ostrzega Patrick, „żółta kamizelka” z podparyskiego Noisy-le-Grand

Wydaje się, że ogromna przepaść dzieli polityków prezydenckiej partii La République en Marche, rekrutujących się w większości spośród mieszkańców stolicy, od „banlieusards” zamieszkujących podmiejskie skupiska, regiony wiejskie i małe miasteczka. Tak w każdym razie uważają „żółte kamizelki”. Mówią: „My tu, a oni tam w Paryżu. Nie rozumieją nas”. Nie rozumieją lęku przed przyszłością, przed malejącą siłą nabywczą, która tak naprawdę, a nie akcyza na paliwa, jest głównym powodem protestów. Emerytury od 2012 r. wzrosły zaledwie o 0,6 proc., a Francja jest jednocześnie, według OBWE, najbardziej opodatkowanym krajem świata. Dochody podatkowe sięgnęły w 2017 r. aż 46,2 proc. PKB. To więcej niż w Danii. A gdy Macron doszedł do władzy, obiecywał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by zmniejszyć obciążenie fiskalne, a jednocześnie zwiększyć siłę nabywczą Francuzów. Liberalne reformy w połączeniu z dbałością o sprawy socjalne. W tym celu powstał m.in. pakt walki z biedą. Kilka drobnych wyrzeczeń, by potem zbierać owoce reform.

Sposób, w jaki były komunikowane reformy, i osobisty styl prezydenta jednak nadwerężyły cierpliwość Francuzów. Macron wprost oskarżył ich o to, że są niechętni zmianom, nazwał ich „leniami”, polecił spotkanym na ulicy emerytom, by się cieszyli, bo kiedyś ludzie umierali przed emeryturą, a oni wciąż żyją, stwierdził też, że „na dworcach widzi się ludzi, którym się udało, oraz tych, którzy są nikim”. Spotkanemu na ulicy mężczyźnie polecił ponadto, by dobrze pracował, wtedy też „go będzie stać na taki drogi garnitur”. Na dodatek Macron rozpoczął swoje reformy od likwidacji podatku od nabytego majątku (ISF), zmniejszając obciążenie podatkowe najbogatszych Francuzów. Jednocześnie zmniejszył choćby zasiłek mieszkaniowy, zabierając najuboższym kilka euro miesięcznie, mówiąc, że to przecież grosze. – Można powiedzieć, że skupiając się przede wszystkim na rozkręcaniu wzrostu gospodarczego, odciął się nieco od bazy. Od pracowników i biednych, bo to od nich wymaga przede wszystkim wyrzeczeń. Intencje są dobre, ale metoda jest kontrowersyjna – tłumaczy w rozmowie z „Sieci” Laurent Somon, prezydent departamentu Somme. Według niego prezydent nie przeszedł zwyczajowej ścieżki politycznej – od dołu do góry. – Nigdy nie był radnym albo choćby posłem. Jest więc odcięty od rzeczywistości. Nie rozumie problemów i zmartwień ludzi – podkreśla Somon. Jest też drugi powód problemów Macrona. To, że jego partia, stworzona z niczego, nie ma przedstawicieli na poziomie lokalnym. – Kogoś, kto by tu, w regionach i departamentach, tłumaczył ludziom te zmiany. Prezydencka partia u nas nie istnieje i tak jest na większości terytorium – wyjaśnia polityk.

eprasa.pl 06c4c12585

BRUNATNE KOSZULE

Prezydentowi Francji udało się skutecznie rozbić francuską scenę polityczną. Logika była prosta: zlikwidować centrum, by stać się jedyną siłą mogącą postawić tamę skrajnościom, po lewej i prawej stronie, i zapewnić sobie reelekcję. Licząc na to, że Francuzi zawsze postawią na mniejsze zło. Gdy wybuchły protesty „żółtych kamizelek", został więc sam z ekstremami, które zjednoczyły się przeciwko niemu. U socjalistów i centroprawicowców, którym odebrał wyborców, nie ma co szukać pomocy. A prowadzenie polityki ponad podziałami i dla lewicy, i dla prawicy okazało się trudne. Lewica widzi w nim prezydenta bogatych, a prawica produkt marketingowy o globalistycznej manii wielkości. Zadowolony nie jest nikt. Tym bardziej że nowa partia, która miała się opierać na systemie oddolnej demokracji, stała się tylko instrumentem osobistej władzy Macrona. To – jak mówi w rozmowie z „Sieci" dyrektor ośrodka badania opinii publicznej Kantar Public Emmanuel Rivière – wypchnęło ludzi na ulice.

Rząd jeszcze pogorszył sytuację, nazywając, ustami ministra ds. wydatków publicznych Géralda Darmanina, protestujących „brunatną dżumą". Próba dyskredytacji oddolnego ruchu, niepodpiętego pod żadną partię, tylko zwiększył wściekłość „żółtych kamizelek". „Rządzący mówią nam, że jesteśmy debilami. Faszystami. Niech uważają. Wcześniej byliśmy sami, zdesperowani. Teraz jesteśmy zjednoczeni i gotowi na wszystko. Wszyscy razem! To my, ci ludzie z domków na przedmieściach. Jesteśmy zgorzkniali" – mówił we francuskiej telewizji publicznej Patrick, „żółta kamizelka" z podparyskiego Noisy-le-Grand.

„Francja zgorzkniała" to tytuł badania przeprowadzonego niedawno przez dyrektora działu badań opinii w instytucie CSA Yvesa-Marie Canna. Wynika z niego, że to właśnie francuska klasa średnia głosuje na Zgromadzenie Narodowe i jego szefową Marine Le Pen oraz na skrajnie lewicowy ruch Les Insoumises Jeana-Luca Mélenchona. I to nie od dziś. „Frustracja narastała powoli na przestrzeni ostatnich lat. Wielu przedstawicieli klasy średniej głosowało też na Macrona w 2017 r., a teraz czuje się zdradzona. Uważają się za ludzi, którzy są zbyt bogaci, by móc korzystać z pomocy państwa, a jednocześnie zbyt biedni, by dobrze żyć" – twierdzi Cann. Według niego Le Pen zebrała najwięcej głosów w regionach leżących 30 km od centrów dużych miast. A dziś ziemię pod zabudowę można znaleźć już tylko tam, gdzie nie ma dobrych połączeń drogowych ani transportu publicznego. Domki wyrastają na polach kukurydzy bez żadnego połączenia ze światem zewnętrznym. Wysokie ceny nieruchomości w miastach i opłakany stan bliskich przedmieść, gdzie płoną samochody, wypędzają ludzi na dalekie peryferie.

> Prezydent gada coś o samochodach elektrycznych i rezygnacji z diesla. A większość ludzi tu nie stać na bilet na autobus – mówi wicenaczelny lokalnej gazety w Amiens

Patrząc na „żółte kamizelki", widać Francję białą, młodą i w średnim wieku. Tę Francję, która wcześnie wstaje i idzie do pracy. Rzemieślników, emerytów, pracowników firm, urzędników. Ale rozczarowani są także Francuzi z imigracji pierwszego pokolenia. Hassan, który w latach 70. przybył do Paryża z Algierii, marzył o lepszym życiu. Chciał się dorobić. Dziś jeździ taksówką i oszukuje na podatkach. „Mam taksówkę, małe mieszkanie i garaż. Za wszystko płacę podatki. Garaż to 120 euro miesięcznie. Nie stać mnie na to, więc proszę klientów, by płacili gotówką. W ten sposób udaje mi się ukryć choć część dochodów przed fiskusem. Inaczej nie dałbym rady. Nie tak to sobie wyobrażałem. Miałem wielkie marzenia i ciężko pracowałem, ale niczego się nie dorobiłem. To państwo nie jest przyjazne ludziom" – dodaje.

NOWY MAJ '68?

Prezydent Francji usiłuje załagodzić sytuację. Zawiesił podwyżkę akcyzy na paliwa, która wywołała protesty, na cały 2019 r. Obiecał też, że ceny gazu, prądu, centralnie sterowane przez rząd, nie wzrosną tej zimy. Dla budżetu państwa to łącznie koszt 2 mld euro w skali roku. Podwyżka płacy minimalnej o 3 proc. to dodatkowy prezent, który tak naprawdę nim nie jest, bo SMIC i tak miał wzrosnąć automatycznie 1 stycznia, zwiększony o poziom inflacji. Upokarzającą dla państwa decyzję obywatelom przekazał premier Édouard Philippe, którego stanowisko wisi na włosku. Bo jeśli protesty nie ustaną, a wszystko na to wskazuje, polecą głowy. Premiera i ministrów. Bo trudno oczekiwać po Macronie, by złożył dymisję wzorem generała de Gaulle'a z 1968 r. To nie tego pokroju polityk.

A właśnie tego domagają się „żółte kamizelki". „Macron, złóż dymisję!" – to najczęściej spotykane hasło na ich transparentach. Nie pomogła też zmiana stylu na mniej arogancki i zapewnienia premiera, że protestujący Francuzi „kochają swój kraj". „Żółte kamizelki" są przekonane, że prezydent i rząd biorą ich na przeczekanie, a potem „i tak nic się nie zmieni, będzie po staremu, a nawet gorzej". Niektórzy publicyści nad Sekwaną mówią już nawet o „maju '68 klasy średniej". Czyli – ta sprawa nie rozejdzie się po kościach. Do „żółtych kamizelek" dołączyli ostatnio licealiści oraz rolnicy. A 72 proc. obywateli, mimo brutalnych zamieszek, do których doszło na Polach Elizejskich, wciąż popiera demonstrantów. Popularność Macrona oscyluje obecnie w okolicach 25 proc. Nietrudno sobie więc wyobrazić, kto wyjdzie z tego starcia przegrany. – Ludzie nie wierzą już politykom. Macron dostał ogromną szansę, gdy w maju 2017 r. pokonał Le Pen. Ale tę szansę zmarnował. Drugiej nie będzie – przekonuje Laurent Somon.

eprasa.pl 06c4c12585



Strzały pod Kerczem

Nawet jeśli Ukraińcy celowo naruszyli ogłoszone przez Rosjan zasady poruszania się w Cieśninie Kerczeńskiej, to i tak nikt na świecie nie uzna, aby dało to Rosjanom prawo do jednostronnego ataku zbrojnego



JAN ROKITA

To, że w pobliżu Cieśniny Kerczeńskiej dojdzie w końcu do incydentu zbrojnego, było tylko kwestią czasu. A co bardziej wnikliwi analitycy (także polscy – np. Marek Budzisz) pisali o tym nie od dziś. Prowokuje to sama sytuacja, jaka powstała na skutek aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. Jest to bowiem jeden z tych kilku wrażliwych punktów na mapie świata, w którym dwa zwaśnione państwa nie uznają nawzajem swoich praw do wód morskich i toczą w związku z tym trudno rozstrzygalny spór. A na dodatek w samym centrum ich kłótni znajduje się wąska Cieśnina Kerczeńska, która stanowi jedyne okno na świat dla dwóch ważnych – gospodarczo i militarnie – portów ukraińskich w Bierdiańsku oraz Mariupolu, położonych nad maleńkim Morzem Azowskim. O ile do aneksji Krymu przez cieśninę tę biegła granica ukraińsko-rosyjska, o tyle obecnie ów wąski przesmyk, mający gdzieniegdzie ledwie 4 km szerokości, stał się de facto częścią terytorialnych wód rosyjskich. A między Kijowem i Moskwą sporna jest także kwestia rozdziału wpływów na samym Morzu Azowskim. O ile Rosjanie stoją bowiem na stanowisku, że jest to „śródlądowe" morze, które zgodnie z umową z 2003 r. mogą użytkować pospołu oba kraje, o tyle Ukraińcy chcieliby wytyczyć na jego wodach wyraźne granice własnego państwa, a sam akwen traktować jako wody otwarte, na które mieliby ochotę „zaprosić" flotę wojenną NATO. Po incydencie zbrojnym 25 listopada prezydent Petro Poroszenko otwarcie wystąpił z takim apelem do zachodniego sojuszu. Patrząc na mapę, trudno się dziwić, że Moskwa traktuje takie próby jako „akt agresji". A co na ten temat myślą na Zachodzie, bodaj najlepiej świadczy komentarz kanclerz Angeli Merkel, która publicznie odpowiadając Poroszence, poradziła mu, że „Ukraina winna postępować mądrze".

UKRAIŃSKA ESKADRA

To, co jest pewne, to fakt, że w Kijowie postanowiono uzupełnić potencjał ukraińskiej floty wojennej na Morzu Azowskim, wysyłając z czarnomorskiego portu w Odessie do portu w Mariupolu trzy nieduże okręty: dwa nowoczesne opancerzone kutry artyleryjskie o nazwach „Bierdiańsk" oraz „Nikopol", a także towarzyszący im stary holownik „Jany Kapu". Nim jednak zdążyły się one zbliżyć do samego przesmyku, rankiem 25 listopada podpłynęły do nich cztery okręty rosyjskiej Straży Przybrzeżnej (należącej w Rosji do Federalnej Służby Bezpieczeństwa FSB), do których dołączyły następnie jednostki rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Jeden z rosyjskich patrolowców o nazwie „Don" wziął kurs na ukraiński holownik,

eprasa.pl 06c4c12585



Most nad Cieśniną Kerczeńską łączy Półwysep Krymski z Półwyspem Tamańskim

Fot. Shutterstock

doprowadzając do celowego zderzenia okrętów (świetnie pokazuje ten fragment incydentu ukraiński filmik na YouTubie). Ale mała eskadra ukraińska nie zatrzymała się, płynąc dalej w stronę cieśniny i planując najwyraźniej przepłynięcie pod otwartym w maju 2018 r. przez prezydenta Putina nowym mostem kerczeńskim. Rosyjską reakcją było najpierw ogłoszenie zamknięcia cieśniny z powodu rzekomego zderzenia Ukraińców z rosyjskim tankowcem, a następnie fizyczne zablokowanie ruchu poprzez ustawienie tankowca w poprzek wód przesmyku.

Kiedy i ta akcja nie zahamowała kursu ukraińskiej eskadry, po południu (minęło już prawie sześć godzin) pojawiły się rosyjskie samoloty szturmowe i śmigłowiec zakłócające systemy naprowadzania ukraińskich pocisków, a także kolejne jednostki rosyjskiej FSB i armii. Krótko potem Rosjanie rozpoczęli ostrzał okrętów ukraińskich, chcąc zmusić je do zatrzymania. Ostrzelany został kuter „Bierdiańsk", holownik „Jany Kapu" abordażowano zaś z pokładu patrolowca „Don". Trzeci okręt marynarka rosyjska zmusiła do wpłynięcia do rosyjskiego (od czasu zajęcia Krymu) portu w Kerczu. W tym porcie ukraińskie okręty zostały aresztowane, a marynarzy osadzono w słynnym moskiewskim więzieniu na Lefortowie. Kilkoro rannych Ukraińców znalazło się w więziennym szpitalu.

Tyle fakty bezsporne. Kilka istotnych szczegółów incydentu nadal pozostaje niejasnych. Po pierwsze to, czy ukraińska eskadra istotnie naruszyła rosyjskie wody terytorialne. Komentując zdarzenie, szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow argumentował, że okręty przekroczyły nie tylko krymską linię wód terytorialnych, lecz również 12-milowy pas rosyjskich wód terytorialnych sprzed wojny 2014 r. Ta teza wygląda jednak na mocno wątpliwą z dwóch powodów. Po pierwsze, jak wynika jasno także z upublicznionego sprawozdania rosyjskiej FSB, Ukraińcy płynęli bliżej zachodniego wybrzeża, a więc w pobliżu spornego Krymu, nie zaś stałego brzegu rosyjskiego znajdującego się po stronie wschodniej. Po drugie, w owym rosyjskim sprawozdaniu nie wskazano punktu, w którym rankiem 25 listopada Straż Przybrzeżna chciała po raz pierwszy zablokować drogę okrętom ukraińskim. Oczywiście Kijów broni tezy, że wszystko działo się na morskich wodach otwartych, a więc Rosjanie dopuścili się drastycznego złamania międzynarodowego prawa o morzu otwartym, które musi być dostępne dla wszystkich, bez wyjątku.

Druga istotna dla oceny incydentu kwestia, która pozostaje niejasna, to powiadomienie kapitanatu portu w Kerczu o planowanym przepływie przez cieśninę ukraińskiej eskadry. Tym razem ukraińska wersja zdarzeń nie jest całkiem wiarogodna, gdyż choć Kijów twierdzi obecnie, że przepisane prawem powiadomienie zostało wysłane, nie przedstawia publicznie żadnego dowodu owego zgłoszenia. Z kolei Rosjanie twierdzą, że port w Kerczu nie tylko nie został powiadomiony, lecz roszczą sobie także pretensje do tego, aby dla bezpieczeństwa w cieśninie rosyjski kapitanat w Kerczu mógł władczo zarządzać ruchem w cieśninie. Skoro więc z portu w Kerczu przyszła decyzja o zamknięciu cieśniny, Ukraińcy mieli obowiązek się temu podporządkować. Tyle tylko, że jak dobrze wiadomo, Kijów traktuje położony na Krymie Kercz jako część swojego terytorium i uważa, że rosyjscy okupanci nie mają prawa do rządzenia się w cieśninie. Logika wskazywałaby więc raczej na to, że w tym istotnym szczególe Rosjanie mogą przynajmniej po części mówić prawdę.

SPÓR O MORZE AZOWSKIE

W całym incydencie kluczową rzeczą jest to, że okręty ukraińskie, które przynajmniej w pierwszej, porannej fazie incydentu miały wojskową przewagę nad Rosjanami, nie otworzyły do nich ognia.

eprasa.pl 06c4c12585

I to mimo że nowoczesne kutry artyleryjskie typu Giurza-M wyposażone są w 30-milimetrowe działa. Ukraińcy nie zareagowali użyciem siły nawet po tym, jak sami zostali ostrzelani. Widać w tym wyraźną różnicę politycznego podejścia Moskwy i Kijowa do wzajemnego konfliktu morskiego. Moskwa uznaje Krym za część swojego terytorium i egzekwuje z tego tytułu własne prawa jako suweren na swych nowych wodach terytorialnych, zwłaszcza w obecnie wewnątrzrosyjskiej Cieśninie Kerczeńskiej. I nie ukrywa tego, że w razie gwałcenia tych praw, które sama sobie przyznała w roku 2014, dla ich obrony będzie używać także siły zbrojnej. Prezydent Putin dość buńczucznie oświadczył nawet, że rosyjska Straż Przybrzeżna „musiałaby ponieść konsekwencje, gdyby nie zareagowała tak, jak zareagowała".

Z kolei Kijów dąży do wywoływania na tych wodach takich sytuacji, które przypominałyby całemu światu, że Ukraina jest obiektem nieustannej agresji, a więc w imię sprawiedliwości winna być mocniej wspierana politycznie i militarnie przez Zachód. Od czasu do czasu Ukraińcy podejmują więc akcje pokazujące Rosjanom, że po prostu nie uznają ich panowania ani nad Krymem ani nad okalającymi go wodami, po czym obserwują, jak wobec takiej sytuacji zachowa się Moskwa. Teraz po raz pierwszy Moskwa zareagowała zbrojnie, więc prezydent Poroszenko wykorzystał okazję, aby udramatyzować sytuację, ogłosić na Ukrainie stan wojenny, a także wygłosić dramatyczne apele najpierw do Donalda Trumpa (w telewizji NBC), a potem do Angeli Merkel (na łamach „Bilda") o ratowanie jego kraju przez wysłanie wojsk NATO w rejon konfliktu, a najlepiej na samo Morze Azowskie. Taka akcja byłaby oczywistym stanięciem przez Zachód z całą mocą po stronie ukraińskiej tezy o międzynarodowym i otwartym charakterze wód tego maleńkiego morza. Trudno odmówić celności ironicznej uwadze Ławrowa, że „Ukraina robi wszystko po to, aby Zachód o niej zapomniał".

Warto pamiętać, że spór o prawny charakter Morza Azowskiego znajduje się w tle tego konfliktu. W marcu 2018 r. wielką złość na Kremlu wywołało zajęcie przez ukraińską Służbę Graniczną DPSU rosyjskiego statku rybackiego „Nord" na Morzu Azowskim i odprowadzenie go siłą do portu w Berdiańsku. Ukraińcy aresztowali także znajdujących się na nim rybaków, oskarżając ich o „nielegalny wjazd na tymczasowo okupowane terytorium Ukrainy w celu zaszkodzenia interesom państwa". Rybacy z Krymu uwolnieni zostali dopiero po pół roku, w październiku, i to w ramach wymiany za przetrzymywanych w Rosji Ukraińców. Rosyjskiego kapitana „Norda" zaś ukraińska prokuratura postawiła w stan oskarżenia i uwolniła dopiero za kaucją. Rosjanie uznali to za „akt piractwa ze strony władz banderowskich" (tak mówił wtedy rosyjski oficer i szef Panrosyjskiego Ruchu na rzecz Floty Michaił Nienaszew na łamach portalu Sputnik). A z Moskwy popłynęły już wtedy sygnały, że w odwecie Rosja może utrudnić ruch w Cieśninie Kerczeńskiej, tak by porty w Mariupolu i Berdiańsku dotkliwie odczuły ekonomiczne konsekwencje.

> Od czasu do czasu Ukraińcy podejmują akcje pokazujące Rosjanom, że nie uznają ich panowania ani nad Krymem, ani nad okalającymi go wodami

Kiedy niedługo potem, w kwietniu 2018 r., DPSU aresztowała kolejny rosyjski statek, tym razem pod pretekstem nielegalnego przewozu piasku wydobytego w krymskiej Zatoce Karkinickiej po zachodniej stronie półwyspu i odholowała go do czarnomorskiego portu w Jużnem, Rosjanie zdecydowali się na odwet w formie dokuczliwego utrudniania ruchu handlowego przez Cieśninę Kerczeńską. Tylko w drugiej połowie sierpnia 2018 r. zatrzymano w ten sposób u wrót przesmyku co najmniej 16 jednostek (w tym np. statki tureckie) płynących do albo z ukraińskich portów nad Morzem Azowskim. Eskalacja retorsji była obustronna, gdyż wkrótce Kijów znalazł pretekst dla aresztowania na trzy lata w porcie w Chersoniu dużego rosyjskiego chemikaliowca „Mechanik Pogodin", ponieważ jego armator – firma W.F. Tanker – objęty został krymskimi sankcjami wprowadzonymi przez Ukrainę, a załoga ponoć nie zgodziła się na inspekcję techniczną statku. Wszystkie te zdarzenia odbyły się jednak bez incydentów zbrojnych. I, rzecz jasna, wszystkie one w tle miały spór o prawny status Morza Azowskiego z jednej strony, z drugiej zaś – spór o suwerenność nad Krymem i otaczającymi go wodami.

PRZESADNA REAKCJA

Jak widać, spór nosi już charakter przewlekły i nic nie zwiastuje rychłego jego końca. Całkiem zresztą podobnie jak w przypadku pozycyjnej wojny lądowej trwającej już piąty rok w Donbasie. Ale wbrew dramatycznym ostrzeżeniom i krokom podejmowanym przez Poroszenkę nic w politycznych realiach nie wskazuje na rosyjską intencję rozszerzania konfliktu zbrojnego, przynajmniej w najbliższym czasie. Reakcja Poroszenki traktowana jest jako przesadna nie tylko na Zachodzie, lecz zwłaszcza w Unii Europejskiej, która przez trzy dni uzgadniała treść swojego stanowiska wobec incydentu, a w końcu (jak wynika z przecieków ujawnionych przez dziennik „Die Welt") na skutek sprzeciwu Berlina i Paryża nie zdecydowała się na wspomnienie o nowych sankcjach przeciw Rosji. Ale – co ciekawe – reakcja prezydenta wzbudziła także dość ograniczone zaufanie w ukraińskiej Radzie Najwyższej, która 26 listopada, po ostrej parlamentarnej awanturze, ograniczyła wprowadzony dzień wcześniej przez Poroszenkę stan wojenny jedynie do 10 południowo-wschodnich województw Ukrainy oraz na czas tylko 30 dni. Tymczasem dekret Poroszenki przewidywał stan wojenny na terenie całego państwa na czas 60 dni.

Zwłaszcza ta ostatnia kwestia wzbudziła nieufność posłów, gdyż obawiano

eprasa.pl 06c4c12585

się pokusy odłożenia przez Poroszenkę wyborów prezydenckich, w których obecna głowa państwa zajmuje w sondażach na razie słabe trzecie miejsce. Parlament nie tylko zatem ograniczył mocno zakres dekretu prezydenta, lecz również, dla całkowitej pewności, niezwłocznie uchwalił, że wybory prezydenckie odbędą się 31 marca 2019 r. Także w raporcie kompetentnego i bezstronnego polskiego rządowego Ośrodka Studiów Wschodnich można przeczytać, że reakcja Poroszenki była „zaskakująca i nieadekwatna".

W zasadzie jedyną realną retorsją, jaka spotkała dotąd Rosjan za użycie broni przeciw okrętom ukraińskim, było zerwanie przez prezydenta Trumpa spotkania z Putinem zaplanowanego w Buenos Aires przy okazji szczytu Grupy G-20. Wcześniej prezydent USA w swoim stylu zapowiedział: „W ogóle nie podoba mi się ta agresja, więc możliwe, że nie będę się z nim spotykać". A samo spotkanie ostatecznie odwołał tweetem z pokładu samolotu lecącego już do Buenos. Wyraźne stało się przy tej okazji upokorzenie rosyjskiego prezydenta, który do końca zabiegał o rozmowę, a potem w Buenos tłumaczył dziennikarzom, że udało mu się choć w przejściu zamienić z Trumpem kilka zdań, by przedstawić rosyjską wersję incydentu w cieśninie. Prezydent USA jednak pozostał na razie przy swoim.

Słabość Rosjan polega przede wszystkim na tym, że nijak nie są oni w stanie wytłumaczyć światu ostrzeliwania obcych okrętów usiłujących przepłynąć przez cieśninę, która stanowi jedyną drogę morską łączącą morza Czarne i Azowskie. Gdyby nawet bowiem przyjąć rosyjski punkt widzenia, że Cieśnina Kerczeńska jest dziś przesmykiem wewnątrzrosyjskim, to i tak międzynarodowe prawo morza (konwencja z 1982 r.) wymaga zagwarantowania tzw. prawa swobodnego przepływu, które jest fundamentalną regułą mającą swe źródło w idei otwartych mórz. W podobnej sytuacji prawnej znajdują się przykładowo takie szlaki morskie jak Bosfor (wewnątrz terytorium Turcji) albo Cieśnina Messyńska (oddzielająca Kalabrię od Sycylii). Ale ani Turkom, ani Włochom nie przychodzi do głowy ostrzeliwanie obcych okrętów, które chciałyby skorzystać z prawa przepływu. Dlatego nawet jeśli Ukraińcy celowo naruszyli ogłoszone przez Rosjan zasady poruszania się w cieśninie, to i tak nikt na świecie nie uzna, aby dało to Rosjanom prawo do jednostronnego ataku zbrojnego. Obrona wolności pływania przez Cieśninę Kerczeńską łączy dziś Ukrainę z Ameryką, Europą, a nawet Turcją. W tym sensie Moskwa po raz kolejny przegrała spór z Kijowem na arenie międzynarodowej. I choć na krótką metę nie spotkają jej z tego tytułu żadne poważne retorsje, to już niedługo zapewne się okaże, że dyplomacja kanonierek była dla Rosji politycznie całkiem nieopłacalna.

AUTOPROMOCJA



eprasa.pl 06c4c12585

Państwo teoretyczne – grzechy KNF

Agenci CBA zatrzymali w czwartek byłego szefa Komisji Nadzoru Finansowego Andrzeja J. oraz sześciu podległych mu urzędników, w tym jego zastępcę Wojciecha K. Zatrzymanie dotyczy afery SKOK-u Wołomin, która zrodziła się pod nadzorem komisji będącej wówczas przybudówką działaczy PO-PSL



Fot. M. Czutko

eprasa.pl 06c4c12585

Kierowana przez Andrzeja J. komisja od 2012 r. wiedziała o tym, że w SKOK-u Wołomin może działać zorganizowana grupa przestępcza. O agentach WSI, którzy opanowali wołomiński SKOK, a którzy dzisiaj odsiadują wieloletnie wyroki, informowała KNF Kasa Krajowa. Dzisiaj Polska odczuwa skutki „teoretycznego państwa", jakie działało za czasów koalicji PO-PSL.

Kiedy w 2015 r. redakcja portalu wPolityce.pl ujawniała wspólne zdjęcia Mariusza G. i Piotra P. (obaj to prominentni działacze SKOK-u Wołomin) m.in. z Bronisławem Komorowskim czy Dariuszem Rosatim, opinia publiczna wyrażała niedowierzanie. Kiedy konserwatywne media pisały o zaskakującej wręcz zbieżności między interesami polityków PO i ludzi związanych przed laty z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi, temat był negowany lub zbywany milczeniem. Dzisiaj aresztowanie byłego szefa KNF Andrzeja J., jego zastępcy Wojciecha K. oraz pięciu innych urzędników zamieszanych w aferę SKOK-u Wołomin pokazuje, że Polska kierowana przez Donalda Tuska i Ewę Kopacz naprawdę znalazła się na krawędzi upadku oraz została opleciona siecią powiązań i układów, w której brylowali byli agenci.

TAJEMNICZA KARIERA ANDRZEJA J.

Andrzej J. to człowiek promowany przez ludzi Platformy Obywatelskiej i będący w bliskich kontaktach ze strukturami partii. Swoją karierę zaczynał jeszcze w czasach Polski Ludowej. Praca byłego szefa KNF w czasach PRL rozpoczęła się wzorcowo. Po ukończeniu studiów na wydziale Prawa i Administracji UW w 1982 r. natychmiast trafił do Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej, gdzie spędził dziewięć lat. Jak młody absolwent prawa zdobył ciepłą posadę w ministerstwie? Andrzej J. zapytany przez senatora Jana Marię Jackowskiego o treść oświadczenia lustracyjnego stwierdził tylko: „Nikt nie podniósł, że jestem kłamcą lustracyjnym". Skąd taka enigmatyczność odpowiedzi urzędnika na pytanie senatora? To kwestia otwarta.

Z ministerstwa J. przechodzi do NBP, gdzie odpowiada za rozwiązywanie problemów banków będących w trudnej sytuacji. Od lutego 1995 r. do roku 2001, a zatem za czasów J. w NBP, upadło pięć banków komercyjnych i 89 banków spółdzielczych, zmuszając Bankowy Fundusz Gwarancyjny do wypłaty ponad 814 mln zł gwarancji. Dodając do tych danych wypłaty z tytułu SKOK-u Wołomin, należy podać w wątpliwość całokształt dokonań J. na polskim rynku finansowym. Trafniej pasuje tu raczej określenie „upadłość" oraz „obciążenie" konsumentów kosztami wypłacanych przez BFG odszkodowań.

CIEMNE SPRAWKI PUPILKA PO

Z NBP Andrzej J. trafia do warszawskiego ratusza. Jest zastępcą Hanny Gronkiewicz-Waltz. Daje pokaz swoich możliwości i wsławia się brutalną pacyfikacją warszawskich kupców z Kupieckich Domów Towarowych w 2009 r.

Swoje możliwości pokazuje też później, już w Komisji Nadzoru Finansowego. Lekceważy problemy zadłużonych we frankach, nie robi nic w sprawie polisolokat, ignoruje niepokojące sygnały dochodzące ze spółdzielczego SK Banku, który wkrótce upada z hukiem, wciągając w poważne problemy Narodowy Bank Polski.

SK Bank otrzymał wielki kredyt z NBP. Kiedy sprawę ujawniono, wielu komentatorów było zszokowanych taką formą pomocy instytucji, której pomóc już się nie dało. Pytali, czy nie chodziło przypadkiem o spokój społeczny i dobre samopoczucie bonzów Platformy Obywatelskiej w trakcie rozgrywającego się wówczas finiszu kampanii wyborczej. Przewodniczący KNF nie dołożył należytej staranności, aby w opiniach przekazanych w sierpniu 2015 r. do NBP i Ministerstwa Finansów, dotyczących wypłacalności SBRzR w Wołominie, zawrzeć wszystkie informacje istotne dla oceny sytuacji ekonomiczno-finansowej Banku – pisze NIK, analizująca działania KNF w związku z SK Bankiem, który upadając, spowodował straty szacowane na ponad 1,5 mld zł.

MILIONOWY DŁUG BANKOWEGO NADZORCY

W 2009 r. J. był najlepiej zarabiającym wiceprezydentem. Kiedy majątek jego szefowej rósł o 400 tys. zł w ciągu roku, do portfela J. wpadło ponad 370 tys. zł. Te kwoty uzupełniają pieniądze z rad nadzorczych Metra Warszawskiego i Agencji Inwestycyjnej Corp SA oraz wcześniejsze zarobki w NBP.

Ale J. potrzebuje pieniędzy. Już w 2011 r., przed objęciem stanowiska w KNF, ma – wspólnie z pracującą w NBP żoną – ponad 1,2 mln zł długu i zaledwie niecałe 10 tys. zł oszczędności. Człowiek zobowiązany do zapłacenia bankom ponad 1 mln zł odpowiada za nadzór nad tymi samymi bankami. To powinno wzbudzić poważne wątpliwości i podważyć zaufanie do niego. Nie podważa. Uwadze uchodzi także przejście J. do mBanku tuż po zakończeniu kariery w KNF. Urzędnik kontrolujący banki, znający mechanizmy tej kontroli i zadłużony wobec instytucji znajduje pracę w jednej z nich.

J. ŚCIĄGA ZASTĘPCĘ

Przez pierwsze lata po objęciu nowego stanowiska o szefie KNF słychać niewiele. Ściąga do komisji Wojciecha K., którego żona pełniła funkcję członka zarządu spółki związanej z jednym z największych polskich banków. O duecie Andrzej J.–Wojciech K. nie słychać zbyt wiele aż do 2012 r., kiedy Komisja Nadzoru Finansowego zyskuje możliwość sprawowania nadzoru nad SKOK-ami. Spółdzielcze kasy trafiają bezpośrednio do pionu kontrolowanego przez K.

Andrzej J. nagle zaczyna istnieć w mediach. Udziela wywiadów, krzyczy, szafuje decyzjami i usiłuje zacisnąć pętlę na szyi konkurencji dla sektora bankowego. Wchodzi w jawny konflikt z Kasą Krajową i staje przed parlamentem, gdzie zamiast zdać przed posłami oraz senatorami

eprasa.pl 06c4c12585

sprawozdania z działalności komisji, przeistacza się w oskarżyciela spółdzielczych kas. Jednak SKOK Wołomin zbywa milczeniem. O roli agentów WSI w kierowaniu wołomińską spółdzielczą kasą piszą konserwatywne media, informuje o tym Kasa Krajowa, przekazując KNF swoje podejrzenia. Jednak ani J., ani jego zastępca nie podejmują realnych działań. Czekają. Na co?

K. NARAŻA SIĘ MAFII?

O SKOK-u Wołomin nie można dłużej milczeć, kiedy w 2014 r. Wojciech K. zostaje pobity przed własnym domem. Organy ścigania i prokuratura szybko ustalają, że stoją za tym ludzie związani ze SKOK-iem Wołomin. Wokół tej sprawy pojawiało się w mediach wiele niejasności i pytań. Także o to, jakie dokumenty miał przy sobie K. po opuszczeniu budynku KNF i na jakiej podstawie wynosił je z siedziby Komisji.

Dziś K. kreowany jest na męczennika. Pobity, a następnie – wraz z Andrzejem J. i pięcioma innymi urzędnikami – zatrzymany za pracę w KNF. Człowiek, który cierpiał w związku ze SKOK-iem Wołomin, dziś miałby za ten SKOK odpowiadać? Ale lewicowe media pomijają to, że od 2012 r. do czasu pobicia K. nie zajął zdecydowanego stanowiska w sprawie wołomińskiego SKOK-u. Mając – już w 2012 r. – pochodzące z Kasy Krajowej informacje o możliwych powiązaniach przestępczych tej instytucji, przez prawie dwa lata zwlekał z ich weryfikacją i podjęciem leżących w gestii KNF działań. Działań, które być może ukróciłyby przestępczy proceder znacznie wcześniej i nie naraziły Polaków na koszty związane z upadkiem SKOK-u opanowanego przez ludzi WSI. Dziś K. przesłuchuje szczecińska prokuratura. Przesłuchuje również pięciu innymi urzędników, którzy także zajmowali się nadzorem nad SKOK-iem Wołomin.

WSI W AKCJI

Andrzej J. i Wojciech K. głośno mówią o problemach innych spółdzielczych kas. Wydają decyzje doprowadzające kolejne z nich do upadku. Wtórują posłom Platformy, którzy oczerniają SKOK-i. Zapominają przy tym, że to właśnie ludzie PO stali choćby za sprawą fatalnej sytuacji SKOK-u Kopernik, gdzie jednym z działaczy był współpracownik oskarżonej o wyłudzenie pieniędzy z PE, europosłanki Małgorzaty Handzlik. Skwapliwie pomijają także to, że za głośną aferą SKOK-u Wołomin stoją ludzie związaniu z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi i fundacją Pro Civili, których działalność szczegółowo opisuje raport dotyczący likwidacji WSI.

W radzie nadzorczej SKOK-u Wołomin zasiadał m.in. Piotr P., oficer o nienagannym – jak wynika z akt IPN – przebiegu służby. P. był również członkiem Fundacji Pro Civili zrzeszającej byłych pracowników WSI, założonej przy współudziale Manfreda Holletscheka – twórcy pierwszej działającej w Polsce piramidy finansowej. Na kartach raportu Antoniego Macierewicza Pro Civili występuje jako narzędzie do wyłudzania majątku Ministerstwa Obrony Narodowej działające szczególnie aktywnie, kiedy szefem MON był Bronisław Komorowski.

Piotr P., pozujący do zdjęcia z Bronisławem Komorowskim, był również członkiem rady nadzorczej Hydrobudowy Gdańsk. Znalazł się w niej miesiąc przed wygranym przetargiem na budowę bulwarów na lewym brzegu Wisły.

> Już w Komisji Nadzoru Finansowego Andrzej J. lekceważy problemy zadłużonych we frankach, nie robi nic w sprawie polisolokat, ignoruje niepokojące sygnały dochodzące ze spółdzielczego SK Banku, który wkrótce upada z hukiem, wciągając w poważne problemy NBP

HYDROBUDOWA I REPRYWATYZACJA – WOŁOMIN W WARSZAWIE

O tym, że pieniądze Hydrobudowy mogły – jak w przypadku innych biznesów Fundacji Pro Civili – trafić na Cypr, pisał m.in. „Newsweek". „W budowę nadwiślańskich bulwarów w Warszawie zaangażowała się firma, za którą stoją dwaj skazani za przestępstwa oficerowie WSI, bandyta związany z gangiem pruszkowskim, aresztowany szef SKOK-u Wołomin. Firma upada, bulwary szybko nie powstaną. A co z pieniędzmi?" – pytał Wojciech Cieśla, autor materiału.

„Tropy prowadzą na Cypr" – pisał przed laty Cieśla. Dlaczego w 2012 r. władze Warszawy podjęły decyzję o współpracy z firmą związaną z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi? Jak łączy się to z posiadaną przez Andrzeja J., a przekazaną przez Kasę Krajową, wiedzą o SKOK-u Wołomin? Jak łączy się to z Janem L. – człowiekiem, który wraz ze Zbigniewem B. posądzany jest o udział w aferze reprywatyzacyjnej, a zarazem o współpracę ze SKOK-iem Wołomin?

Pytań i koneksji jest wiele. Dowodów na to, że państwo Donalda Tuska, Ewy Kopacz i podlegających im urzędników było tylko państwem teoretycznym – również. Można podejrzewać, że szef Komisji Nadzoru Finansowego, były zastępca Hanny Gronkiewicz-Waltz w urzędzie miasta, nie umiał połączyć faktów i dostrzec powiązań między agentami WSI a SKOK-iem Wołomin. Można podejrzewać, że zadłużony na ponad 1 mln zł urzędnik rzetelnie nadzorował swoich wierzycieli i przypadkowo znalazł pracę w mBanku po zakończeniu kariery w nadzorze. Ale tych przypadków jest zbyt wiele.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 06c4c12585

Małe firmy również mogą się inteligentnie rozwijać

Niewielu przedsiębiorców, zwłaszcza prowadzących małe firmy, stara się inwestować w nowoczesne rozwiązania. Tymczasem Program Operacyjny Inteligentny Rozwój daje szansę na zakup nowoczesnej technologii, ale także na jej stworzenie od podstaw

Program Operacyjny Inteligentny Rozwój to jeden z podstawowych programów, w ramach których rozdzielane są środki z funduszy unijnych dla przedsiębiorców. POIR ma jednak na celu zwiększenie innowacyjności polskich firm, więc jego działania nastawione są na dofinansowanie zarówno zakupu nowych technologii, jak i ich opracowanie od podstaw. I okazuje się, że można z powodzeniem wykorzystywać pieniądze z POIR nawet w branżach, w których – wydawałoby się – wszystko zostało wymyślone.

Firma Zwoltex ze Zduńskiej Woli uznała, że dobrym rozwiązaniem będzie stworzenie ręczników bakteriobójczych. Do współpracy zostali zaproszeni naukowcy m.in. z Instytutu Włókiennictwa w Łodzi i z Politechniki Łódzkiej. Pozwoliło to na stworzenie technologii Bio Active Silver Zwoltex, w której stosuje się aktywne jony srebra, które hamują wzrost i ograniczają rozmnażanie się bakterii, grzybów czy wirusów. Produkcja nowej linii ręczników wymagała zastosowania nowych urządzeń, dlatego w ramach realizacji projektu zakupiono nowoczesny ciąg technologiczny, w tym krosna pneumatyczne, przewijarki przędzy, aparaty do barwienia przędzy oraz tkanin frotte, a także postrzygarki. Zwoltex na badania nad nową technologią uzyskał 7,54 mln zł, czyli ponad 1/3 nakładów wymaganych do stworzenia nowej technologii (wyniosły one 20,66 mln zł).

Ale w ramach POIR dofinansowane są mniejsze projekty. Przykładem może być maszyna do laminowania szkła, skonstruowana na potrzeby firmy EPO Urbański. Tutaj wartość projektu wyniosła 492 tys. zł, a dofinansowanie z UE sięgnęło 320 tys. zł.

W wyniku realizacji projektu powstał prototyp innowacyjnego urządzenia wraz z dokumentacją techniczną, wynikami badań i atestami umożliwiającymi rozpoczęcie produkcji seryjnej. Łączy ono w sobie dwie technologie laminowania szkła: dwuszybową i jednoszybową. Kompaktowa, lekka, podwójnie uchylna konstrukcja daje duży komfort pracy. W maszynie można laminować szkło jednocześnie na dwóch platformach, co znacznie zwiększa wydajność.

Jeszcze mniejsza kwota została zaangażowana w przypadku firmy Ekotechnologia. Za niespełna 110 tys. zł (z czego dofinansowanie UE to 71,2 tys. zł) powstał autonomiczny system solarny z modułem komunikacyjnym. Urządzenie składa się ze sterownika solarnego pozwalającego na podłączenie instalacji fotowoltaicznej oraz układu do zdalnego pomiaru warunków pracy. Dane mogą być przesyłane poprzez sieć GSM do internetowej bazy danych. Istnieje również możliwość komunikacji z urządzeniem poprzez komendy SMS. System został także wyposażony w funkcję centrali alarmowej, pozwalającej na ochronę systemu przed kradzieżą. Całość ma lekką konstrukcję, co sprawia, że zestaw może być traktowany jak urządzenie przenośne.

Połączenie z internetem było kluczowe w projekcie firmy Abtech, który dotyczy dziedziny również wydawałoby się niepotrzebującej innowacji. Chodzi o dystrybucję wody pitnej przy użyciu innowacyjnego systemu telemetrycznego służącego do zarządzania dystrybucją wody pitnej. Za 142 tys. zł (z czego z UE firma dostała 92,6 tys. zł) wspólnie z naukowcami z Politechniki Śląskiej przedsiębiorstwo stworzyło prototyp bezprzewodowego modułu pozwalającego na monitorowanie i zdalne sterowanie dystrybutorami wody pitnej. Urządzenie na bieżąco monitoruje, czy butla jest na miejscu i ile jest w niej wody, a kiedy zapasy się kończą, wysyła odpowiedni komunikat. Firma szacuje, że nowe rozwiązanie daje oszczędność 350 zł rocznie na jeden dystrybutor.

Z pieniędzy z POIR mogą skorzystać także firmy, które chcą wdrożyć produkcję opartą na nowych rozwiązaniach. Firma Wikęd za nieco ponad 2 mln zł (z czego niespełna 300 tys. zł pochodzi z Programu) zakupiła ciąg produkcyjny pozwalający na rozpoczęcie wytwarzania nowego typu drzwi zewnętrznych o zwiększonych parametrach termicznych. Zastosowano rozwiązania konstrukcyjne opracowane w ramach własnych prac badawczo-rozwojowych, a autorska metoda wytwarzania skrzydła drzwiowego zgłoszona została do opatentowania.

Przykładów firm, które dzięki pieniądzom z Programu Operacyjnego Innowacyjny Rozwój stworzyły, rozwinęły czy wdrożyły nowe technologie, jest znacznie więcej. A każde takie opracowanie oznacza zwiększenie konkurencyjności polskiej gospodarki, a więc i zwiększenie jej stabilności.

64/1118/F

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
PARP Grupa PFR
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 06c4c12585

Inwestycja w przyszłość

Pieniądze gromadzone w Pracowniczych Planach Kapitałowych będą nie tylko ważnym wsparciem dla przyszłych emerytów, lecz także poważnym zastrzykiem kapitału dla warszawskiej giełdy, transferem pieniędzy do spółek, więc szansą na wyższe pensje, a tym samym popyt na towary i usługi



Kumulowanie kapitału na przyszłość w ramach PPK będzie następować inaczej niż w dotychczasowym systemie emerytalnym w ramach tzw. III filaru: PPE, IKE i IKZE. Do planu kapitałowego przystąpi każdy pracujący, ale może z niego zrezygnować, składając pisemną deklarację. Nie oznacza to jednak ostatecznego rozbratu z PPK. Co cztery lata z litery prawa każdy z uprawnionych zostanie ponownie zapisany do PPK przez swojego pracodawcę, ale znowu może potwierdzić swoją rezygnację... Można więc przyjąć, że PPK jest systemem dobrowolnego oszczędzania.

JAK BĘDĄ INWESTOWANE PIENIĄDZE

Pracodawca wraz z wybraną do prowadzenia PPK instytucją finansową zaproponuje każdemu uczestnikowi przynależność do Funduszu Zdefiniowanej Daty (FZD). Polityka zarządzania i inwestowania pieniędzy będzie zróżnicowana dla poszczególnych grup uczestników. Młodsi, mający z natury więcej czasu na oszczędzanie i zarazem stosowanie różnych strategii, będą zapewne skłonni uczestniczyć w dynamicznej, bardziej ryzykownej, ale dającej szansę na wyższe zyski polityce inwestycyjnej.

Trzeba pamiętać, że ustawa o PPK narzuca wysoki poziom bezpieczeństwa inwestycyjnego pieniędzy uczestników. W części udziałowej portfela inwestycyjnego zarządzający aktywami FZD będą musieli inwestować co najmniej 50 proc. aktywów netto portfela w akcje spółek wchodzących w skład indeksu WIG20 (ściślej, chodzi o instrumenty udziałowe emitowane przez spółki wchodzące w skład indeksu WIG20). Chodzi o elitarne grono spółek na GPW, o największej kapitalizacji, tzw. blue chipy charakteryzujące się stabilnością finansową, dużą płynnością i wysokimi dywidendami, a więc zarazem najniższym ryzykiem inwestowania

eprasa.pl 06c4c12585

w ich akcje. Akcje wchodzące w skład indeksu mWIG40 spółek średniej wielkości nie będą mogły stanowić w portfelu FZD więcej niż 20 proc. tych aktywów, a pozostałe akcje polskich firm – nie więcej niż 10 proc.

Zarządzający aktywami Funduszy Zdefiniowanej Daty będą mogli również inwestować pieniądze uczestników za granicą. Co najmniej 20 proc. aktywów netto części udziałowej powinny stanowić akcje zagraniczne notowane w krajach OECD. Jednocześnie łączna wartość takich lokat nie może przekroczyć 30 proc. aktywów.

Na część dłużną portfeli FZD będą się składać m.in. obligacje, bony skarbowe, listy zastawne, certyfikaty depozytowe i depozyty bankowe. Co najmniej 70 proc. aktywów tej części portfela powinny stanowić najbezpieczniejsze papiery skarbowe (np. papiery wartościowe emitowane przez Skarb Państwa, Narodowy Bank Polski, ewentualnie rząd lub bank centralny państwa członkowskiego Unii Europejskiej) oraz depozyty bankowe.

FZD mogą inwestować także pośrednio, tzn. nabywać jednostki uczestnictwa funduszy inwestycyjnych zarządzanych przez inne instytucje. Pozwalać to będzie korzystać z oferty m.in. funduszy nieruchomości czy funduszy venture capital, w ramach dywersyfikacji ryzyka inwestycyjnego. Łączna wartość takich inwestycji nie będzie mogła przekroczyć 10 proc. aktywów netto funduszu.

Każdy uczestnik PPK będzie mógł w obszarze prowadzenia inwestycji stosować swoje preferencje. Jeżeli ktoś nie ma skłonności do ryzyka inwestycyjnego, stawia na mniejszy, ale pewny zysk, będzie mógł zmienić fundusz, nawet wtedy gdy z racji wieku jest przypisany do takiego typu, który zarządza aktywami bardziej aktywnie i odwrotnie.

PEWNE Z MOCY PRAWA

Twórcy ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych zapewniają, że nie powtórzy się sytuacja, do jakiej doszło za czasów rządu PO-PSL, kiedy z kont członków otwartych funduszy emerytalnych zostało wytransferowane 51 proc. oszczędności (statystycznie pond 10 tys. zł z każdego konta). Najważniejszym przekazem społecznym towarzyszącym PPK jest przekonanie pracujących Polaków, że żaden rząd nie „położy łapy" na ich oszczędnościach. – PPK są zupełnie innym systemem niż OFE, które było finansowane przez podział składki na ubezpieczenie społeczne. PPK są finansowane z prywatnych oszczędności. W ustawie o OFE był artykuł mówiący o tym, że są one częścią powszechnego systemu ubezpieczeń społecznych, w PPK zapisano wprost, że jest to system prywatny – zapewnia Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju.

CO ROBIĆ Z OSZCZĘDNOŚCIAMI

Uczestnictwo w systemie PPK będzie dobrowolne, dlatego pracownik będzie mógł również w dowolnym momencie wypłacić pieniądze z PPK. Składając wniosek o zwrot środków, pracownik otrzyma zgromadzone przez siebie oszczędności pomniejszone o:

- obowiązujący podatek od zysków kapitałowych (19 proc. od wypracowanych zysków, czyli tzw. podatek Belki);
- 30 proc. wartości wpłat pracodawcy, ponieważ były one zwolnione ze składek na ubezpieczenia społeczne – pobrane 30 proc. zapisywane jest pracownikowi jako jego składka na ubezpieczenie społeczne w ZUS;
- dopłaty państwa.

Potrącenia podczas wypłaty pieniędzy przez posiadacza PPK przed ukończeniem 60. roku życia wynikają z tego, że składki będą miały zwolnienia podatkowe, m.in. zwolnienie z przekazywania składek do ZUS z kwoty przeznaczonej na PPK, podatku od zysków kapitałowych i dopłaty państwa.

W czasie gromadzenia kapitału uczestnik planu kapitałowego będzie miał także możliwość:

- wypłaty pieniędzy na pokrycie wkładu własnego w związku z zaciągnięciem kredytu na zakup mieszkania lub budowę domu, o ile nie ukończył 45 lat (do 100 proc. środków, z obowiązkiem zwrotu);
- wypłaty środków w sytuacji poważnej choroby uczestnika, jego małżonka lub dziecka (do 25 proc. zgromadzonych pieniędzy bez obowiązku zwrotu).

10 TŁUSTYCH LAT

Po ukończeniu 60 lat uczestnik PPK będzie mógł wypłacić zgromadzone oszczędności. W domyślnym wariancie, najkorzystniejszym podatkowo, zainteresowany otrzyma wypłatę jednorazową wynoszącą 25 proc. zgromadzonych pieniędzy. Pozostałe 75 proc. oszczędności będzie podlegało wypłacie w co najmniej 120 miesięcznych ratach (10 lat, tj. do 70. roku życia). Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, aby ten czas wydłużyć.

Po osiągnięciu 60. roku życia uczestnik programu może wnioskować o wypłatę zgromadzonego kapitału, gdy małżonek (również uczestnik PPK) także osiągnie 60. rok życia i wspólnie oświadczą, że chcą skorzystać z wypłaty w formie świadczenia małżeńskiego. Przez 120 miesięcy będzie ono wypłacane małżonkom wspólnie, do wyczerpania środków. W przypadku śmierci jednego z nich pieniądze będą wypłacane drugiemu w dotychczasowej wysokości, aż do wyczerpania zasobów.

Pamiętajmy, że zmniejszenie liczby rat lub zwiększenie jednorazowej wypłaty, w tym wypłata całej kwoty jednorazowo, będzie się wiązać z koniecznością zapłaty podatku dochodowego od zysków kapitałowych.

W przyjętej ustawie o Pracowniczych Planach Kapitałowych uregulowano także podział zgromadzonych pieniędzy w razie rozwodu lub unieważnienia małżeństwa oraz w przypadku śmierci uczestnika PPK (dziedziczenie).

Posługując się kalkulatorem udostępnionym przez Polski Fundusz Rozwoju, można wyliczyć, że statystyczny 30-letni Polak, który w 2019 r. zacznie oszczędzać na emeryturę w ramach Pracowniczych Planów Kapitałowych, może odłożyć 191 tys. zł. Z tego, po zakończeniu aktywności zawodowej, ponad 45 tys. zł świeżo upieczony emeryt otrzyma jednorazowo i ponad 1 tys. zł miesięcznie przez 10 lat jako bonus do emerytury – tak byłoby obecnie, w dzisiejszej sile nabywczej pieniądza. To z pewnością gra warta świeczki.

Małgorzata Dygas

Fot. Shutterstock | 45/1018/F

eprasa.pl 06c4c12585

Zwierzę to nie prezent pod choinkę



Z Henrykiem Strzelczykiem, dyrektorem Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt „Na Paluchu", rozmawia Aleksandra Jakubowska

Przychodzi do schroniska para i mówi: nasze dzieci od dawna nas męczą, żeby mieć pieska, no to chcielibyśmy im dać pod choinkę jakiegoś szczeniaczka, bo duży pies to kłopot... I co pan na to?

Henryk Strzelczyk: O, w takich sytuacjach w schronisku Na Paluchu zapala się żółta, a zaraz potem czerwona lampka. Jesteśmy przeciwnikami tego, aby zwierzęta były prezentami. To istoty, które żyją, czują, potrafią kochać, a przecież prezent może nam się znudzić, możemy go zwrócić, w ostateczności wyrzucić. Chcemy, żeby decyzje adopcyjne były trwałe, na zawsze i do końca życia zwierzęcia. W takich sytuacjach odmawiamy.

A jeśli przemilczą, że to ma być prezent? Jak państwo sprawdzają, że ludzie naprawdę dadzą zwierzęciu nowy dom na zawsze? Że za jakiś czas nie wróci do schroniska po przeżyciu kolejnej traumy?

Wprowadziliśmy dłuższą drogę adopcyjną. Osoba, która chce wziąć psa czy kota, musi wypełnić kwestionariusz, a został on przygotowany przez naprawdę dobrych fachowców. Pytamy, kto wpadł na pomysł adopcji, dlaczego chcą mieć psa lub kota, i te pytania w dalszej części ankiety są tak odwrócone, że jeśli ktoś będzie chciał udawać, iż to nie jest prezent, to na jednym z kolejnych pytań się po prostu wyłoży, wpadnie we własną pułapkę.

Oprócz tego podczas procesu adopcyjnego przeprowadzamy dwa wywiady – jeden robi wolontariusz lub opiekun zwierzęcia, rozmawia na różne tematy, między innymi skąd się pojawiła propozycja przyjęcia zwierzęcia do domu, a potem drugi, przeprowadzany przez pracowników biura przyjęcia i adopcji zwierząt. I jeśli gdziekolwiek pojawia się sygnał, że to zwierzę ma być prezentem, a jeszcze gorzej, że ma być prezentem dla osoby, która nie ma zielonego pojęcia, iż taką niespodziankę jej się szykuje, przerywamy proces adopcyjny i odmawiamy.

Słyszałam, że w okresie przedświątecznym schroniska wstrzymują adopcje.

My tego nie robimy. Wierzymy, że osoby, które chcą adoptować zwierzęta, robią to z miłości do nich, a nie dlatego, by sprawić komuś przyjemność – dzieciom, rodzicom, znajomym, przyjaciołom. Bardzo dokładnie weryfikujemy informacje o potencjalnych nowych opiekunach i to dość skutecznie, bo nie mamy zwrotu zwierząt adoptowanych w okresie przedświątecznym.

Mamy prawie 200 schronisk dla zwierząt, ale taki „prezencik" może przecież pochodzić z nielegalnych hodowli. I co, jeśli się nie spodoba albo sprawia zbyt wiele kłopotu – porzucany jest w lesie, podrzucany do schroniska?

Wprawdzie w okresie świątecznym odnotowujemy większą liczbę przyjęć zwierząt, ale ma to związek z fajerwerkami, które młodzi ludzie odpalają nie tylko w sylwestra, lecz czasami robią sobie takie zabawy w parku, rzucając petardy na przykład za osobą spacerującą z psem. Ale warszawiacy są coraz bardziej odpowiedzialni. Psy, które wystraszone uciekły właścicielom, praktycznie są odbierane od nas w ciągu 48 godzin od pojawienia się w schronisku. A na pseudohodowców, osoby bezmyślnie rozmnażające zwierzęta, nie mamy wpływu i dopóki nie będzie systemowych rozwiązań, obowiązkowego czipowania zwierząt, czego od lat domagamy się u stanowiących prawo, zwierzęta z takich

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 06c4c12585

hodowli mogą trafiać w nieodpowiednie ręce, choćby jako świąteczny prezent.

A co stoi na przeszkodzie, żeby wprowadzić obowiązek czipowania zwierząt? Jesteśmy prawnie zobowiązani do szczepienia naszych psów przeciw wściekliźnie raz do roku, a przecież wszczepienia czipa dokonuje się raz w życia psa.

Jest duże i wpływowe lobby, które żyje ze zwierząt niechcianych, i dla niego to jest bardzo wygodne. Bo jeśli wszystkie zwierzęta będziemy mieli zaczipowane, to będą one przypisane do konkretnego opiekuna. Wtedy te wszystkie pseudoschroniska prowadzone przez prywatne podmioty nie będą miały dochodów, a więc racji bytu. To środowisko blokuje zmiany ustawowe, które nakazałyby obowiązkowe zaczipowanie wszystkich zwierząt. Gdyby taki przepis został wprowadzony, szybko skończyłaby się bezdomność zwierząt w naszym kraju.

Są samorządy, które robią akcje bezpłatnego czipowania psów, ale to nie oznacza, że właściciel jest do tego zobowiązany.

Wiele osób korzysta jednak z tych bezpłatnych programów. My ostatnio, 28 października, urządzaliśmy Marsz kundelków w Warszawie i w parku Fontann ustawiliśmy namiot, w którym bezpłatnie czipowalismy zwierzęta – w ciągu 2,5 godziny 71.

Od jakiegoś czasu obowiązują nowe przepisy ustawy o ochronie zwierząt, znacznie zaostrzające kary dla ludzi, którzy znęcają się nad zwierzętami i wyrządzają im krzywdę, czasami nawet trudną do opisania. Czy z pańskiej perspektywy widać skuteczność działania tych przepisów?

Rzeczywiście kary zostały zaostrzone, a poza tym obserwujemy, że policja, prokuratura i sądy w bardziej profesjonalny, odpowiedzialny sposób podchodzą do ustalenia okoliczności i orzekania. Jeszcze nie tak dawno temu mówiono: „Przecież to był tylko pies", zawiadomienia były odrzucane, postępowania umarzane z braku dowodów lub niewielkiej szkodliwości czynu. Dzisiaj coraz częściej słyszymy o wyrokach za znęcanie się nad zwierzętami i te wyroki są przede wszystkim ostrzeżeniem dla następnych, potencjalnych sprawców. I takich przypadków jest rzeczywiście mniej. Ale brakuje osłony dla zwierząt, które są w rodzinach z trudną sytuacją finansową. A także seniorów z niskimi emeryturami. Często mają dylemat, czy kupić leki sobie, czy psu. A przecież dla takiego człowieka pies to łącznik ze światem, mobilizuje do wyjścia z domu, do spotkań na skwerku z innymi właścicielami i o to też musimy zadbać. Przygotowujemy się powoli do tego, aby wyjść naprzeciw takim ludziom i otoczyć ich zwierzęta naszą opieką. Myślę, że niedługo przedstawimy w tym zakresie konkretny program.

Na pewno tacy ludzie odetchnęli z ulgą, kiedy resort finansów wycofał się z pomysłu podniesienia VAT na leki weterynaryjne z 8 do 23 proc.?

Trzeba pochwalić, że otrzeźwienie przyszło w porę, ale z drugiej strony zganić, iż ktoś wpadł na pomysł szukania pieniędzy kosztem biednych zwierząt. W 2018 r. schronisko Na Paluchu wydało 900 tys. zł na leki weterynaryjne. Gdyby ta nieszczęsna zmiana weszła w życie, musiałbym „zabrać" zwierzętom 140 tys. zł.

Pojawił się taki pomysł w czasie kampanii samorządowej, żeby zachęcić ludzi do adopcji poprzez jednorazową wypłatę 1 tys. zł dla tych, którzy przygarną zwierzę ze schroniska. To dobra propozycja?

W 2004 r. dzielnica Ursynów przeprowadziła podobną akcję – co miesiąc wypłacała dodatek dla osób, które przyjęły pod opiekę zwierzęta. I były to niestety w większości osoby, które wzięły zwierzęta po to, żeby wyłudzić pieniądze. Po kilku miesiącach te zwierzęta w stanie gorszego zaniedbania wracały pod opiekę dzielnicy Ursynów. Nie należy dopłacać do adopcji, ona powinna wynikać z miłości do zwierzęcia i potrzeby człowieka bycia z nim. I tak się dzieje. Jeśli 1,5 tys. psów i 1 tys. kotów rocznie wydajemy do adopcji, nie dopłacając do tego, to znaczy, że działamy skutecznie.

A ile jeszcze zwierzaków czeka na swój dom w schronisku?

W tej chwili mamy 670 piesków i 49 kotów. Tych ostatnich mamy w tym roku naprawdę mało, bo uruchomienie programu adopcyjnego pod hasłem „Ochota na kota" dało tak pozytywny efekt, że w schronisku w zasadzie są tylko koty, które odbywają u nas kwarantannę albo mają daleko rozwinięte choroby zakaźne i są w trakcie leczenia. A jeśli chodzi o psy, to cały czas ta liczba nam maleje, ale to zasługa mojego świetnego zespołu, w szczególności wolontariuszy, którzy nie tylko wyprowadzają psy na spacery, bawią się z nimi, socjalizują je, lecz także prowadzą bardzo szeroką akcję marketingową na rzecz pozyskania dla nich dobrych, odpowiedzialnych domów.

A co byłoby najlepszym prezentem pod choinkę dla schroniska?

Wizyta w naszym schronisku rodziców z dziećmi. Przede wszystkim powinniśmy uczyć nasze dzieci potrzeby dzielenia się z tymi, którym jest ciężko. Nasi podopieczni nie mają domów, więc warto pokazać dzieciom, że są zwierzęta, które potrzebują pomocy. Przynieść upominek, może to być niepotrzebny w domu koc, duży ręcznik kąpielowy, specjalistyczna karma, ale przede wszystkim odwiedzić to miejsce. I każdy, kto spojrzy tym zwierzętom w oczy proszące o dom, nigdy już wobec nich nie będzie nieodpowiedzialny. A okres świąteczny, kiedy wszyscy domownicy są razem, to dobry czas, by wspólnie się zastanowić, czy nie powinniśmy wziąć zwierzęcia. Bo może w naszym domu jest jakaś pustka, brakuje przyjaciela dla całej naszej rodziny. A jeżeli ktoś myśli o zwierzęciu jako o prezencie, to są sklepy z zabawkami, są tam pluszaki. Kupcie dzieciom pluszaka, drodzy rodzice, a zwierzęta adoptujcie na całe życie, nie tylko pod choinkę.

eprasa.pl 06c4c12585



KATARZYNA SKRZYNECKA AKTORKA I PIOSENKARKA

Versace, lamparty i tony złota

Kogel-mogel kojarzy mi się z przygotowaniem słodkości, na przykład ciast na święta, ale też z kultowym filmem. Włączyłam się w „ucieranie" jego kontynuacji. Wyszedł z tego „Miszmasz, czyli Kogel-Mogel 3", który trafi do widzów już w styczniu. Gram w nim żonę słynnego Piotrusia, dziś mężczyzny po trzydziestce (w tej roli Maciej Zakościelny, który uroczo i z naturalnym sobie abstrakcyjnym poczuciem humoru poprowadził tę postać).

Marlena Wolańska uwielbia luksusy, Versace, lamparty i tony złota. Niekoniecznie wszystko do siebie pasuje, ale taki jest właśnie pomysł na życie tej przezabawnej, skądinąd, pani. Marlenka jest też dowodem na to, że mężczyźni często wybierają sobie żony podobne do swoich mam. Jak Barbara Wolańska (w tej roli Ewa Kasprzyk) lubi błyszczeć.

Nie w głowie jej pracowite ucieranie żółtek z cukrem, którą to czynność, za czasów mojego dzieciństwa (kiedy nie było mikserów ani cudownych, wszystko robiących w kuchni maszyn) silnym męskim ramieniem wspierał tata, pomagając mamie przed świętami. Ręcznie ucierał składniki w kamionkowej makutrze, aż do osiągnięcia aksamitnej białości. Później na tej bazie powstawały pyszne biszkopty i ciasta według receptur mojej babci oraz prababci wspaniale gotujących. Do dziś mam te przepisy i chętnie do nich sięgam.

Mój rodzinny dom zawsze był pełen gości, przyjaciół. Mama co chwilę szykowała jakieś przyjęcia, proszone kolacje czy obiady. Nieraz spontanicznie skrzykiwane. Ciągle ktoś do nas wpadał i na stół trafiały robione na szybcika dania. Były tak pyszne i tak pięknie podane jak w najlepszej, ekskluzywnej restauracji. Mama miała naprawdę ogromny talent i wielkie serce do gotowania.

Trudno ją doścignąć, ale jako dorosła kobieta ja też odkryłam w sobie pasję do tworzenia potraw. Oboje z mężem w tym się spełniamy. Niejednokrotnie razem próbujemy przyrządzać dania, które gdzieś wcześniej sobie upatrzyliśmy, skosztowaliśmy ich, podróżując po świecie.

Jakiś czas temu pokusiłam się np. o wykonanie greckich, trójkątnych pierożków. Pieczonych z ciasta filo (kolejne warstwy, odpowiednio przycięte, smarowane są przyrumienionym masłem) z farszem z sera feta, smażonej szalotki, czosnku, greckich przypraw i ewentualnie szpinaku oraz suszonych pomidorów. Nazywają się tiropitakia albo spanakopitakia (jeśli są ze szpinakiem) i są bardzo pracochłonne. Ponieważ jednak wyszły pysznie, zrobiłam je jeszcze kilka razy. I doszłam do takiej wprawy, że dziś przygotowuję je naprawdę szybko.

Nasza córeczka też chętnie się włącza w działania domowe i kulinarne. Podsuwamy jej różne smaki. Staramy się ją zachęcać do zdrowej kuchni i gotujemy, pamiętając o piramidzie żywieniowej. Nie uznajemy w domu chipsów ani farbowanych sztucznie napojów. Ograniczamy cukier, więc raczej nie planuję ukręcenia dla córeczki kogla-mogla, ale Marlenkę jej przedstawię.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna

Ekspresowy barszcz ukraiński

Sprawdzony, gdy zaskoczą nas zgłodniali goście czy domownicy. Przygotowuje się go szybko i smakuje jak bardziej pracochłonna, klasyczna wersja. Potrzebny jest sok buraczany/barszcz z kartonika. Do tego: wiórki buraczane (można je kupić), poszatkowana kapusta pekińska, świeże pomidory pokrojone w kostkę, ewentualnie kilka łyżeczek koncentratu pomidorowego. Gotujemy wszystko razem (proporcje zależą od tego, co lubimy, który smak chcemy wybić). Pod koniec dodajemy fasolkę z puszki (czerwoną i białą) oraz – ewentualnie – ugotowane osobno, pokrojone ziemniaki (niedużo). Można też dolać trochę sosu, w którym była fasolka. Teraz tylko przyprawy, a na końcu zabielamy śmietanką, posypujemy świeżym koperkiem i zachwycamy smakiem.



Fot. VPhoto/East News, Shutterstock

eprasa.pl 06c4c12585



SŁODKO-SŁONY

Co ma w środku roladka

ANNA MONICKA

Nadchodzi czas niespodzianek. Ludzie starają się być mili dla bliźnich, zwierzęta mówią ludzkim głosem, mikołaje roznoszą upominki, a dzieci nasłuchują, czy nadjeżdżają sanie ciągnięte przez Rudolfa. Niespodzianki kulinarne także są mile widziane. Jedną z najciekawszych i najsmaczniejszych są zawijane roladki mięsne.

Te z mojego dzieciństwa skrywały w środku wędzony boczek, ogórek kwaszony i cebulkę. Taki zestaw babcia wkładała do dobrze utłuczonego plastra polędwicy wołowej, nasmarowanego musztardą i lekko popieprzonego, a potem rolowała, związywała nicią, obsmażała i układała w płaskim garnku. Roladki dusiły się kilka godzin na prawdziwym ogniu, bo babcia była żoną górnika, mieszkała w familoku i miała kuchnię kaflową na węgiel. Przyjeżdżaliśmy do Katowic na święta, a wtedy czekały na nas same najlepsze rzeczy – ręcznie robione makarony, szałot, rosół podawany w pierwszy dzień świąt, zrazy, kluski z dziurką, modra kapusta, makowce... Pod blachą huczał ogień, a ja zajadałam podpłomyki i byłam tak szczęśliwa, że nawet nie widziałam, że dom składa się z pokoju, kuchni, że wodę do mycia trzeba zagrzać, a do drewnianego kibelka z serduszkiem trzeba urządzić wyprawę, bo stoi na podwórku.

Smaki i zapachy tych wigilii mam do dziś na języku. Nie udało mi się ich powielić, podobnie jak kiełbasek i chleba, które babcia podawała na śniadanie. Przez wiele lat, dopóki istniała stara piekarnia, wielkie bochny rodzina wysyłała w paczce do taty, który długo nie mógł przywyknąć do warszawskiego chleba.

Prawie nie jem dziś mięsa, czasem skuszę się na wiejską suszoną kiełbasę, czasem, gdy kupię indyczą pierś – robię roladki. Mięso indyka jest delikatne, więc łatwo mu nadać bardzo różne smaki. I musztardowo-boczkowy, jak w klasycznych zrazach, i orzechowy z nutką wędzonej śliwki czy żurawiną. Rozbijamy mięso, smarujemy w środku solą i pieprzem, nakładamy farsz, zwijamy i podsmażamy ze wszystkich stron, a potem układamy w żaroodpornym naczyniu i zapiekamy, polewając wodą z winem. Podajemy z kaszą bulgur albo pęczakiem, ale zapieczonym z brukselkami. Jak niespodzianka, to niespodzianka.



WILCZYM OKIEM

Wyspiarski świat

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Lubię poranne ćwierkanie wróbli. Gdy stały się rzadkie, brakowało mi tego dźwięku kojarzącego się z wiejskim rankiem na wsi, ale i gwarem miejskiej ulicy. Do niedawna wróbli brakowało też w mojej okolicy. Dzięki planowemu działaniu (gęste, dające schronienie krzewy, budki, pojnik) w ciągu kilku lat udało mi się stworzyć liczną, miejscową populację wróbli mazurków: kiedy zimą wysypuję ziarno, co rano zlatuje się 50 szarobrązowych ptaszków.

To jedna z rozrzuconych po okolicy wróblowych wysp. Następna jest przy obsadzonej żywopłotem piekarni, kolejna przy małej stadninie, dalsza w ogrodzie zoologicznym, a jeszcze odleglejsza w iglakach przydrożnego McDonalda.

Kiedy odkrywam kolejną wyspę wróbli, przypominają mi się badania motyli, jakie na Wyspach Alandzkich prowadził Fin Ilkka Hanski. Na wyspach leżących blisko siebie motyle miały się dobrze. Jeżeli jakieś zdarzenie sprawiało, że wyspa pustoszała, motyle powracały. Gdy jednak wyginęły na bardziej oddalonej wyspie, rzadko zdarzało się, żeby wróciły – a jeżeli, to na krótko.

Te same prawa ekologiczne dotyczą każdego rodzaju wysp: pofragmentowanych lasów, łąk pociętych drogami, oczek wodnych okrążanych zabudową, osamotnionych populacji wróbli. Bioróżnorodność zanika. Natura coraz bardziej przypomina archipelagi oddalających się wysepek. A życie na wyspach jest wrażliwe: łatwo je zniszczyć, trudno przywrócić.

Wyrok zapada wcześniej, niż dostrzeżemy problem. Wyspiarska populacja żyje wtedy siłą rozpędu: zaciągnęła już jednak tzw. dług wymierania – jest zbyt mała i oddzielona, żeby przetrwać. W ciągu kilku pokoleń chów wsobny sprawi, że zniknie.

Dług do spłacenia przez rozmaite elementy ekosystemu zaciągnęliśmy już wielokrotnie. Żeby go uregulować, trzeba nie tylko chronić to, co zostało z lasów, łąk i bagien; trzeba odtwarzać utracone siedliska i połączenia między nimi.

Utrata bioróżnorodności może mieć wielkie konsekwencje dla wyżywienia ludzkości. W wydajnym rolnictwie konieczne jest cykliczne wzbogacanie uprawianych odmian pszenicy, kukurydzy czy ziemniaków genami populacji dzikich. Jeżeli ich zabraknie, jeżeli zniknie naturalna bioróżnorodność, pola, sady i uprawy wyrodzą się i opustoszeją, tak samo jak wyspy niezasilane genami sąsiednich populacji.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 06c4c12585

Chwała pani Mosbacher

PIOTR SKWIECIŃSKI

Wiem, że większość czytelników podświadomie chciałaby już zapewne nie słyszeć o sprawie ambasador Mosbacher. No bo cóż, nad wyraz przykra ona i w zbyt wielkim stopniu demolująca poczciwą, prawicową wizję jedności polsko-amerykańskiej w ogólności, a naturalnego podobno przymierza trumpowsko-pisowskiego w szczególności. Ale jednak trzeba, bo najgorzej jest zasłonić oczy i odmówić przyjęcia do wiadomości, na jakim świecie się żyje.

Zacząć trzeba od tego, że – jak mówią insiderzy polskiej dyplomacji i, szerzej, polskiego aparatu władzy z okresów różnych rządów – działanie ambasador bynajmniej nie jest wstrząsającym novum. Jej poprzednicy postępowali podobnie. Forma była inna, pozwalająca polskiej stronie na zachowanie twarzy; ekscelencja Georgette objawiła tu niebanalną osobowość, ale meritum – czyli brutalne realizowanie amerykańskich interesów drogą przypominania Warszawie, gdzie jest jej miejsce – było dokładnie takie, jak teraz.

Jeśli tak, to reakcję polskich rządzących, czyli dokonanie przecieku skandalicznego listu Mosbacher, należy ocenić krytycznie. Nie wydaje mi się bowiem, żeby polskie wyrazy oburzenia mogły doprowadzić do tego, aby Waszyngton odwołał ambasadora, który może się zachował niekonwencjonalnie i nieco przegiął, ale przecież z amerykańskiego punktu widzenia w kierunku dobrym i oczywistym.



Najgorzej jest odmawiać przyjęcia do wiadomości, na jakim świecie się żyje

I nie, nie dlatego, żeby Polska była krajem tak słabym i mało ważnym. Ona ma znaczenie i potrafi osiągać swoje cele, dowodzi tego chociażby wspólna polsko-izraelska deklaracja kończąca kryzys wywołany ustawą o IPN. Sęk w tym, że absolutnie nie dotyczy to USA. Bo kiedy ktoś skłócił się z wszystkimi wokół graczami i pozostał mu tylko jeden partner, w dodatku ze związania się z tym jedynym partnerem uczyni coś na kształt głośno wyznawanej ideologii, to... To taki ktoś naprawdę nie może mieć pretensji o to, że ów partner bezlitośnie wyciągnie dla siebie wszystko, co możliwe, od znajdującej się w przymusowym położeniu drugiej strony. Polityka międzynarodowa to naprawdę nie jest zabawa w „lubię – nie lubię".

Jeszcze gdyby ujawnienie przez stronę polską zachowania lady Georgetty nastąpiło w innej sytuacji wewnątrzpolitycznej, w takiej, w której PiS szłoby od zwycięstwa do zwycięstwa, można by tę decyzję ocenić łagodniej. Ale dziś list ambasador wpisuje się w opinii publicznej w ciąg porażek partii rządzącej, zwiększając wywołane tym ciągiem wrażenie. Naprawdę trudno nie uznać tego za, po prostu, gruby błąd.

Ale ten błąd ma zarazem dobrą stronę. Może bowiem odegrać pozytywną rolę przy uświadamianiu Polakom, a zwłaszcza polskim prawicowcom, jak naprawdę wygląda nierozumiany przez nich świat poza naszymi granicami. I jak naprawdę wyglądają stosunki polsko-amerykańskie, często zaczarowywane złudzeniami o jakimś rzekomym specjalnym porozumieniu, o specjalnej relacji, o rzekomo specjalnym statusie Warszawy dla Waszyngtonu, docelowo mającym osiągnąć wymiar taki, jaki dla Stanów mają stosunki z Izraelem. To są niebezpieczne złudzenia. Jeśli wyparują one z głów tych, którzy dotąd je żywili, to wypada pani ambasador podziękować.

I przypomnieć zmarłego właśnie prezydenta Busha seniora. Polityka, który w 1989 r. odegrał znaczącą rolę przy przeforsowywaniu gen. Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej. Stał się Bush wtedy niejako ojcem chrzestnym polskiej transformacji, a przede wszystkim roli odegranej w niej przez siły i środowiska starego porządku. Siły i środowiska, w których obronie Ameryka występowała w latach 90., dodajmy, konsekwentnie. Co bynajmniej nie było czymkolwiek zaskakującym; co najmniej od lat 60. w amerykańskim myśleniu o krajach ówczesnego bloku wschodniego przeważała wizja likwidacji komunizmu drogą przeciągnięcia na swoją stronę jak największej części elit rządzących w państwach tego bloku. Przekonania ich, że po zmianie mogą utrzymać swój uprzywilejowany status.

Bynajmniej nie potępiam za to Amerykanów. Mieli i mają po prostu swoje interesy i swoją wizję ich realizacji, człowiek dorosły rozumie takie rzeczy. Ale warto, by polscy prawicowcy zdawali sobie sprawę, że ich spojrzenie na sprawy naszego kraju i – szerzej – naszej części kontynentu bywa po prostu zupełnie inne niż to, które tymże prawicowcom wydaje się naturalne. Dotyczy to również Donalda Trumpa, który według prostolinijnych marzeń niektórych powinien postrzegać rządzących obecnie Polską jako ideowych braci i drugie ramię swojej rewolucji, a który właśnie przysłał nam ambasador Mosbacher.

Wszystko to, oczywiście, nie jest wezwaniem do porzucenia sojuszu z USA. Wielcy książęta moskiewscy w średniowieczu wykuwali potęgę swego państwa w znacznie bardziej krępującej i poniżającej relacji z ówczesnym supermocarstwem – tatarską Złotą Ordą. I stali się mocarstwem Ale warto widzieć rzeczy bez złudzeń.

Dlatego powtórzę – chwała pani Mosbacher.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 06c4c12585

Czerwone maki



Politpoprawnych pomysłów w Australii sporo, ale z drugiej strony miło patrzeć na cudowne dekoracje bożonarodzeniowe (słowo CHRISTmas nie jest zakazane, widziałem nawet betlejemskie stajenki). A patriotyzm jest czymś naturalnym, oczywistym, niekwestionowanym

Pan Bóg zdecydował, że trafiłem do Australii. Na zaproszenie australijskiej Polonii w kilku miastach pokazujemy film „Smoleńsk" Antoniego Krauzego. Przyjęcie bardzo dobre, podziękowania i ożywione dyskusje. Wyjaśniam okoliczności powstania filmu, że powstał bez grosza środków publicznych, jedynie z wpłat tysięcy darczyńców i pieniędzy prywatnych inwestorów. Że był realizowany w atmosferze rzucania kłód przez państwowych urzędników, zaszczucia, życzliwych rad „po co ci to" i strachu znacznej części filmowego środowiska. Że spotkał się z niebywałą kampanią nienawiści i pogardy na długo przed premierą. Ale powstał, Antoni Krauze doprowadził swoje dzieło do końca. Więc Jemu przekazuję te podziękowania.

W australijskich dyskusjach po filmie uderza wiedza o Polsce, głębokie zanurzenie w bieżących sprawach, znajomość szczegółów wydarzeń – tych sprzed kilku lat i tych z ostatnich dni. Wielu Polaków w Melbourne, Canberze i Sydney żyje polskim życiem politycznym stokroć bardziej niż miliony nad Wisłą. I ma ciekawe refleksje. Taką na przykład, że USA znają prawdę o smoleńskiej tragedii, ale jej – przynajmniej w najbliższym czasie – nie ujawnią i Polakom ujawnić nie pomogą, bo chcą mieć przetargowy argument, „leżący na stole nabity pistolet" w relacjach z Rosją. Albo taką, że brak wprowadzenia w kodeksie wyborczym zmian proponowanych przez Ruch Kontroli Wyborów spowodował utracenie przez PiS Mazowsza, gdzie gigantyczne oszustwa wyborcze z roku 2014 pozostały bez konsekwencji, a więc zostały powtórzone w skali wystarczającej do trzymania władzy. Albo taką: trudno zrozumieć/można zrozumieć wyciszenie sporu polsko-żydowskiego z wiosny tego roku, ale na pewno sprawa wkrótce wróci, dlatego Polska musi gromadzić swój arsenał argumentów – budować muzea, organizować konferencje i studyjne wizyty liderów opinii, zamawiać wielojęzyczne publikacje, kręcić filmy o Polakach ratujących Żydów oraz niemieckich zbrodniach. Tymczasem znów zapanowała błoga cisza.

Życie polityczne Australii odzwierciedla wiele europejskich, światowych tendencji. Postępowa Tasmania proponuje, by po urodzeniu nie określać płci dziecka, pozostawić w dokumentach wolne miejsce. W pewnym wieku (w jakim?) dziecko podejmie decyzję, jaką płcią chce być. Coraz mniej w Australii toalet męskich i damskich, coraz więcej „unisex" dla wszystkich płci. W stanie Nowa Południowa Walia rozważana jest propozycja, by księża, którzy nie ujawnią tajemnicy spowiedzi, trafiali do więzienia. Nawet jeśli spowiadający się skłamie, np. dokona prowokacji, a spowiadający go ksiądz nie doniesie władzy, co w konfesjonale usłyszał, to i tak ma trafić za kraty z zakazem wykonywania posługi kapłańskiej do końca życia.

Politpoprawnych pomysłów w Australii sporo, ale z drugiej strony miło patrzeć na cudowne dekoracje bożonarodzeniowe (słowo CHRISTmas nie jest zakazane, widziałem nawet betlejemskie stajenki). A patriotyzm jest czymś naturalnym, oczywistym, niekwestionowanym. Widać ogromny szacunek dla ofiar poniesionych w obronie ojczyzny. Grób Nieznanego Żołnierza i otaczające go War Memorial to jeden wielki hołd złożony 200 tys. Australijczyków, którzy oddali życie w obu wojnach światowych i na wielu innych teatrach wojennych – wszystkie poza terytorium Australii. Nazwisko każdego z nich jest tu opisane, przynajmniej raz w roku zjawiają się potomkowie i mieszkańcy miejscowości, z której pochodził, by zatknąć symboliczny czerwony mak.

A każdego 25 kwietnia (w rocznicę bitwy pod Gallipoli) w patriotycznych paradach AZNAC Day (Australian & New Zeland Army Corps) uczestniczą wszyscy – politycy, na co dzień kłócący się w parlamencie, weterani, ich rodziny, liderzy opinii, artyści i miliony wdzięcznych im za przelaną krew Australijczyków. Gdy zaś weterani odchodzą na wieczną wartę, w paradach idą ich potomkowie i mają prawo przypinać na prawej piersi medale i ordery swych ojców, wujów, dziadków. To piękne i wzruszające, jednoczy pokolenia, buduje wspólnotę trwającą nie tylko w przestrzeni, lecz i w czasie, symbolizuje ciągłość celu.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 06c4c12585

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ojczyzna, naród, patriotyzm



Jak wiemy, naród może przetrwać bez państwa (Polska pod zaborami), bo nie zanika pojęcie ojczyzny jako wspólnoty

Przy okazji prezentacji albumu wydanego przez IPN pt. „Ojcowie niepodległości" ciekawie mówił Jarosław Kaczyński. Zasygnalizował fundamentalne tematy wymagające dziś głębszej refleksji. Chodzi o zagadnienia dotyczące istoty takich pojęć, jak ojczyzna, naród, patriotyzm. I takiej książki, o tym właśnie tytule, oczekuje chyba nie tylko prezes PiS. Kto mógłby być autorem wspomnianej książki? Na pewno osoba wszechstronnie wykształcona, łącząca wiedzę historyczną, prawną, socjologiczną, o uznanym dorobku naukowym czy popularnonaukowym. Ale nade wszystko osoba ciesząca się niekwestionowanym autorytetem, osoba niezależna, przejęta losem narodu, odważna i bezkompromisowa. Dająca przykład własnego patriotyzmu. Są takie osoby i zawsze były, choć w warunkach PRL i III RP niełatwo im było dotrzeć ze swoimi poglądami do szerszej opinii publicznej.

OJCZYZNA

Przypominam postać prof. Anny Pawełczyńskiej, której książka „O istocie narodowej tożsamości" jest dla mnie ciągłą inspiracją. Pisała: „Ojczyzna stanowi subiektywną rzeczywistość ludzi wyposażonych we wspólne elementy kultury. […] Jest to wspólnota zanurzona w tej samej przeszłości i zjednoczona powinnością zabezpieczenia przyszłości następnym pokoleniom". Jako socjolog zauważyła, że członkowie tego samego narodu „czują na ogół swą przynależność do dwóch ojczyzn – prywatnej i ideologicznej". Ojczyzna prywatna bliska jest pojęciu „ojcowizna", ojczyzna ideologiczna zaś „wiąże się z całą zbiorowością terytorialną jest tożsama z jej narodowym terytorium". Stąd kiedy mówimy „mój kraj", to mamy najczęściej na myśli zarówno państwo, jak i ojczyznę. Jak widać, w jej rozważaniach pobrzmiewają myśli zapomnianego dziś wielkiego socjologa prof. Stanisława Ossowskiego. Jan Paweł II definiuje ojczyznę jako „dziedzictwo", a równocześnie „wynikający z tego dziedzictwa stan posiadania, w tym również ziemi, terytorium, ale też wartości i treści duchowych, jakie składają się na kulturę danego narodu". Mówił, że ojczyzna to nasze „być" i nasze „mieć". Szczególną uwagę zwraca dziś inne zdanie Jana Pawła II: „Słowo ojczyzna posiada dla nas takie znaczenie pojęciowe i uczuciowe zarazem, którego, zdaje się nie znają inne narody Europy i świata. Te zwłaszcza, które nie doświadczyły takich jak nasz naród dziejowych strat, krzywd i zagrożeń".

PAŃSTWO

Do naukowców podejmujących wspomniane tu tematy należy z pewnością prof. Wojciech Polak. Jego książka „Patriotyzm jutra" zawiera definicje państwa, narodu i ojczyzny. Przyjmuje jako dobrą definicję państwa opracowaną przez prof. Mariusza Gulczyńskiego (przymusowa organizacja posiadająca atrybuty władzy zwierzchniej chroniąca przed zagrożeniem zewnętrznym, zapewniająca wewnętrzny ład i warunki egzystencji). Jak wiemy, naród może przetrwać bez państwa (Polska pod zaborami), bo nie zanika pojęcie ojczyzny jako wspólnoty. Prof. Pawełczyńska nazywała oficjalne elity III RP „lumpenelitami" i oskarżała je o doprowadzenie do degradacji całych struktur państwa. Na szczęście „państwo teoretyczne" zatrzymała dobra zmiana.

NARÓD

Pojęcie narodu jest mniej precyzyjne. Zawiera w sobie kilka ważnych obiektywnych elementów, równie trudnych do zdefiniowania (wspólnota, solidarna zbiorowość, poczucie własnej odrębności, etniczność, własna kultura, język, religia, tradycja) oraz zestaw czynników natury subiektywnej, składający się na poczucie przynależności narodowej. Kiedy więc mówimy, że jesteśmy Polakami, to w ten sposób deklarujemy swoją przynależność do polskiego narodu. Przez wieki „Polak" znaczyło tyle samo co „katolik". Jan Paweł II mówił, że przyszłość należy do kultury, a nie do polityki, a ponieważ polska kultura wyrosła z korzeni chrześcijańskich umacniających ducha narodu i jego silne poczucie tożsamości, dlatego uważał, że „naród istnieje z kultury i dla kultury". To dzięki swojej autentycznej kulturze staje się w pełni wolny i suwerenny.

PATRIOTYZM

Jeszcze trudniejsze wydaje się zdefiniowanie patriotyzmu. Za pomocą neologizmów próbuje się nadać mu nowy sens (nowoczesny patriotyzm) albo ograniczyć go do trywialnych zachowań typu sprzątanie po psie czy płacenie podatków. Tymczasem patriotyzm, mówiąc najkrócej, to odpowiedzialność zarówno za własną ojczyznę, jak i naród oraz państwo, za tę trudną do zdefiniowania, ale obiektywnie istniejącą triadę, wyznaczającą nasze miejsce w życiu.

eprasa.pl 06c4c12585

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Pocztówka z innego życia

Być może nigdy już mi się to nie zdarzy. I oby tak było. Chodzę właśnie wśród morza ruin, zwałów betonu i potrzaskanych pamiątek po czyimś życiu. Dopiero teraz wiem, co mogli odczuwać ludzie wracający do zniszczonej po powstaniu Warszawy. Trupi odór, pył i bezkształtna masa tego, co jeszcze niedawno było tętniącym życiem miastem. Krztusząc się pyłem, chodzę po ruinach biblijnej Niniwy. Słynny meczet Al-Noori Al Kabeer, gdzie „kalif" islamskiego państwa terrorystów wygłosił swoje słynne przemówienie. Spoglądam na to, co z niego zostało. Kupy gruzów strzeże kilku uzbrojonych żołnierzy, jeden z nich ma na plecach RPG (wyrzutnię granatów). Policjanci odganiają dzieci, teren meczetu ciągle jest zaminowany i wejście tam grozi postradaniem życia.



Witold Gadowski

Po drugiej stronie ulicy stoi zaimprowizowany straganik, wąsaty mężczyzna sprzedaje tam coś, co pewnie w założeniu ma przypominać lemoniadę. Gnieździ się w ocalałej od wybuchu połowie domu, z której sterczą drapieżnie powyginane pręty. Przechodzę wąwozami gruzów, które jeszcze niedawno były jednym z cudów świata. Chowam do swojej pamięci obraz miasta czterech proroków. To była perła świata, starówka w Mosulu nie miała sobie równych, dziś to trzęsawisko niewykrytych min, mieszkanie dla zdziczałych dzieci ulicy, kotów i obszarpanych nędzarzy.

Nie mogę pojąć, jak w XXI w. mogła się znaleźć tak barbarzyńska siła, która sprawiła, że to miasto przez kilkadziesiąt najbliższych lat nie wstanie na nogi. Każdego, kto kocha klasykę, świadectwa nieprzemijającego piękna, może tu ogarnąć rozpacz. Przecznicę dalej w obszarpanej kafejce piję kawę i przyglądam się ludziom, którzy znaleźli w niej schronienie. Żyją, ale w ich pogarbionych postaciach, złachmanionych ubiorach i pokrytych pyłem oraz brudem twarzach znajduję tylko jedno pytanie: Kiedy ogarnie nas zupełna, lepka i tamująca oddech ciemność?

Świat przemija w takich miejscach jak dzisiejszy Mosul i jego umarła starówka. Jedynie przejeżdżające przez gruzowisko wozy pancerne i toyoty z uzbrojonymi ludźmi na platformach wnoszą tu odrobinę życia. Nie muszę nikogo o nic pytać. Wiem, co tu się stało. Najważniejsze miasto w Dolinie Niniwy, które przed inwazją Daesz liczyło 2 mln mieszkańców, straciło swoją perłę. Nic już tego nie odtworzy. Najbardziej boli mnie świadomość, że islamscy barbarzyńcy, owszem, powysadzali mnóstwo budynków, ale prawdziwego dzieła śmierci i destrukcji dokonały tu... naloty amerykańskich samolotów.

Ciekawe czasy

Chińskie przysłowie Obyś żył w ciekawych czasach jest synonimem przekleństwa. Ostatnio – w związku ze wzrostem zagrożenia w Europie – rozgorzała w Polsce dyskusja: czy powinniśmy mieć armię 200 tys. zawodowych żołnierzy, czy to zbędny wydatek?

Bezpieczeństwo i wolność Polaków są wartościami nadrzędnymi; lepiej przesadzić z nakładami na obronność, niż obudzić się z ręką w nocniku. Dlatego wszystko, co osłabia zdolności obronne Polski, winno być dziś ograniczane lub eliminowane. Czas skończyć z demoralizowaniem młodzieży, z medialnym wyszydzaniem, zohydzaniem patriotycznych postaw (np. podciąganiem pod „faszyzm" dewizy Bóg–Honor–Ojczyzna), bo za chwilę nie będzie już chętnych do obrony Rzeczypospolitej! Należy promować wartości rodzinne; ujemna demografia pomaga naszym wrogom. Trzeba odbudować waleczność i ofiarność Polaków, bo niedługo mogą to być cechy niezbędne do przeżycia. Gdy obok nas nasila się brutalna przemoc (przestępczość migrantów), krwawy terror (zamachy dżihadu) czy „zwykła" wojna (Rosja na Ukrainie), trzeba nam fizycznej i duchowej mobilizacji, a nie rozprzężenia. To nie tylko zadanie dla MON, lecz również wyzwanie dla resortów edukacji i kultury. Zapewne MEN oraz MKiDN zarzucą mnie tysiącami podejmowanych inicjatyw i działań patriotyczno-wychowawczych. O ile na papierze wszystko jest OK, o tyle praktyka kuleje. Prędzej do szkół wejdzie ze swoją ideologią ekipa LGBT niż bard z piosenkami o żołnierzach niezłomnych.



Lech Makowiecki

Hasło zbrojnego podziemia – „Śmierć wrogom Ojczyzny" – okrzyknięte zostanie natychmiast przez „tęczowych" mową nienawiści. Pokażcie mi choć jeden napisany i spopularyzowany w ciągu ostatnich 30 lat wielki patriotyczny przebój na miarę np. „Roty"! Za to obscena i opluwanie Polski wciąż dotowane są sowicie. Czym to się skończy? Jak zawsze – rzezią! Tyle że nie niewiniątek, lecz stada baranów, które budżet obrony przeznaczyłyby najchętniej na zakup baloników i kredek...

eprasa.pl 06c4c12585

PRZEZ ŚWIETLIK

Pożytki z Putina



Wiktor Świetlik

Posiadacze telewizorów i zwykłych anten już wkrótce w dużej części Litwy będą mogli oglądać trzy nowe stacje. Są to TV Polonia, TV Historia i discopolowe polskojęzyczne Polo TV. Jak widać, jedna stacja dla wykształciuchów, jedna dla pospólstwa, by języka polskiego nie zapomniało, jedna, by nie stracić kontaktu z bieżącymi wydarzeniami w kraju. Co się takiego stało kolegom Litwinom, że postanowili tak dbać o dostęp do polskich mediów miejscowych Polaków, w których przypadku do niedawna władze miały przecież problem z akceptacją polskiego języka nauczania? Jak to jest, że wybierają komplet, wydaje się, bardzo dobrze przemyślany, bo i stację informacyjną dla zagranicy, i dwa kanały umacniające tożsamość na najważniejszych poziomach – znajomości języka, a skąd łatwiej się go nauczyć niż z prostych, skocznych piosenek, i znajomości podstaw wspólnej polskiej przeszłości?

Jak się okazuje, z pomocą przyszedł nam Władimir Władimirowicz. Nieoceniony w swej kreatywności car jakiś czas temu stwierdził, że nieco zmienia linię na łaskawszą w stosunku do Polaków. I choćby dlatego zlecono w Rosji produkcję czteroodcinkowych współczesnych „Czterech pancernych". Miniserialu z wysokim budżetem, w którym rosyjski żołnierz pod pachę z dzielnym, choć nieco mniej kumatym polskim kolegą, pokonują najeźdźcę z zachodu Europy.

Cel takich zabiegów jest oczywisty. Przekonać Polaków, przede wszystkim białoruskich, ale i ukraińskich, łotewskich, estońskich, litewskich oraz innych, że Rosjanie to ich sojusznicy, więc warto z nimi współpracować, a przede wszystkim popierać ich listy wyborcze, co zresztą niestety często się zdarza. Jakiś czas temu rozmawiałem ze studentami polskiego pochodzenia z Białorusi, zresztą swego czasu przeprowadziłem sporo polsko-białoruskich warsztatów. Miałem nadzieję, że po tych wszystkich grantach panuje tam jaka taka świadomość, czym był Katyń. Skąd. „Jak to 17 września, inwazja? Przecież to rocznica uratowania nas przez Związek Radziecki. Jacy ci Rosjanie byli, tacy byli, ale zawsze nie esesmani". Tak więc, zdaje się, że car Putin w wielu regionach nie ma aż tak dużo do roboty.

Z drugiej strony wyobraźmy sobie, że zamiast agresywnego i strasznego cara Narcyza Putina w Rosji panuje cyniczny i sprytny polityk. Podlizuje się Zachodowi, dba o „prawa człowieka", nie morduje opozycji. Ale za to buduje konsekwentnie swoje wpływy na terenach byłego ZSRR i poza nimi. Może już car Putin lepszy, bo wszyscy się chociaż boją jak wspomniani Litwini, dzięki czemu tamtejsi Polacy będą mieli kontakt z polskim językiem i kulturą (choćby i tą najniższych lotów, ale cokolwiek by gadać ludyczną). Jak się nie da cara wymienić, to trzeba korzystać z jego słabości.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

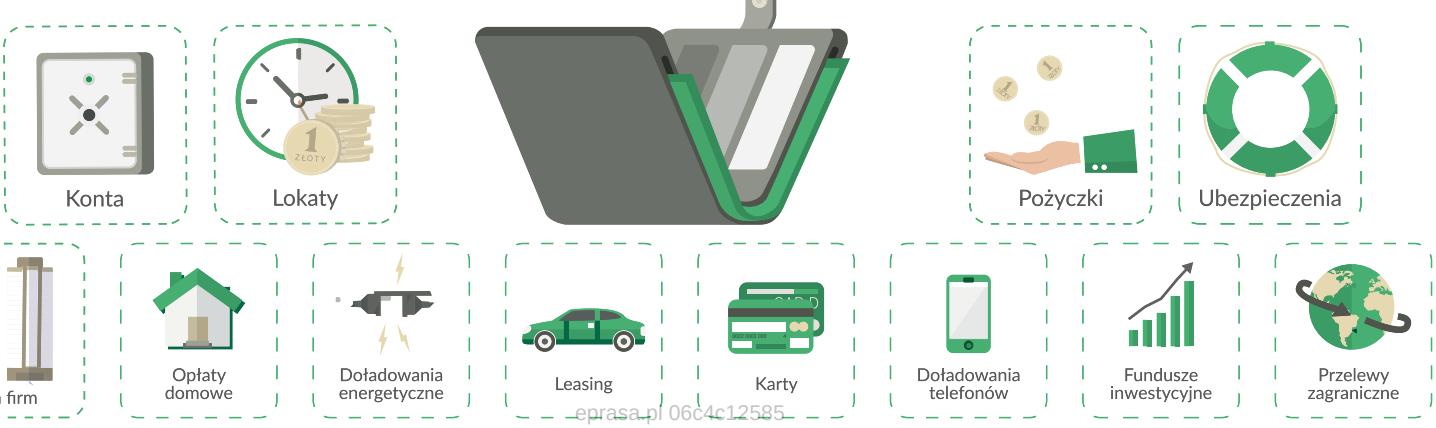
REKLAMA

STEFCZYK FINANSE

To samo miejsce – większe możliwości

W codziennym biegu czas, wygoda i profesjonalna obsługa są wyjątkowo cenne. Wiemy o tym! W naszych placówkach przygotowaliśmy kompleksowe rozwiązania dla Ciebie i Twojej Rodziny.

Przyjdź do placówki Stefczyk Finanse, sprawdź szeroką ofertę i przekonaj się, jak wiele możemy Ci zaoferować. POZNAJ DOSTĘPNE PRODUKTY:



eprasa.pl 06c4c12585

Ja, nałogowiec



Aleksander Nalaskowski

Już słyszę, jak po tym felietonie rozbrzmiewają głosy zgorszonych: „I to ma być pedagog?!", „Taki z niego nauczyciel młodzieży?!", „Hańba!". Ale wszystko, co napiszę, wiąże się z poczuciem wolności i bycia u siebie.

Oto wybrałem się z Torunia na koncert Paula McCartneya do Krakowa. Koncert genialny bez dwóch zdań. A przeżycie kolosalne. To przecież muzyka mojego pokolenia, muzyk mojego wzrastania. Ale nie o tym będę pisał.

Wybrałem się pociągiem, bo autem chce mi się coraz mniej jeździć. Do Krakowa najpierw szybki Intercity, a potem błyskawiczny Pendolino. W tym pierwszym prawie trzy godziny, w tym drugim mocne dwie. W Krakowie zatrzymałem się w hotelu niedaleko Tauron Areny. Hotel ma cztery gwiazdki. Pokój wygodny. Po koncercie odpoczynek, a rano śniadanie i jazda bezpośrednim pociągiem do Torunia. Około sześciu godzin. Na eleganckim dworcu krakowskim byłem pół godziny przed odjazdem. Wielu tak robi ze strachu przed spóźnieniem.

I tyle opisu. Banalny, prawda? Ale dla palacza koszmarny. Tak, wiem – palenie papierosów szkodzi mojemu zdrowiu, może szkodzić otoczeniu, chociaż trucizna zostaje naprzód zatrzymana przez moje płuca. Wiem, że palenie to prostactwo i demoralizacja. To jasne. Ale takich zdemoralizowanych prostaków jak ja jest 25 proc. dorosłych Polaków! W niektórych zestawieniach statystycznych nawet 35 proc. Gdzie mamy się podziać ze swoim nałogiem?! W przeciwieństwie do narkomanów przez papierosy nie powodujemy wypadków, nie jesteśmy agresywni ani niebezpieczni, nie rozwalamy rodzin. Dlaczego się nas poniża, wyrzucając poza każdy cywilizowany obszar? Dlaczego ludziom z „chuchem" po piwku wolno się poruszać i wchodzić do wszystkich przybytków publicznych? Dlaczego niektórzy na ulicach mogą palić jawnie skręty, które nie są bynajmniej zwykłymi papierosami? Dlaczego restauratorzy nie muszą zapewnić miejsca palaczom w dobie tak wyszukanych technologii wentylacyjnych? W Hiszpanii w wielu restauracjach widziałem wydzielone miejsca pod supercichymi wyciągami w suficie, w których dym znikał jak kurz w odkurzaczu. Czy nie jest to czynieniem z palaczy faktycznego „gorszego sortu", poddawaniem ich opresji i narażaniem na cierpienie? Pomijam to, że kawa, okienko czekolady, naparstek armaniaku i papieros to świetni kompani kawiarnianych rozmów oraz dyskusji. Dlaczego mi to zabrano? Jakim prawem?! Dlaczego w hotelach nie ma pokoi czy pięter dla palących, a w pociągach o wypasionym standardzie nie ma kabin dla palaczy?

Możecie sobie potępiać palaczy, ale nie możecie ich dręczyć. Bo palacze są trochę jak niepełnosprawni

Nałóg to potrzeba organiczna. Sześć godzin bez palenia to dla nałogowca tak samo jak dla każdego innego człowieka doba w spiekocie bez szklanki wody. W Auschwitz wielu więźniów oddawało wszak chleb za papierosa. Tak! Możecie sobie potępiać palaczy, ale nie możecie ich dręczyć. Trzeba edukować młodzież, aby nie sięgała po papierochy, ale nie wolno dorosłym uprzykrzać życia. Bo palacze są trochę jak niepełnosprawni. Winni mieć różne ułatwienia i możliwości w miarę normalnego funkcjonowania bez przeszkadzania innym. Tylko nietolerancyjni fanatycy higieniczni mogli takie ograniczenia wymyślić. Przecież ja, ten obrzydliwy nałogowiec, dałem zarobić kolei, administracji dworców, właścicielowi hotelu, restauratorowi, a oni do ceny doliczyli mi ograniczenia. Jakim prawem?

Taksówka wiozła mnie z dworca do hotelu. Jechaliśmy opodal fabryki papierosów. Znanej krakowskiej wytwórni, przedsiębiorstwa z tradycjami. Tam na przyfabrycznym parkingu stało może z tysiąc aut. Zapewne pracowników. I ja sobie szybko obliczyłem, że miesięcznie dostarczam pół pensji jednego jej pracownika. No i co zrobią ci ludzie, gdy wszyscy nagle rzucimy palenie (do czego nas tak usilnie zmuszacie)? Na bruk, szczaw i mirabelki? A skąd weźmiecie forsę na nowe czołgi i karabiny lub na podwyżki dla policji? Z samej wódy? A co z budżetem? Naprawdę tak wam wszystkim higienistom z nami źle?

Do tego trzeba jeszcze wspomnieć o pewnej hipokryzji. Każda paczka papierosów bowiem opatrzona jest jakimś obrzydliwym zdjęciem chorego człowieka i ostrzeżeniem o szkodliwości palenia. Ale też każdy producent takiej paczki nie ukrywa, że chce sprzedać jak najwięcej swoich wyrobów. Z tego wszak żyje. Czy naprawdę wszystko się tu zgadza? A może to już Unia zamiast mózgu?

Wiem, to kwestia niepopularna balansująca na granicy politycznej poprawności. Ale nie dotyczy ona tylko mnie czy garstki ludzi, których można zignorować. To spory odsetek obywateli, lecz także informacja, jak bardzo nie radzimy sobie z niektórymi prostymi problemami. Wołam o mniej zapiekłości i więcej tolerancji.

2/1218/F

eprasa.pl 06c4c12585



JAN POSPIESZALSKI

Dwa światy

Z różnych miejsc dochodzą sygnały, że ten kilkuminutowy film dokumentalistki z Krakowa zmienia życie

Mam przed sobą na ekranie wystąpienie Davida Attenborough podczas otwarcia konferencji klimatycznej COP24 w Katowicach. Brytyjski, mocno już podstarzały podróżnik celebryta w płomiennym apelu wzywa przywódców świata do opamiętania się, zobowiązując do zatrzymania zmian klimatu. Poucza, strofuje, ostrzega przed zagładą, apeluje do sumień, wszystko po to, by natychmiast uruchomić wszelkie możliwe środki dla ratowania planety.

Wyszukiwarka internetowa ma to do siebie, że kolejkuje podobnie oznaczone filmiki, dlatego samoczynnie otworzył mi się inny fragment. Inne publiczne wystąpienie Attenborough z konferencji w USA. Podobny przekaz, ale tym razem sir David mówi coś więcej. Sugestywnie maluje katastroficzną wizję przeludnienia świata. Brzmi znajomo. Przypominam sobie, że wśród brytyjskich naukowców jest prof. John Guillebaud, który domaga się zmniejszenia liczby ludności. Według jego obliczeń to ludzie są odpowiedzialni za nadmierną emisję gazów cieplarnianych, stąd bez depopulacji świata, przynamniej o 50 proc., nie zatrzymamy katastrofy. Aby uratować planetę, należy przestać się rozmnażać. W swoim manifeście pisze: „Każde nowo narodzone w Wielkiej Brytanii dziecko odpowiedzialne będzie za emisję gazów cieplarnianych i zanieczyszczenie środowiska [...] Skierowane do par kampanie: »Zatrzymaj się na dwójce« i »Jedno dziecko mniej«, powinny być wdrożone przez rząd, promowane w szkołach i mediach. Promować należy bezpieczny seks, używanie kondomów i skutecznej antykoncepcji, w tym pigułki »dzień po« [...] Wspierać należy wysokojakościowe usługi w zakresie antykoncepcji i sterylizacji". Ten manifest nie jest rojeniem „leśnego dziadka", lecz stanowiskiem grupy naukowców, m.in. z University College London. Pod raportem (a jakże) jest podpisany bohater i gwiazdor katowickiej konferencji Attenborough. Jak zauważyli internauci – spełniony, bogaty twórca, beneficjent Imperium Brytyjskiego (które bez żenady eksploatowało ludzkie i przyrodnicze zasoby kolonii) za publiczne pieniądze latami kręcił w dawnych koloniach filmy dla BBC. Teraz nagle wymaga, by kraje przyjęły na siebie ograniczenia, zatrzymały rozwój, a najlepiej własnymi rękami dokonały wyludnienia.

Inny filmik. Analogiczne ujęcie: mównica, mikrofon, również konferencja. Widzę twarz pięknej kobiety, mówi cichym, spokojnym głosem. Nieco wycofana, niepewna, widać, że nie ma praktyki w publicznych wystąpieniach. Barbara Szumowska, tak jak brytyjski podróżnik, jest dokumentalistką. Opowiada, czym stało się dla niej urodzenie córeczki z zespołem Downa. Mówi o filmie, który nakręciła o swojej Julce. Poruszające świadectwo matki, która siłą miłości życiowy dramat przekuwa w największą przygodę życia. Opowiada z czułością, jak przyjęła i zaakceptowała swoją córkę. „Zespołu Downa bałam się tylko wtedy, gdy siedziałam przed komputerem, czytając, jak poważna jest to choroba. I wtedy pomyślałam sobie »Stop!«, prawda o Julii leży w inkubatorze. Uspokoiłam się przy moim dziecku. Zdałam sobie sprawę, że szczęście tej małej kruszynki zależy przede wszystkim ode mnie, od tego, jak ja się zachowam – czy się wystraszę, ucieknę w traumę, depresję". Całość wystąpienia Barbary Szumowskiej i jej niezwykle poruszający film z Julią w roli głównej można obejrzeć, wpisując: medycyna praktyczna, portal pacjentów, moje dziecko ma zespół Downa. Okazało się, że to poruszające świadectwo lekarze odtwarzają w gabinetach rodzicom, którzy dowiadują się, że ich maleństwo, jak Julka Szumowska, ma 21. chromosom. Z różnych miejsc dochodzą sygnały, że ten kilkuminutowy film dokumentalistki z Krakowa zmienia życie, pozwala podjąć decyzję przyjęcia dziecka z obciążeniem genetycznym.

W maju na konferencji prezentowano osiągnięcia krakowskiego Międzywydziałowego Instytutu Bioetyki i stworzonej przy nim poradni bioetycznej. Pomysłodawcą był (uwaga!) Jan Paweł II, który w latach 80. XX w. przewidział, że trzeba będzie szkolić bioetyków, specjalistów w zakresie nauk przyrodniczych i medycznych, bo idą trudne i ponure czasy. Dziś krakowski instytut bioetyki i poradnia realizują prekursorskie działania niestosowane na Zachodzie, bo w większości krajów problem dzieci z zespołem Downa rozwiązano radykalnie. Polskimi dokonaniami interesują się środowiska lekarzy z Francji, Hiszpanii i USA. Dwa wystąpienia, dwie konferencje. Dwa modele cywilizacji – śmierci i miłości.

eprasa.pl 06c4c12585

Brzydkie szkalowanie

„Szanowny Panie Prezesie, od czasu kiedy powierzono Panu kierowanie Telewizją Polską, każdego dnia na coraz wyższy poziom podnosi się jakość i atrakcyjność jej programów. Dzięki bogatej palecie programowej w coraz większym stopniu TVP realizuje też przynależną medium publicznemu misję. Ku zadowoleniu odbiorców oraz satysfakcji samych twórców i programów. Z tym większą przykrością przyjmuję niczym nieuzasadnioną i niezrozumiałą dla mnie nagonkę na moją osobę. Brutalną napaść mojej ulubionej telewizji, która tak bardzo mnie krzywdzi. I sprawia prawdziwy ból moim najbliższym. W tym mojej ukochanej małżonce – Anne Applebaum”.



Jerzy Jachowicz

Tej treści list Radosława Sikorskiego skierowany do prezesa TVP Jacka Kurskiego wpadł przypadkowo w moje ręce. Proszę się nie dziwić, że ze względu na nagromadzenie pełnych dramatyzmu wątków postanowiłem opublikować pozostałą część listu.

„Tak, to prawda, że w ramach obowiązków służbowych spotkałem się z biznesmenem Janem Kulczykiem w restauracji Amber Room. Sprawy zagranicznych placówek dyplomatycznych Polski zawsze leżały mi głęboko na sercu, więc fragment rozmowy mógł dotyczyć kwestii związanych z naszą ambasadą w USA.

Chcę Pana zapewnić jako dżentelmen, że nigdy nie użyłem tak chamskiego zwrotu, jaki usłyszeliśmy na wyemitowanym nagraniu. Prezentowane przez TVP nagranie z całą pewnością nie jest oryginalnym zapisem tamtej rozmowy. Spodziewam się nawet, że autorzy nagrania, dla sensacji, w wyniku technicznych sztuczek włożyli mi w usta słowa, których nigdy nie wypowiedziałem. Nie pozwala mi na to moje oksfordzkie wykształcenie. Padają tam słowa, których brzydzę się tutaj nawet przytaczać. Tym bardziej iż rzekomo miały dotyczyć kobiety i sposobu jej traktowania. Taki język jest czymś codziennym, ale dla zdegenerowanych kelnerów, twórców tych nielegalnych nagrań. Świadczy o ich braku kultury osobistej i umysłowej.

Jakie to szczęście, że nie pełnią oni żadnych funkcji publicznych”.

CO MNIE PRZERAŻA

Trudno uwierzyć

Naprawdę trudno uwierzyć, że młodzież mieszkająca i ucząca się w liceum w Warszawie ma nie luki w wiedzy o historii Polski, ale ma w tej wiedzy wielkie, głębokie, czarne doły.

Przysłuchiwałam się sondzie ulicznej dziennikarki, uroczej pani Ani z telewizji Info. Pytała młodzież przedmaturalną, nie byli to jeszcze studenci. Pewnie wychodzili ze szkoły – zaczepiała ich i zadawała pytanie: „Jak sądzą, czy w powstaniu warszawskim zwyciężyli Polacy czy Niemcy?”. Bardzo długo się zastanawiali. Przeważnie dopytywali: „W powstaniu warszawskim? Nie wiem” – padła jedna odpowiedź. „A jakie to było powstanie?” – usłyszała od innych. „Nie słyszałem” – powiedzieli kolejni. Zapytany starszy pan odpowiedział, że wygrała Polska. Tę odpowiedź można tłumaczyć, że powstańcy przelali krew, ale wiedzieli, że dla Polski walczą i to również dzięki nim dzisiejsza Polska wygrała i ocalała.



Katarzyna Łaniewska

Odpowiedź może nie była łatwa, ale dopytywać, co to jest powstanie warszawskie? Przecież ich dziadkowie mogli pamiętać to powstanie.

Innym razem, 1 sierpnia, pani Ania dopytywała przed uniwersytetem wychodzących stamtąd (chyba) studentów, jaką mamy dziś ważną datę. I znów padło: „Nie wiem”. Inny odpowiedział: „A dzisiaj to chyba wojna druga wybuchła”. Przecież 1 sierpnia tego roku tyle w mediach mówiono o powstaniu. To naprawdę jest przerażające.

Drugie pytanie pani Ani to: „Kto jest prezydentem Warszawy po ostatnich wyborach samorządowych?”. Podkreślała słowo „Warszawy”! I znów usłyszała „Nie wiem” od zniecierpliwionego przechodnia. Jeden powtórzył: „Prezydentem? To Andrzej Duda”. Inna osoba też tak odpowiedziała. Reporterka podpowiadała, że chodzi o ostatnie wybory, to mu się zaczęło kojarzyć, że prezydent Andrzej Duda już dość długo sprawuje swój urząd. No żeby powiedzieli choćby: Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Czy ta młodzież jest tylko wpatrzona w swoje telefony i inne monitory? Czyli takie wiadomości ją omijają? Przecież kampania była niedawno i była widoczna. Czy żyją sportem? Kopaniem piłki? Przecież jest też młodzież, która pracowała na „Łączce” powązkowskiej, szukając bohaterów. Jest młodzież zaangażowana w grupy rekonstrukcyjne. Znająca daty rocznic i powstań oraz współczesne sprawy państwa. Jest przecież młodzież, która tak tłumnie szła w pochodzie 11 listopada. Co wtedy robili tamci, co nic nie wiedzą? To mnie przeraża.

eprasa.pl 06c4c12585

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Wizy za TVN

Mało dyplomatyczne wejście słonia do składu fake newsów



Ryszard Makowski

Ambasador Stanów Zjednoczonych Georgette Mosbacher najwyraźniej pozazdrościła ambasador Izraela Annie Azari i też uznała, że polski rząd jest idealny do strofowania. Ambasador Izraela udzieliła ostatnio reprymendy wicepremierowi Piotrowi Glińskiemu: „Nie chciałabym widzieć więcej takich cytatów". Mniejsza o to jakich, ale jest zakaz i proszę się go trzymać!

Natchniona tym Georgette Mosbacher wystosowała list do „Dear Minister Moraweicki" i bez any little garden zażądała, by zabrać ręce precz od TVN. Premier na list co prawda osobiście nie odpowiedział, ale to, że trafił on (ten list) do powszechnego obiegu, świadczy o przecieku kontrolowanym. Czyli nagle persony na świeczniku olśniło! Ta „przyjaźń polsko-amerykańska" coś za bardzo przypomina „przyjaźń polsko-radziecką". Wtedy też jedynie słuszne instrukcje szły pomrukami niezadowolenia z ambasady. Czasy są jednak inne i wygarnięto to i owo przedstawicielce Wuja Sama. Wtedy ona, żeby załagodzić niestosowność, poszła po linii „wzruszenie": „Zobowiązuję się, że wizy zostaną zniesione do końca przyszłego roku". I mamy sytuację barterową. Podróże bez wiz za TVN.

Wkradł się swoisty doublethink. W USA Donald Trump walczy z fake newsami, natomiast jego wysłanniczka uważa, że dla nas takie łże-medium jak TVN jest w sam raz. TVN jest ponoć hamerykański. Jeżeli to ma być wykładnik wolności słowa, jaką uznaje Georgette Mosbacher, to thank you from the mountain.

eprasa.pl 06c4c12585

***Zawistowski prezentuje:* Klimatyczny**



Wycinki z przeszłości

Wspomnijmy raz jeszcze listopadowy zryw roku 1830. Pięknie opowiada to wiersz Antoniego Bogusławskiego zamieszczony w „Płomyku" z 1928 r., a poświęcony Piotrowi Wysockiemu, który tę lawinę uruchomił.

WYSOCKI

Plac...
Na placu – mundury, parada, pióropusze i żandarmskie kaski...
Piotr Wysocki – w ręku goła szpada – wiedzie pluton przez plac Saski.
Wiedzie pluton podchorążych szkoły. Twarz zbielała, zaciśnięta warga,
Wzrok zabija i szydzi napoły – i wstyd sercem oficera targa.
– Hej, tyranie, moskiewski tyranie! Długo-ż hańby i urągowiska?
Długie-ż jeszcze w niewoli konanie? Drżyj, tyranie, bo wolność już bliska! [...]
Srebrna szpada miga przed plutonem; podchorążych lśnią za nią bagnety.
Liść po moście się toczy z szelestem... Czuj duch! Idą...
– Kto idzie? Daj hasło! – Tyś to, bracie? – Tak, bracie! Ja jestem!
Światło z młyna na Solcu nie zgasło!
Za mną! Za mną! Za wolność i braci! Za ojczyznę, za honor i prawo!
Krwawa łuna odblaskiem szkarłaci senne niebo nad śpiącą Warszawą.
Jak marmury, twarz mieni się blado wskroś gałęzi
bezlistnych szpaleru,
Piotr Wysocki srebrzystą swą szpadą wiedzie zastęp do
wrót Belwederu.
– Śmierć tyranom!
Znienacka ocknieni pokojowcy się budzą pobladli...
Bagnet błysnął za szpadą wśród cieni...
Wychynęli! Wtargnęli! Dopadli! ***(mk)***



Prezent od Świętego Mikołaja



Leszek Długosz

Nie kryję pewnej preferencji do częstszych zaprosin do tego okienka poezji dzisiejszego autora. Jestem jej wielbicielem, poza tym uważam, że wyjątkowo nieprzychylne wyroki historii uczyniły ją dla krajowego czytelnika nieznaną. Od Mikołaja dostałem właśnie dzisiejszy wiersz. Bodaj nigdy niepublikowany w Polsce w żadnym wydaniu książkowym. Święty Mikołaj znalazł go w 40. numerze „Wiadomości Polskich" z sierpnia 1941 r., wychodzących w Londynie i w Paryżu. Z przyjemnością oraz z satysfakcją dzielę się z państwem tym prezentem, w grudniu 2018 r.

Stanisław Baliński (1898–1984)

* * *

Na głuchych prowincjach serca, w deszczowe smętki niedzieli
Wyrasta w pożółkłym oknie twarz wiecznie bladej Anieli
Naprzeciw w pustej kawiarni dogasa cień doktorowej
Ulicą kroczy samotnie pan nauczyciel ludowy

A gdzieś w zajeździe przy wódce Tuwim swą jesień przepija
I zegar na krzywej tarczy godzinę zmierzchu wybija
Wszystkie tęsknoty prowincji o wielkim świecie ziszczone
Świat wtargnął w ciszę niedzieli, najeżył lądy spienione

W senne ulice miasteczka zwalił się los – cudzoziemiec
I pognał wszystkich w podróże, pannę Anielę do Niemiec
Nauczyciela – w obozy hiszpańskie na trafił chybił
A doktorową, co chciała Wschód poznać – na Wschód na Sybir

A kto się ostał przed grozą, szalone wiersze układa
Tuwim – na tamtej półkuli, ja tutaj
Właśnie deszcz pada
Chodzę po mglistym Londynie, skręcam przy mrocznym kościele
Trafiam na tamte ulice, idę przez tamte niedziele
I spotykamy się znowu, zrodzeni w tej samej gwieździe
Pod oknem ciemnej młodości, w opustoszałym zajeździe
Na głuchych prowincjach serca...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 06c4c12585

OD A DO ZYBERTOWICZA

Zmanipulowali siebie

Jak najlepiej Polska powinna zareagować na ostatnią – azowską – fazę rosyjskiej agresji wobec Ukrainy? W mojej rozmowie z red. Jackiem Żakowskim (30 listopada 2018 r. w radiu Tok FM) pojawił się słuszny argument, że każde państwo tym skuteczniej może reagować na międzynarodowe sytuacje kryzysowe, im lepszą ma za granicą reputację. Dobra reputacja zwiększa możliwości działania – to wydaje się jasne. Może nieco mniej proste, ale w sumie podobnie jasne jest to, że w ostatnich latach opinia Polski w wielu ważnych międzynarodowych środowiskach opiniotwórczych się pogorszyła.

DLACZEGO?

Opozycja twierdzi, że to „osiągnięcie" ekipy rządzącej, niszczącej w naszym kraju demokrację. Rządzący, że to efekt nieodpowiedzialności opozycji, która – nie posiadając alternatywy programowej wobec reform dobrej zmiany – nie tylko szuka poparcia u wyborców głównie przez straszenie Prawem i Sprawiedliwością, lecz także na Zachodzie rysuje odległy od faktów jak najczarniejszy obraz sytuacji w kraju.

PARADOKSALNY SUKCES

Paradoks tego całego straszenia brakiem demokracji w RP polega na tym, że wygrane przez opozycję wybory w wielkich miastach są najlepszym dowodem, jak nieprawdziwa jest wizja dobrozmianowego autorytaryzmu. Wybory w sumie zorganizowano sprawnie i uczciwie, co dobrze obrazuje poparcie tej części elektoratu, która straszenie PiS-em „kupiła". A spora część opozycyjnego elektoratu jest tak zaślepiona, że pewnie nie zauważyła, iż ów wynik wyborczy jest najlepszym dowodem nieprawdziwości zarzutów, że w RP demokracji już nie ma.

Nieraz już tak bywało, że bazując na emocjach wywołanych przez poglądy



„Totalni" zdają się nie wierzyć w Polskę suwerenną jako partnera polityki zagranicznej, który domaga się równego traktowania

nieprawdziwe, można odnieść najprawdziwszy sukces polityczny. Uroda demokracji polega również na tym.

„TOTALNIACY"

Ale nie o to szło w sporze z redaktorem Żakowskim. Szło o to, kto jest odpowiedzialny za pogorszenie się naszej reputacji za granicą. W rozmowie stwierdziłem, że to w dużej mierze zasługa dzisiejszej opozycji, która przecież sama siebie określiła jako totalną. A ktoś, kto deklaruje, że działa totalnie, nie czuje się związany ani regułami prawa, ani demokracji, ani dobrymi obyczajami. W efekcie „totalnie" walcząc z obecnym ugrupowaniem rządzącym, opozycja i w kraju, i na arenie międzynarodowej często z igły robi widły, mocno zmienia skalę problemów, konstruując czarny obraz spraw polskich na każdym polu.

Tu dodam, iż „totalni" zachowują się tak, jak gdyby nie liczyli się z tym, że ataki na PiS bezpardonowo prowadzone na zagranicznych forach, w obliczu i z wykorzystaniem środowisk, instytucji oraz grup interesów, które wcale Polsce nie sprzyjają, które w różnych sprawach mają z naszym krajem rozbieżne interesy, szkodzą nie tylko rządzącym, lecz także całemu krajowi.

A może „totalni" biorą to jednak pod uwagę, ale nie przeszkadzają im te zewnętrzne (w Unii Europejskiej i poza nią) grupy interesów, które pragną Polski jako potulnego współpracownika, kraju, który da się swobodnie penetrować biznesowo i finansowo. „Totalni" bowiem zdają się nie wierzyć w Polskę suwerenną jako partnera polityki zagranicznej, który domaga się równego traktowania.

I nie ma tu się czemu specjalnie dziwić, gdyż wewnątrzpolskie interesy „totalnych" po prostu lepiej współgrają z zewnętrznymi interesami tych, którzy potrzebują Polski tylko na wpół suwerennej i pamiętającej, by na forach międzynarodowych korzystać z okazji do siedzenia cicho (że przypomnę słowa prezydenta Francji Jacques'a Chiraca z 2003 r.).

AUTOMANIPULACJA

Ostatnim przykładem takiej totalnie (już bez cudzysłowu) absurdalnej rozgrywki środowisk opozycyjnych jest nadmuchiwanie jako skandalu tzw. planu Zdzisława (od Zdzisława Sokala, szefa Bankowego Funduszu Gwarancyjnego i doradcy prezydenta Andrzeja Dudy). Na podstawie jednego z wątków nagranej rozmowy bankiera z szefem Komisji Nadzoru Finansowego wymyślono sobie wizję jakiegoś złodziejskiego przechwycenia przez państwo PiS prywatnych banków. To, że wśród promujących tę bzdurę znalazły się osoby, o których dotąd mniemałem, iż poglądy opozycyjne nie pozbawiają ich zdolności do rzeczowej oceny faktów, o czymś świadczy.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 58/1118/F

eprasa.pl 06c4c12585

DAJ SOBIE PRAWO DO TROSKI O SIEBIE



RELACJE które ŁĄCZĄ

10.12 Dzień Praw Człowieka

www.dzienzycia.pl

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

SIECI

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

PARTNER

eprasa.pl 06c4c12585

Lotteria Świąteczna

WYGRANE że HoHoHo!

Weź udział w loterii do 31 grudnia 2018 r.

Ponad 600 nagród do wygrania!



4x Toyota AYGO



28x 5000 zł



92x PREZENT JUBILERSKI 1000 zł



500x KARTA PRZEDPŁACONA 200 zł

Graj w punktach LOTTO

Zapoznaj się z regulaminem loterii na www.lotteriaswiateczna.pl. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Lotto | EUROJACKPOT | Ekstra Pensja | Multi Multi | Mini Lotto | KASKADA | Super Szansa | Zdrapki | KENO

eprasa.pl 06c4c12585